

I uwierzyliśmy Miłości

Wydano
w Roku Sercańskim 2002-2003

Wydawnictwo Księży Sercanów
wchodzi w skład

orbo
grupa wydawnicza

ks. Władysław Majka SCJ

I uwierzyliśmy Miłości



WYDAWNICTWO KSIĘŻY SERCANÓW

REDAKCJA
Wydawnictwo DEHON

PROJEKT OKIADKI
Ewa Stokłosa

KOREKTA JĘZYKOWA
Zespół

ISBN 83-88465-70-8

© 2002 Wydawnictwo Księży Sercanów DEHON
ul. Saska 2, 30-715 Kraków
Tel./fax: 0 (prefiks) 12 290-52-98
0 (prefiks) 12 290-52-99
e-mail: dehon@wydawnictwo.net.pl
www.wydawnictwo.net.pl

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca

Niezmierznie cieszę się, że w trwającym Roku Sercańskim Polska Prowincja Księży Sercanów z zapałem podjęła zaproszenie, by powrócić do źródeł naszej historii i duchowości. Żywą część naszej sercańskiej tradycji stanowi niewątpliwie budujący przykład współbraci, którzy w Zgromadzeniu zaznaczyli się swoim oddaniem misji Kościoła.

Do ich grona należy niewątpliwie ks. Władysław Majka, o którym śmiało można powiedzieć, że jest jednym z najważniejszych duchowych filarów tętniącej życiem Polskiej Prowincji. Całe jego posługiwanie było dowodem, że uwierzył i został oczarowany miłością Najświętszego Serca Jezusowego, którą został oczarowany i tą wiarą zawsze dzielił się z innymi.

Niech lektura tej „perelki” literatury sercańskiej I uwierzyliśmy miłości zaowocuje jeszcze większym zapałem apostolskim i oddaniem Waszego życia dla „Królestwa Najświętszego Serca Jezusowego w duszach i w społeczeństwach”.

Z serca błogosławię i wspieram modlitwą całą polską rodzinę sercańską – kapłanów, braci, alumnów, nowicjuszy, postulantom i świeżakom.

P. Augustinus Bursanelli scj

Przedmowa

Treść zawarta w prezentowanej książce ks. Władysława Majki jest niezwykle ciekawym zjawiskiem literacko-religijnym. Złożyły się na nią różne warstwy przeżyć, przemyśleń i studiów Autora, który był człowiekiem pióra i dzielenia się z innymi tym, co nurtowało jego duszę i serce. Z jednej strony dobrze znał wartość tego, czym jego dusza i serce były napełnione, a z drugiej miał świadomość, że jest to potrzebne też innym, zwłaszcza tym, za których formację religijną i zakonną czuł się odpowiedzialny.

Mówił o tym wszystkim poprzez najcenniejszy środek przekazu, którym było jego życie przeniknięte bez reszty – od początku do końca – tym, co stało się jego pasją od chwili zetknięcia się z duchowością Zgromadzenia Księży Najśw. Serca Jezusowego w ujęciu jego założyciela Sługi Bożego Ojca Leona Jana Dehona. Spotkał się z nią w momencie wyjątkowo doniosłym. Były to bowiem ostatnie lata życia Ojca Założyciela, a więc okres ostatecznego dojrzewania duchowości Zgromadzenia, czego ukoronowaniem było zatwierdzenie Konstytucji Zgromadzenia 3 grudnia 1923 r.

Wchodzący w młodzieńcze lata Władysław Majka zanurzył się w tę atmosferę pierwotnej duchowości Zgromadzenia ze swoimi dwoma kolegami – Ignacym Stoszko i Julianem Lubowieckim. Początek ich wspólnej drogi znajdował się we Włoszech, w Albisoli. A mieli tam nie lada przewodnika, bo ukochanego przez wspólnotę nowicjacką i całe pierwsze pokolenie powstającej Prowincji Włoskiej – ks. Luigi Delborgo. Z pochodzenia Francuz, przybył do Włoch, ażeby pomóc budującej swoje zręby młodej Prowincji. On to otoczył polską trójkę serdeczną opieką, ale przede wszystkim przekazał podstawowe założenia duchowości Zgromadzenia opartej na prawdzie o Sercu Jezusa i duchu wynagrodzenia.

Po dwuletnim pobycie w Bolonii i dokończeniu studiów średnich oraz kursu filozofii (1922-24) w życiu dwu młodych pierwszych polskich sercanów nastąpił radykalny zwrot. Klerycy Stoszko i Majka zostali wysłani na studia teologiczne do kolebki Zgromadzenia, którą jest Francja. Studia te mieli odbywać na Wydziale Teologicznym w Strasburgu. Obok wysokiej rangi uczelni, jaki wraz z Wydziałem Teologii Protestanckiej reprezentował Wydział Teologii Katolickiej, z jego wybitnymi profesorami J. Riviere oraz E. Amanne, znaleźli się w kręgu konstytuującego się definitywnie Zgromadzenia i co jeszcze istotniejsze blisko Ojca Założyciela, który żywo się nimi interesował. Bezczennym tego wyrazem było tuż przed śmiercią jego głośne

westchnienie na ich widok: *Ah, les petits Polonais* – Ach, ci młodzi Polacy! – oraz udzielenie stygnącą dłonią błogosławieństwa.

Pobyty ks. Majki w Strasburgu oznaczał również żywy kontakt z głównymi ośrodkami Zgromadzenia, jakimi były domy w Lille, Brukseli, Louvain, Sittard, Clairfontain.

Poważny wpływ na zdobywaną wiedzę teologiczną w tak sławnej uczelni miały dla niego wykłady z teologii dogmatycznej u wspomnianego ks. prof. Riviere, a zwłaszcza nawiązujący do św. Anzelm dogmat o odkupieniu. Wydane na ten temat dzieło *Le dogme de la redemption* (*Dogmat o odkupieniu*, Paryż 1914) stało się nie tylko rewelacją dla młodego sercanina z Polski, ale inspiracją dla teologii katolickiej w tym przedmiocie do II Soboru Watykańskiego. Główną osią tej doktryny była teoria tzw. zadośćuczynienia zastępczego (*satisfactio vicaria*), jakie Chrystus, wcielony Syn Boży, złożył Ojcu w celu wynagrodzenia naruszonego przez grzech porządku stworzenia.

Niewątpliwy wpływ na ukształtowanie się doktryny o Najśw. Sercu miały dwa ważne dokumenty papieskie: encyklika Piusa XI *Miserentissimus Redemptor* (1928) oraz encyklika Piusa XII *Haurietis aquas* (1956). Pierwsza wykladała naukę o zadośćuczynieniu i propagowała pierwsze piętki miesiąca, druga poddała wnikliwej analizie tajemnicę miłości Najśw. Serca Jezusa. Obydwa zresztą

pontyfikaty wspomnianych Papieży nacechowane były głęboką czcią dla Najśw. Serca Jezusowego, co dla ks. Majki stanowiło dodatkowy impuls fascynacji sercańską duchowością.

Fundamentalnymi jednak źródłami pierwszej części prezentowanej książki ks. Majki były pisma Ojca Założyciela zawarte w *Les Notes sur l'Histoire de ma Vie* (*Zapiski z historii mojego życia*), a przede wszystkim w *Notes Quotidiennes* (*Dziennik*) obejmujące lata 1886-1925. Na drugim miejscu umieścić trzeba Konstytucje, a na trzecim Dyrektorium Duchowe.

Dzielaми, na których opierał się ks. Majka w decydującej fazie powstawania wizji powołania sercańskiego zredagowanego w pierwszej części były dwie pierwsze pozycje w dziejach Zgromadzenia, które usiłowały odtworzyć jego początki na tle życiorysu Ojca Założyciela. Były to: Henri Dorresteyn *Vie et personalite du P. Dehon*, Dessain 1959, (*Życie i osoba o. Dehona*) oraz Albert Ducamp *Le Pere Dehon et son oeuvre*, Ed. Pias 1936, (*Ojciec Dehon i jego dzieło*). Śledził wprawdzie pojawiające się później próby opracowywania teologii Serca Jezusowego, ale rdzeń wysiłku tworzenia syntezy duchowości sercańskiej stanowiła jego osobista praca. Wszystko to odbywało się w klimacie jego doświadczenia urzekającej go prawdy o Najśw. Sercu Jezusowym i żarliwego pragnienia przekazania jej powierzonemu jego formacji młodemu pokoleniu polskich sercanów.

W 1970 roku ks. Majka zakończył funkcję mistrza Nowicjatu i przełożonego domu w Pliszczynie, skąd przeniósł się do Stadnik i częściowo do Krakowa-Płaszowa. W tym to okresie poza pracą nad swoją broszurą dotyczącą *Badaczy Pisma św. Czy tak uczy Pismo św.?*, a także kompletowaniem życiorysów współbraci, podjął owocną pracę re-kolekcyjną dla sióstr zakonnych. Przy ogromnej wrażliwości na znajomość prawdy, którą usiłował przelać na papier, poza pracowitym studium doktryny *Badaczy Pisma św.*, swoją znajomość życia wewnętrznego usiłował dopełnić przez lekturę odnośnej myśli teologicznej posoborowej, co na gruncie jego działalności pisarskiej zaowocowało wartościową syntezą współczesnej ascezy katolickiej *Odnova ducha* (Kraków 1986). W trakcie tej intensywnej i zróżnicowanej działalności, a także studiów zmierzających do teologicznego pogłębienia powstającej publikacji *I uwierzyliśmy miłości* przeszedł ciężki kryzys zdrowotny spowodowany wylewem krwi do mózgu z całkowitą prawie utratą pamięci. Heroicznie podjęty proces rehabilitacji pozwolił mu niemal całkowicie odzyskać dawną sprawność, a w konsekwencji umożliwił powrót do ciągle jeszcze jego zdaniem wymagających uzupełnień prac. Jego przewodnikiem i umiłowanym autorem w tym czasie był jeden z najwybitniejszych dogmatyków posoborowych zafascynowany chrystologią i teologią Serca Jezusowego, profesor

Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, o. Jean Galot SJ. Ksiądz Majka śledził również prace na temat sercańskiej duchowości prowadzone w Centrum Studiów przy Kurii Generalnej, a publikowane w periodyku „Dehoniana” – szczególnie zaś artykuły ks. Bourgeois, ks. Vasseny i ks. Manzoni.

Najważniejszym jednak źródłem prezentowanego dzieła, a zwłaszcza drugiej jego części, były własne przemyślenia i głębokie przeżycia związane z tajemnicą miłości Najśw. Serca Jezusowego. Nie można się dać zwieść jego pokorze, która każe mu niemal wszystko ze swojego pisarskiego warsztatu odnosić do wiedzy zaczerpniętej ze studiowanej literatury. Owszem, była to pomoc, uzupełnienie merytorycznych i metodologicznych luk z okresu studiów na uczelni o charakterze uniwersyteckim. Zrąb jednak i trzon treści, zwłaszcza części drugiej, zatytułowanej w oryginale *colloquia*, stanowi odbicie tego, czym była wypełniona po brzegi jego dusza, co działo się między nim a Bogiem. W konsekwencji można mówić o literackim zapisie tej głębi przeżyć duchowych, które nurtowały ks. Majkę odnośnie do powołania sercańskiego nie tyle jako teoretycznej wiedzy, ale jako życiowej treści, którą z tej wiedzy posiadał i jaką został do głębi urzeczony, a w konsekwencji z całą żarliwością ducha usiłował zrealizować w życiu.

Myślę, że potrzebą chwili jest jego wnikliwa i kry-

tyczna biografia scalająca z zachowanych okrucich wspomnień współbraci oraz żyjących jeszcze ludzi świeckich całościowy obraz jego heroicznego życia. Było ono do końca przeżywane w promieniach fascynującej go bez reszty prawdy o nieskończonej miłości Bożego Serca oraz urzekającej perspektywy ducha miłości i wynagrodzenia. W ten sposób ten cenny „traktacik” o tajemnicy Boga Miłującego oraz życia miłości i wynagrodzenia Bożemu Sercu, tak dramatycznie objawionej św. Małgorzacie Marii, zyskałby dotykálny niejako życiowy kształt, stanowiący tytuł do swoistej dumy, ale jeszcze bardziej wezwanie i wyraziście zarysowany wzór do naśladowania.

Wstęp

Papież Pius XII w swej encyklice o kulcie Najświętszego Serca Jezusowego *Haurietis aquas*, ustalającej podstawy teologiczne nabożeństwa do Najświętszego Serca Jezusowego, twierdzi, że wszystko, co Bóg uczynił w świecie, pochodzi z jednego źródła: z miłości.

Dziełem miłości jest stworzenie świata i wszystkiego, co w nim się znajduje, szczególnie zaś stworzenie człowieka, będącego arcydziełem, obrazem i podobieństwem Stwórcy.

Dziełem miłości, jeszcze bardziej wzruszającej i osobistej, jest tajemnica naszego Odkupienia we wszystkich fazach swej długiej historii, od powołania Abrahama do przymierza z Narodem Wybranym, od zapowiedzi proroków do przyjścia Chrystusa, który zjawia się na świecie jako wcielenie i objawienie Bożej odwiecznej woli przebaczenia i zbawienia.

Lecz dopiero przez Ewangelię poznajemy w pełni, że dzieło naszego Odkupienia jest tajemnicą miłości: miłości najmiłosierniejszej ze strony Ojca, który tak bardzo nas umiłował, że

Syna Swego jedyne go dał dla naszego zbawienia; tajemnicą miłości ze strony Chrystusa, który z miłości dla Ojca i dla zbawienia ludzkości dobrowolnie podjął cierpienie i śmierć krzyżową. Trudno jest znaleźć kogoś, kto by chciał dać życie swoje dla zbawienia niewinnego, mówi św. Paweł. Jakże więc wielkim dowodem miłości jest śmierć Chrystusowa dobrowolnie podjęta dla zbawienia grzesznych.

Syn, *qui totam naturam habet a Patre* – mający całą naturę od Ojca, *candor Lucis aeternae* – odblask Światła wiecznego – Syn Tego, o Którym napisano: „Bóg jest miłością”, On również, tak jak Ojciec, jest samą Miłością. Wcielenie, Krzyż i Eucharystia, jak i miłość ludzkiego Serca Chrystusowego, promieniująca z kart Ewangelii, to nic innego jak objawienie tej miłości odwiecznej Słowa. Paray-le-Moniale nie stwarza nowego dogmatu. Jest tylko przypomnieniem podstawowej prawdy o Chrystusie – że jest On miłością.

Jest On zaś miłością nie tylko dla ludzkości wziętej jako całość, lecz i dla poszczególnych dusz. O tej to miłości indywidualnej Słowa Wcielonego tak wyraża się encyklika *Mystici corporis*: „Każdego z członków Swojego Ciała mistycznego, od pierwszej chwili Swojego

Wcielenia, zna On nieskończenie jaśniej i miłuje nieskończenie bardziej niż matka to dziecko, które przyciska do swoich piersi, niż każdy zna i miłuje samego siebie”.

Tej to właśnie miłości Serca Chrystusowego, będącej objawieniem miłości Ojca, miłości bezgranicznej, każdy z nas zawdzięcza swoje istnienie nadprzyrodzone i ów bezmiar dóbr, który z życiem nadprzyrodzonym jest związany. Gdy zaś chodzi o powołanie kapłańskie i zakonne, czyż trzeba przypominać, że ten obfitszy udział w trudach, łaskach i dobrach Odkupienia, jest owocem jeszcze większej, specjalnej miłości?

Skoro Chrystus jest miłością, skoro wszystko zawdzięczamy tej Jego miłości, nic dziwnego, że w ciągu wieków pobożność chrześcijańska zwracając się do Chrystusa, coraz częściej zaczęła się zwracać do Jego Boskiego Serca. Chrystus powoli zaczął utożsamiać się ze Swoim Boskim Sercem. Proces ten w naszych czasach zdaje się już dobiegać końca. Pod postacią Jego Boskiego Serca ukazują nam Chrystusa także dokumenty oficjalne, jakimi są encykliki: *Miserentissimus* i *Haurietis aquas*.

Taka to więc treść nieskończenie bogata kryje się w wyrażeniu: „Najświętsze Serce Jezusa”. To nie tylko miłość Chrystusa – miłość

ludzka, stworzona, jak to niekiedy utrzymywano. To także i miłość niestworzona Drugiej Osoby Boskiej, będąca objawieniem miłości Ojca. Jednym słowem, to miłujący nas, przychodzący od Ojca Chrystus. Dlatego to encyklika *Miserentissimus* nazywa Najświętsze Serce Jezusa streszczeniem całej religii.

Jeżeli patrzymy na rzeczy z tej perspektywy i tak je pojmujemy, przyznamy bez trudności, że Boskie Serce Jezusa nie może być przywilejem tylko niektórych duchowości. Ono należy do wszystkich. Wspomniane dopiero co oficjalne dokumenty Kościoła nie pozostawiają pod tym względem już żadnych wątpliwości.

Niniejsze dzieło, składające się z dwu części wzajemnie się uzupełniających, stara się nakreślić zarys i atmosferę życia wewnętrznego, skierowanego ku Najświętszemu Sercu Jezusowemu, ze szczególnym uwzględnieniem idei wynagrodzenia.

Skromne te stronicę pokornie powierzamy macierzyńskiej opiece Tej, bez której Jezus nie rodzi się i nie wzrasta w żadnej duszy.

Część I

Zamyślenia
o Bogu-Miłości,
Bożym Sercu
i wynagrodzeniu

Wiara w Miłość

„I uwierzyliśmy miłości” (1 J 4,16)

Grzechy nasze i nasza niestałość, wszelkiego rodzaju trudności i zagrażające niebezpieczeństwa to bezsprzeczna, codzienna rzeczywistość naszego życia. Ponad to wszystko w życiu naszym istnieje jednak inna jeszcze rzeczywistość, nieskończenie większa i swym ogromem nieskończenie więcej narzucająca się naszej uwadze. Tą rzeczywistością jest miłość Chrystusa dla każdego z nas. Miłość **indywidualna**. Tak, jakbym ja tylko sam istniał na ziemi. Tysiące razy życzliwsza niż miłość mojej matki. Tak wielka, że nawet w przybliżeniu nie można jej opisać, ani jej sobie wyobrazić. Czuwająca nawet nad drobnymi szczegółami mojego istnienia. Kierująca ku mojemu większemu dobru wszystko, co dzieje się dookoła mnie. Mająca do swojej dyspozycji wszechmoc.

Uczyńmy, co możemy, aby ta olbrzymia rzeczywistość obiektywna, tj. istniejąca niezależnie od naszego poznania, stała się dla

nas rzeczywistością także subiektywną, tj. odczuwaną przez nas, i to w proporcji do jej ogromu; by opanowała nasz umysł, naszą pamięć, naszą wyobraźnię; by wypełniła sobą cały horyzont naszej świadomości, zasłaniając nam sobą wszystko inne; by stała się ona dla naszego świata wewnętrznego tym, czym jest w jasny wiosenny dzień dla świata widzialnego światło słoneczne, które wszystko sobą wypełnia, wszędzie się wdziera i wszystko sobą opromienia. Innymi słowy, by stała się ona dla nas także subiektywnie tym, czym jest obiektywnie, tj. rzeczywistością naczelną naszego istnienia, która sama przez się tak bardzo nam się narzuca, że w naszym życiu nie potrafimy dostrzec nic jak tylko ją.

Tym, co podtrzymywać w nas będzie tę wiarę w miłość i wciąż ją ożywiać, jest wspomnienie dawnych i widok coraz to nowszych dobrodziejstw i łask, którymi na każdym kroku i w każdej chwili naszego istnienia, tak w porządku naturalnym, jak i nadprzyrodzonym, obsypuje nas ta miłość bezgranicznie życzliwa. Chociaż każde z tych dobrodziejstw samo w sobie ma wartość często wprost nieocenioną, to nie dla tej jego wartości przede wszystkim powinno ono być nam drogim. To, co najbardziej powinno nas w nim

zachwycić, to kryjąca się za nim najtroskliwsza miłość Boskiego Serca Jezusowego. I to nie tylko wtedy, gdy chodzi o jakąś łaskę nadzwyczajną, jak np. powołanie do kapłaństwa lub życia zakonnego, lecz także w drobnych zdarzeniach naszego życia powszedniego. Jest to bowiem zawsze ta sama miłość najtroskliwsza, niewypowiedziana, niezależnie od tego, czy ujawnia się ona przez jakąś łaskę nadzwyczajną, czy też może ukrywa się za owym pierwszym kwiatem wiosennym, spotkanym po długiej zimie w chwili zmęczenia.

To wyobrażenie tak wielkie o miłości indywidualnej Chrystusa jest dla nas ogromną łaską, która przypadła nam w udziale wraz z naszym powołaniem. Jest to jakby najwyższa wygrana, jaką tylko mogliśmy w naszym życiu zdobyć.

Nie obawiamy się, by przekonanie o miłości Boskiego Mistrza dla nas, choćby nawet tak wielkie, iż wypełniałoby ono nam duszę, miało nam przesłonić sobą to, co w hierarchii wartości jest jeszcze ważniejsze niż wiara w miłość i ufność: miłość ofiarną, wynagradzającą. Przeciwnie. Na skutek bowiem pewnego rodzaju determinizmu psychologicznego to wyobrażenie tak wielkie o miłości Boskiego Serca Jezusowego doprowadzi nas, i to niemal jako psychologiczna konieczność, do wzajemnej miłości Chrystusa.

To właśnie tym sposobem posłużył się Pan Jezus w swoich objawieniach w Paray-le-Monial. Aby otrzymać naszą wzajemną miłość wynagradzającą, zaczął od tego, iż ukazał nam Swoje Boskie Serce i zapewnił nas o bezmiarze Swojej miłości: „Oto Serce, które tak bardzo ludzi ukochało”.

Niekoniecznie trzeba być psychologiem, by zauważyć, że takie jednak poznanie Najświętszego Serca Jezusowego i Jego miłości jest możliwe tylko przy uprzedniej proporcjonalnej miłości dla Boskiego Mistrza, i że nie może ono wzrastać inaczej, jak tylko z jej wzrostem.

Skoro jest to prawdą, że dla każdego z nas Bóg jest takim, za jakiego Go uważamy, ileż to łask bezcennych dla uświęcenia otrzymamy dzięki tak wielkiemu wyobrażeniu o miłości Najświętszego Serca Jezusowego.

Najważniejsze jest jednak to, że taka postawa duszy zachwyca Boskiego Mistrza i już sama przez się jest Mu ona wynagrodzeniem za wielką liczbę dusz, które nie dowierzają Jego miłości.

Znaczenie wiary w miłość dla naszego życia wewnętrznego

Na wszystkich ścianach naszych domów należałoby umieścić następujący napis: „Nie

możesz większej przysługi oddać ani sobie, ani drugim nad tę, jeżeli przekonasz siebie i drugih o bezmiarze miłości Najświętszego Serca Jezusowego dla ciebie i dla każdej duszy". Przekonanie to bowiem staje się dla duszy tym, czym jest co roku dla naszej ziemi wiosenne słońce, które topi lody i śniegi, wszystko ożywia, do życia i rozkwitu świat pobudza, na każdym kroku wszystko upiększa i radość wyczarowuje.

Wiara w miłość jest fundamentem naszego życia wewnętrznego i źródłem, z którego ono wypływa. Im żywsza jest wiara, im większe nasze wyobrażenie o miłości, jaką jesteśmy umiłowani, tym intensywniejsze zrodzi się z niej życie wewnętrzne. I to pod działaniem łaski, niemal jako konieczność psychologiczna. Od wyobrażenia bowiem, jakie mamy o ogromie tej miłości, czuwającej nad każdym naszym krokiem, zależy wszystko inne w naszym życiu wewnętrznym. I tak, od owej wiary w miłość, od jej stopnia, zależy bezpośrednio i stopień naszej ufności, i stopień naszej miłości; pośrednio zaś wszystko inne, bo z miłości dla Boskiego Mistrza wypływa, a więc ofiarność i poświęcenie, miłość nasza dla Ojca, miłość dla bliźnich i wszystko inne. Ona więc, jej żywość i głębia decydują o poziomie naszego życia wewnętrznego.

Dlatego, jeżeli pragniemy, aby w naszym

własnym życiu wewnętrznym dokonał się zryw, cud podobny do przejścia od zimy do wiosny; jeżeli chcemy zbudzić duszę z grzechu i uśpiania i zdobyć ją dla Chrystusa, mówmy sobie i drugim o bezmiarze Jego miłości – miłości indywidualnej dla poszczególnych dusz. Mówmy, że to dla każdego z nas z osobna Jego Boskie Serce jest *fornax ardens caritatis* – gorejącym ogniskiem miłości, że to do każdego z nas odnoszą się słowa: „gdyby nawet matka Twoja mogła o tobie zapomnieć, to Ja, Bóg twój, nie zapomnę o tobie”.

Wiemy, że o każdą duszę troszczy się On tak, jak gdyby ona tylko była na świecie; jakby była Jego *pupilla oculi* – źrenicą oka; *sub umbra alarum protegit eam... sicut gallina pullos suos* – cieniem Swych skrzydeł ochrania ją... jak kura swe pisklęta.

A gdy dusza to wszystko uświadomi sobie, z czasem zrodzi się w niej pod działaniem łaski wszystko inne: i dziecięca ufność ze swoimi przejawami, wkraczająca nawet w drobne szczegóły życia, tak zachwycająca Boskiego Mistrza – a co ważniejsze, wzajemna dla Niego miłość, ze wszystkim, co pojęcie miłości w sobie zawiera.

Nasz sposób patrzenia na życie i na świat

Widoczną cechą życia wewnętrznego wielkiej liczby współczesnych nam dusz, niekiedy nawet tych pnących się wzwyż, jest jakiś dziwny lęk, pesymizm, przygnębienie i fatalizm, będący chyba odpryskami jansenizmu [stawiał chrześcijanom przesadnie surowe wymagania moralne, głosił pesymistyczny pogląd na naturę człowieka, przedstawiał Boga jako bezwzględnego Pana i Sędziego o zimnym i surowym sercu – przyp. red.], czy innych błędów, pojawiających się w historii. Rzeczywistością najbardziej przez nie w życiu odczuwaną jest świadomość zła zalewającego świat, własnych grzechów, osobistych smutnych perspektyw i zagrażających niebezpieczeństw.

Gdy idzie o nas, którzy na drodze życia spotkaliśmy Boskie Serce Jezusa, nie możemy należeć do tej kategorii dusz. Jeżeli tylko bowiem jesteśmy konsekwentni, w następstwie tego spotkania, powoli pod działaniem łaski i własnych przeżyć, dokona się w nas prawdziwa przemiana sposobu przeżywania wiary świętej i odczuwania otaczającej nas rzeczywistości. Atmosferą zasadniczą, w której odtąd rozwijać się będzie

nasze życie wewnętrzne, będzie atmosfera odprężenia – uczucie bezpieczeństwa dziecka, które czuje, że jest umiłowane nad życie – atmosfera serdecznego i bezgranicznego zaufania i zawierzenia tej wszechmocnej, zewsząd otaczającej nas miłości.

Powoli skryształizuje się i powstanie w nas, mniej lub więcej świadomy, cały światopogląd będący najgłębszą, istotną treścią naszej wiary świętej, a który opromieni wiosną, ciepłem, radością nasze ziemskie bytowanie.

Oto w kilku słowach jego sformułowanie. Naczelną rzeczywistością naszego istnienia jest bezmiar miłości, jaką jesteśmy umiłowani. Wszystko zaś inne, co nas otacza lub spotyka, jest tylko albo dziełem tej miłości, albo środkiem, którym ona dla naszego dobra się posługuje. To miłość powołała nas do istnienia, po to, by przez całą wieczność mogła nas darzyć oceanem szczęścia. Miłość ta z najserdeczniejszą, większą niż matczyzna troskliwość, czuwa nad każdym naszym krokiem i każdą chwilą naszego życia i konsekwentnie, pomimo wszystko, prowadzi nas do tego radosnego celu. Ku niemu skierowuje ona wszystko, co nas w życiu spotyka. Cierpienie zaś, chociaż tak bardzo narzuca się nam ono w obecnej

fazie naszego istnienia, jest zjawiskiem tylko przejściowym, mającym swój najgłębszy sens, pomimo że nie w każdym konkretnym wypadku tę celowość potrafimy dostrzec.

Jest to widzenie rzeczy zrodzone z wyobrażenia Boga, który tak nas umiłował, że dla każdego z nas stał się Dzieciątkiem, że dał za nas życie, że dla każdego z nas stał się odrobiną Chleba. Rodzi się ono też z przypowieści o zgubionej owcy i Dobrym Pasterzu, o synu marnotrawnym, ze sceny z jawnogrzesznicą, z Zacheuszem i łotrem na krzyżu, a przede wszystkim z czynów Chrystusa. Powiedzmy krótko: jest to wizja zrodzona z Ewangelii.

Stosunek duszy ludzkiej do takiego pojmowania rzeczywistości jest taki, jak człowieka spragnionego do czystej, orzeźwiającej wody, toteż każdą odrobiną swojego serca, chociaż często nieświadomie, człowiek tęskni do takiego umiłowania życia. W naszych zaś burzliwych czasach pragnie tego jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

Nie pozwólmy zatem, by pewien odłam naszej literatury, przez swoją ponurość i beznadziejność, rzucił w naszą duszę cień. Jeżeli tego rodzaju książki mamy w naszych bibliotekach i jeżeli dajemy je czytelnikowi młodemu i bezkrytycznemu, powiedzmy mu, że obraz życia w nich

zawarty nie jest obiektywny, że jest jednostronny. Zwróćmy uwagę, że tego rodzaju literatura jest nie tyle wiernym odtworzeniem życia, ile raczej dokumentem nastrojów nurtujących pewien odłam naszego społeczeństwa w niektórych okresach historii, nastrojów wywołanych katastrofami dziejowymi. Przede wszystkim zaś, że jest ona objawieniem tragedii duszy autora, nie mającego nadziei, a nie obiektywnym obrazem otaczającej nas rzeczywistości.

Nie obawiamy się zarzutu, że i nasz światopogląd również jest jednostronny. Nie. My przecież też nie negujemy cierpienia, nie zamykamy nań oczu. Przeciwnie, i dla nas jest ono wielką, codzienną rzeczywistością. Nie zapominamy jednak o tym, że jak w życiu Chrystusa, tak i w życiu poszczególnych członków Jego Ciała mistycznego, krzyż jest wielką, centralną rzeczywistością.

Ten krzyż i cierpienie mają dla nas najwyższy sens. To narzędzie, którym najzyczliwsza Miłość się posługuje. Czyż bez owej wielkiej tragedii życiowej, jaką dla świętej Teresy od Dzieciątka Jezus była upokarzająca choroba jej ojca, wzniosłaby się ona na te wyżyny wiary w miłość i heroicznej ufności, które zapewniły jej „huragan chwały”, a co ważniejsze, wpływ na niezliczone

rzesze dusz wielu pokoleń?

Uświadamiamy sobie, że skoro Ten, który tak nas miłuje i wie o każdym uderzeniu naszego serca, szedł z krzyżem w cierniowej koronie i omdlewał pod nim z wyczerpania, uczynił to także po to, aby nas zapewnić, że On wie, czym jest cierpienie. Skoro więc On sam, Mądrość najwyższa, podjął je i On – Miłość – dopuszcza je na tych, których nad życie miłuje, to widocznie musi ono być czymś koniecznym dla ich dobra.

Także i my przyznajemy, że łzy wylane przez ludzi, zebrane razem, utworzyłyby wielkie morze. Wiemy jednak też, że owo morze łez nie jest jeszcze całą rzeczywistością. Naprzeciw niego jest jeszcze inne morze, ocean tego, co Miłość uczyniła i czyni dla płaczących, aby ich pocieszyć i sił im dodać. Wiemy również, że Miłość ta, jak najtroskliwsza matka, pochyła się nad każdą cierpiącą duszą, by dodać jej otuchy czy to przez stworzenia, czy przez tchnienie wewnętrznej łaski. A w rękę tej wszechmocnej Miłości nawet jeden rozszczepiony promień słońca, jeden uśmiech dziecka, zabłąkana myśl, słowo bliźniego, gest, są dla duszy jak dotknięcie czarodziejskiej różdżki, które ją pokrzepia i dodaje sił do dalszego dźwigania krzyża.

Tylko, że tym, co najbardziej w czasach klęsk

narzuca się naszej uwadze jest bezmiar cierpień. Mimo woli sumujemy razem to, co znoszą poszczególne jednostki, a zapominamy zsumować to, co czyni Miłość dla każdej z nich, aby ją pocieszyć. Toteż obraz życia, jaki sobie wtedy wytwarzamy jest niekompletny i jednostronny, zresztą, nie może być inaczej. Rzeczy te bowiem rozgrywające się w głębi duszy, najczęściej uchodzą naszej uwadze. I tylko z naszych własnych przeżyć możemy wywnioskować, co Miłość czyni także i dla naszych braci, gdy i oni cierpią.

Nie zapominamy także o istnieniu sprawiedliwości Bożej. Lecz dla nas, nawet kara wymierzona przez nią niekiedy już tutaj na ziemi, także jest opromieniona miłością. Widzimy w niej nie tyle dzieło gniewu, ile dzieło miłości, która za wszelką cenę chce błądzące dziecko doprowadzić do opamiętania.

Nie zapominamy również o straszliwej tajemnicy piekła, jak nie zapomniał o niej ten, który przecież głosił: „Bóg jest miłością”. W świetle naszego światopoglądu jest ono przede wszystkim ostatecznym, rozpaczliwym środkiem, którego Miłość używa, by błądzące dzieci zawrócić ze złej drogi. Wielkość zaś użytego środka jest w naszych oczach jednym dowodem więcej ogromu miłości, jaką Bóg ma

dla nas.

Nie może być więc mowy o jednostronności naszego poglądu, bowiem nie zamykamy oczu na żaden aspekt rzeczywistości, a przede wszystkim zaś nie negujemy krzyża. Krzyż ten jednak widzimy jakby w blasku słońca – cały opromieniony miłością.

Sposób odczuwania miłości Najśw. Serca Jezusowego i jego punkty wyjściowe

Sposób, w jaki dusze odczuwają miłość Najświętszego Serca Jezusowego, bywa różny.

Jedne odczuwają ją przede wszystkim jako najtroskliwszą o p i e k ę , czuwającą nad każdym ich krokiem. Dusze te drżeć będą na samą myśl, że przez zbyt ni niepokój o swą przyszłość doczesną, niezadowolenie lub w inny sposób mogłyby zranić nieufnością Miłość, czuwającą więcej niż po macierzyńsku nad każdą chwilą ich życia.

Inne, żyjące pod wrażeniem swych upadków i oświecone łaską co do swoich smutnych możliwości, odczuwają tę miłość przede wszystkim jako bezgraniczne m i ł o s i e r d z i e. Pomimo, że smucą się z powodu swych upadków, że potępiają je i czynią co w ich mocy, by do nich

nie dopuścić, to jednak mimo wszystko czują się szczęśliwe na myśl, że ich nędza sprawia, iż swojego zbawienia mogą oczekiwać jedynie od miłosierdzia Boskiego Serca Jezusowego. Czują się wówczas pewniejsze swojego zbawienia, niż wtedy gdyby, będąc sprawiedliwymi, mogły liczyć na własne zasługi.

Inne odczuwają tę miłość jako bezgraniczną hojność, szafującą dobrami bez miary i wiele razy w życiu przekonują się, jak słuszne jest ich mniemanie.

Rzeczywistość, jaką jest miłość Najświętszego Serca Jezusowego, jest tak ogromna, że dusze nie potrafią objąć naraz jej całości, lecz zależnie od natchnień łaski, usposobienia i własnych przeżyć, raz odczuwają jeden jej aspekt, kiedy indziej drugi.

Również punkt wyjściowy dla wyobrażenia sobie tej miłości bywa różny. Zapewne, decydują o tym osobiste przeżycia duszy. I tak np. nie można oprzeć się tej myśli, że „Droga dziecięstwa duchowego” św. Teresy od Dzieciątka Jezus jest właśnie transpozycją w dziedzinę nadprzyrodzoną, dokonaną pod działaniem łaski, transpozycją głęboko odczuwanej miłości jej ojca. Inne zaś dusze, które w swym życiu głęboko odczuwały może raczej miłość swych

matek, od tego właśnie przeżycia rozpoczną drogę dla wyobrażenia sobie ogromu miłości Boga-Człowieka.

Mówmy niekiedy rodzicom, tym, którzy rzeczy potrafią zrozumieć, jak wielkie znaczenie na życie i na wieczność może mieć dla ich dzieci sposób, w jaki obchodzą się z nimi.

Za punkt wyjściowy również może posłużyć miłość oblubieńca dla swojej oblubienicy.

Jedno jest pewne – miłość Boga-Człowieka dla duszy ma w sobie coś ze wszystkich tych miłości. Jest to równocześnie i miłość najlepszego Ojca dla swojego malutkiego dziecka, i miłość najtroskliwszej matki, i oblubieńca, i miłość brata, i najbardziej oddanego przyjaciela. Każda więc z wymienionych miłości może nam posłużyć za punkt wyjściowy, lecz tylko za punkt wyjściowy (analogię). Żadna z nich jednak, ani wszystkie razem nie wyczerpują owej przebogatej i radosnej rzeczywistości.

Apostolstwo Najśw. Serca Jezusowego

Skarbu tego, jakim jest Najśw. Serce Jezusa, nie chowajmy dla siebie samych. Dzielimy się nim z kim tylko możemy. W miarę naszych

możliwości głośmy dookoła siebie bezmiar Jego miłości dla każdej duszy, Jego najserdeczniejszą troskliwość o jej dobro, ogrom Jego miłosierdzia i litości dla naszej ludzkiej nędzy. Pokazujmy duszom jaka to radosna treść kryje się za wyrażeniem: „Najświętsze Serce Jezusa”. Chrystus niczego tak nie pragnie, jak tego, by dusze poznały Jego Boskie Serce i uważały Go za takiego, jakim On jest w rzeczywistości, gdyż jest to jedyna droga do zdobycia ich miłości.

Między Boskim Mistrzem a nami zaistniały na życie i na śmierć więzy bezgranicznej wdzięczności za ów cud zmiłowania, jakim jest nasze powołanie. Otóż tę naszą pokorną wdzięczność okażmy Mu w sposób idący po linii tych właśnie Jego pragnień i głośmy dookoła siebie, jak umiemy, Jego Boskie Serce. W ten rodzaj apostołstwa włóżmy całą naszą duszę. Niech będzie ono ciągłą perspektywą naszego życia. Włączmy w jego służbę wszystkie nasze możliwości: ambonę, stół konferencyjny, konfesjonał, pióro, rekolekcje.

I nie obawiajmy się o los naszej prawdy. Ze spokojną ufnością rzucajmy wszędzie, gdzie się da jej ziarno. Dusza ludzka tęskni bowiem za tym, by jej mówiono, jak bardzo Bóg ją mi-

łuże, by ją o tym zapewniano, by jej to powtarzano. W naszych zaś czasach dusze, bardziej jeszcze niż kiedy indziej, odczuwają potrzebę, by im głoszone miłość, która nie zawodzi, o którą mogłyby oprzeć się bezpiecznie, na którą zawsze można liczyć. Przede wszystkim jednak gwarancją niezwyklej owocności tej naszej pracy jest to, że w najwyższym stopniu szłaby ona po linii pragnień Najświętszego Serca Jezusowego.

Bardzo skutecznym środkiem do głoszenia duszom Najświętszego Serca Jezusowego mogą się stać rekolekcje (ćwiczenia duchowe). Na temat ćwiczeń duchowych św. Ignacego jeden z autorów ascetycznych pisze, że pobożność ignacjańska podporządkowana jest całkowicie idei „Majestatu Bożego” – Bogu jako „Stwórcy i Panu” Chrystusowi „Panu naszemu, przedwiecznemu Królowi”, któremu człowiek z prawa winien jest bezgraniczne oddanie. Dlatego też św. Ignacy na wstępie do swych ćwiczeń duchowych wygłasza jako najwyższą zasadę znane objaśnienie celu człowieczego bytowania na ziemi: „Człowiek stworzony jest na to, aby Boga, Pana swego, chwalił, Jemu cześć oddawał i służył Mu, a przez to duszę swoją zbawił”. Wytyczną dla

idei religijnej jest tu przeto, w pierwszym rzędzie, stosunek prawny pomiędzy poddanymi a królem.

Gdy mamy mówić do dusz, które może już wiele razy w życiu przemyślały prawdy podstawowe o naszej zależności od Boga-Stwórcy, spróbujmy wziąć jako fundament i ideę przewodnią głoszonych przez nas rekolekcji tę dominującą w Nowym Testamencie prawdę: „Bóg jest miłością” (1 J 4,16). Miłość ta zaś zgodnie z rzeczywistością objawiłaby się duszy odprawiającej rekolekcje przede wszystkim pod postacią Boskiego Mistrza, Jego Boskiego Serca. Wcielenie bowiem jak i życie Słowa Wcielonego wśród nas – Jego słowa, czyny, Jego Boskie Serce, to nic innego jak zbliżenie się ku nam tej odwiecznej, niestworzonej Miłości, objawienie się jej nam w postaci najbardziej zrozumiałej, to przełożenie tej odwiecznej Miłości na język ludzki.

Cały przebieg tak pomyślanych ćwiczeń duchowych byłby skierowany ku temu, aby dusza uświadomiła sobie tę prawdę, że naczelną rzeczywistością jej istnienia jest ogrom miłości, jaką jest ogarnięta, a wszystko, co ją otacza lub spotyka, jest albo dziełem tej miłości, albo środkiem, którym ona posługuje się dla jej dobra.

Cały ten wysiłek ćwiczeń duchownych tak ujętych szedłby w tym kierunku, by doprowadzić duszę do przebudowy jej dotychczasowego sposobu przeżywania wiary świętej i otaczającej ją rzeczywistości w sensie przedstawionym powyżej.

Praca ta jednak może być owocem tylko gruntownego przemyślenia i osobistego przeżycia tego zagadnienia. Uwarunkowana jest ona również koniecznością uprzedniego wyswobodzenia się z owych, głębokich niekiedy nawyków i kolein myślowych, sprawiających, że łatwiej przychodzi nam mówić i pisać z przekonaniem o grzechu, o cnotach, niż o największej i najradośniejszej rzeczywistości naszego istnienia: o miłości Boga dla nas, o Boskim Sercu Jezusa.

Dlaczego nie mielibyśmy rekolekcjom przez nas głoszonym, szczególnie w domach zakonnych, nadawać wyżej przedstawionego kierunku? Wyniki naszej pracy mogą być zaskakujące.

Szczególną uwagę trzeba nam zwrócić na zdobywanie dla Najświętszego Serca Jezusowego „pozycji kluczowych”. Jedną z nich jest matka.

Pozyskać matkę dla Najświętszego Serca Jezusowego, to zdobyć wpływ także i na jej dzieci.

Nie jeden z nas jest żywym dowodem słuszności tego twierdzenia. Skąd wziął się na naszej dziecięcej piersi medalik Najświętszego Serca Jezusowego? Skąd wziął się w naszej rodzinie zwyczaj odmawiania przez czerwiec litanii do Boskiego Serca Jezusowego przed Jego obrazem? Komu to przypisać, jeżeli w naszej rodzinie dzieci jedno po drugim zostawały wpisane do Apostolstwa Modlitwy i jeżeli codziennie odmawiały przy porannym paciorku akt ofiarowania siebie i całego dnia Najświętszemu Sercu Jezusowemu? Jeżeli tak było, to sprawił to prawdopodobnie nie kto inny, tylko nasza matka, pozyskana dla Najświętszego Serca Jezusowego.

Nasza gorliwość o sprawę Bożą podsunie nam nie jeden sposób dotarcia do matki, czy to za pomocą odpowiedniej broszury, artykułu, czy żywego słowa.

Znaczne możliwości w tym względzie otwiera przed nami również konfesjonał.

Wielkie wrażenie wywierają na młodą matkę takie na przykład słowa: „Matko, Ty chcesz nieba przychylić Twojemu dziecku. Widzisz, że jest ktoś, kto twoje dziecko bardziej jeszcze kocha niż Ty. Dobrze życzysz Twojemu maleństwu? Widzisz, gdy niekiedy w święto masz może nieco czasu, klękniij sobie przy jego kołysce

i odmawiaj nad nim litanie do Najświętszego Serca Jezusowego z tym pragnieniem, by Twoje maleństwo oddać w opiekę Boskiemu Sercu. Szczęśliwe dziecko, które mama w ten sposób często oddaje Najświętszemu Sercu Jezusowemu”.

Albo: „Matko, Ty tak bardzo kochasz Twoje dzieci. Chcesz oddać je w najlepszą, jaka może być, opiekę? Zawieś na ich piersiach medalik Najświętszego Serca Jezusowego. Gdybyś Ty wiedziała, co to znaczy Boskie Serce Jezusa! Naucz je, by Je wzywały i ufały Mu. Przyda im się to w życiu, szczególnie, gdy Ciebie już przy nich nie będzie”.

Nasze kapłańskie serce, przepelnione Boskim Sercem Jezusa, podda nam więcej podobnych krótkich, trafiających do serca matki pouczeń.

Skorzystajmy z tych możliwości, jakie daje nam konfesjonał i gdy tylko nie zachodzi konieczność innego pouczenia, spowodowana aktualnymi potrzebami duszy, mówmy matkom, i nie tylko matkom, o Najświętszym Sercu Jezusowym. Słowa nasze, zrodzone z miłości dla Boskiego Mistrza, powiedziane z przekonaniem i z autorytetem kapłańskim, pod działaniem łaski sakramentalnej nie pójdą na marne.

Wielkie możliwości takiego apostołstwa

Najświętszego Serca Jezusowego wśród przyszłych matek mają przed sobą wychowawczy-nie młodzieży żeńskiej.

Szczęśliwi ci, którzy pozwolą opanować się idei tak pojętego apostołstwa, idącego tak bardzo po linii pragnień Boskiego Serca ich Mistrza.

Szczęśliwi za życia, gdyż rozpalając ten ogień dookoła siebie, sami wkrótce w nim spłoną ze swoją nędzą. Jak się to stanie, co Boskie Serce Jezusa będzie musiało uczynić, by ich podnieść na szczyty świętości? Wystarczy by-śmy wiedzieli, że Jego obietnice są niezawodne i że Jego miłość dysponuje wszechmocą, której nawet nasza nędza nie potrafi się oprzeć.

Szczęśliwi w chwili śmierci, gdyż Boskie Serce Jezusa okaże im wtedy ogrom miłosierdzia, które oni całe swe życie głosili – umierać będą w skrusze i miłości doskonalej ze słowami *Cor Jesu* na ustach. Także ci, co patrzeć będą na ich śmierć, powiedzą: Prawdziwie *beati qui in Corde Jesu moriuntur* – błogosławieni, którzy umierają w Boskim Sercu Jezusa.

Najśw. Serce Jezusa w godzinę śmierci

Pomagajmy naszym umierającym, aby Boskie Serce Jezusa, które było słońcem ich

życia, było słońcem także i ich ostatnich chwil ziemskiego pielgrzymowania.

Umierający potrzebuje w tym celu naszej pomocy. Jego dusza, uzależniona w działaniu od cierpiącego i słabnącego ciała, nie znajduje już w nim więcej sprawnego narzędzia. Stąd też i działalność jej władz, umysłu i woli, najczęściej ulega osłabieniu. Dlatego często prawie cała uwaga chorego koncentruje się na jego dolegliwościach fizycznych, a wszystko inne w cień się usuwa. Nawet prawdy najistotniejsze, o których do głębi był przekonany, przestają niejako istnieć.

Toteż zaskarbimy sobie serdeczną wdzięczność Boskiego Mistrza, jeżeli dołożymy starań, by ostatnie chwile chorego opromienić Jego Najświętszym Sercem. Mówmy przeto choremu, jak umiemy, o Najświętszym Sercu Jezusowym, o Jego miłości dla nas, o dziecięcej ufności, o zdaniu się na Jego miłość. Poddawajmy umierającemu krótkie akty wiary, nadziei i ufności, a przede wszystkim zdania się na Boga wolę. Jemu naprawdę tej pomocy potrzeba.

Zawieśmy obraz Najświętszego Serca Jezusowego tak, aby umierający mógł go widzieć.

A gdy jego łódź już będzie odbijać od brzegu, szepnijmy mu do ucha: „Najświętsze Serce Jezusa, miej litość nade mną” lub *In Te Cor Jesu*

speravi, non confundar in aeternum – Tobie, Serce Jezusa, zaufałem, nie będę zawiedziony na wieki. Słowa: *Cor Jesu* niech będą ostatnimi, których echo zabierze ze sobą do wieczności.

Nadzieja

Powołanie do świętości

Dusze o życiu wewnętrznym, nieco pogłębianym w pewnym stadium swego rozwoju, zaczynają uświadamiać sobie, iż w głębi ich istoty, odkąd tylko może sięga ich pamięć, działa bezustannie jakaś dziwna tajemnicza siła, kierująca ich życie wzwyż. Coś podobnego mogą odczuwać chyba tylko przelotne ptaki, gdy na jesieni instynkt zaczyna kierować je w dal. Każdy opór owej tajemniczej sile i każde odchylenie od nadawanego przez nią kierunku przyprawia duszę o niezadowolenie i rozterkę. Czuje się ona tak, jak czuje się chyba na jesieni ów ptak wędrowny o złamanym skrzydle, którego cała siła instynktu ciągnie na południe, a on jest jej niewierny.

My znamy nazwę tej tajemniczej siły – to łaska. A owa dążność – tęsknota, którą ona w duszy wywołuje i podtrzymuje, to tęsknota do stania się samym „sobą”, tym, czym Bóg przeznaczył duszy, by była na zawsze kiedyś w krainie wiecznej wiosny.

Bóg stworzył ją bez niej, lecz bez niej nie uczyni jej tym, czym ona ostatecznie ma być w wiecz-

ności. Życie doczesne, łaska wewnętrzna i łaski zewnętrzne, wszystko, co ją w życiu spotyka – wszystko to dane jest jej właśnie w tym celu, by mogła stać się sobą.

W chwili obecnej sam tylko Bóg zna jej prawdziwe imię, to, które ona w ostatecznie już ustalonym, nowym porządku rzeczy nosić będzie, a które będzie wykładnikiem jej wewnętrznej treści.

Nam, obsypanym łaskami bez miary, powołanym do kapłaństwa, do zakonu, do życia wynagradzającego, Boski Mistrz objawił swoje Serce i powierzył to, co ma najdroższego – chwałę Swojego Ojca i dusze ludzkie. Ogrom otrzymanych łask i wprost miażdżąca nas wielkość naszego posłannictwa, a także bolesna reakcja dusz naszych na najmniejsze niewierności – wszystko to sprawia, iż możemy zdać sobie sprawę z tego, czym Bóg chce, abyśmy byli w wieczności. Świętość heroiczna – oto nasze powołanie. Dopiero wtedy będziemy sobą i wypełni się w nas wola Boża, i będziemy tym, czym Bóg chce, abyśmy byli na zawsze w krainie światła, gdy staniemy się świętymi. I nie mamy innego wyjścia: albo będziemy świętymi, albo nigdy nie będziemy sobą.

A zatem świętość jest najwyższym naszym

osobistym dobrem, zrealizowaniem owych najgłębszych dążeń, które ów tajemniczy zew łaski w nas wywołuje. Gdybyśmy zatem któregoś dnia zrezygnowali z owego pięcia się ze wszystkich sił wzwyż, natychmiast dusza nasza czułaby się tak, jak czuje się na jesieni ów ptak wędrowny, który skaleczył sobie skrzydło.

Świętość i apostołstwo

W pogodny, słoneczny dzień usiadźmy sobie na wysokim wzniesieniu i przypatrzmy się okolicy. Jak okiem sięgnąć i na prawo, i na lewo, i przed nami dziesiątki, setki chat rozsianych tu i tam. To na zboczach, to w załamaniach terenu, coraz mniejszych i mniejszych w miarę jak wzrok nasz przesuwają się ku krańcowi widnokładu. Wszystko – i domy, i skrawki lasów, i pola, i drogi – skąpane w blasku słońca. I przychodzi nam na myśl, że wszędzie, w całej tej okolicy, w tych dziesiątkach domów mieszkają od wielu pokoleń dusze znające Boskiego Mistrza, ludzie mający – jeżeli już nie zawsze miłość – to przecież zawsze wiarę i nadzieję. Co roku setki dzieci w tych domach ze wzruszeniem wsłuchują się w historię o Bogu, który tak nas miłuje, że stał się dla nas małym Dzieciątkiem. Z zapartym tchem i łzami wzruszenia w niewinnych oczach słucha-

ją historii o tym, jak On wisiał i konał na krzyżu.

I myślimy sobie, że także tam dalej, hen za widnokrzem, setki kilometrów na północ i na wschód, i na zachód, podobna rozciąga się kraina, usiana ludzkimi osiedlami, wioskami, miastami. A w nich także żyją miliony rodzin, w których matki wraz z życiem przekazują swym dzieciom skarb wiary świętej. A gdy o tym myślimy, czujemy, że krainę tę i ten naród zaczynamy miłować jeszcze więcej, uświadamiamy sobie, że miłość ta jest odbiciem i częścią tej samej miłości, którą mamy dla Boskiego Mistrza.

Wyobraźnia nasza niesie nas jednak coraz dalej i dalej tysiącami kilometrów. I oczyma duszy widzimy bezkresne przestrzenie świata, zaludnione setkami milionów istot ludzkich, które nigdy nie słyszały i może nieszybko usłyszą tę radosną wieść, że Bóg tak umiłował świat, iż Syna Swego jednorodzonego dał dla jego zbawienia.

I serce nam się ściska na tę myśl. I pomimo iż czujemy, że dzieło to przewyższa swym ogromem siły nawet wielu olbrzymów, powstaje w głębi naszej duszy rozpaczliwe pragnienie, by uczynić co tylko można, by przyspieszyć tę chwilę, aby i na tych bezkresnych przestrzeniach, tak jak w tych wioskach, które mamy przed oczyma, owe setki milionów dzieci,

z pokolenia na pokolenie, już na kolanach matki, poznawały Chrystusa, a Jego Imię było jednym z pierwszych wyrazów przez nie wymawianych.

I przypomina nam się wtedy wszystko, co słyszeliśmy o tajemniczym, nadprzyrodzonym oddziaływaniu jednych dusz na drugie, o owych tajemniczych falach wpływu nadprzyrodzonego, które odbieramy od innych dusz, miłością z Chrystusem złączonych, i które my także powodujemy i rozsyłamy do innych dusz, aż na krańce ziemi – a których intensywność zależy od stopnia naszego życia wewnętrznego. Świętość zaś każdej duszy, nawet tej najbardziej ukrytej, przyczynia się do wzmożenia siły wewnętrznej aktywności Kościoła świętego.

I przychodzi nam na myśl, że środkiem najskuteczniejszym, by przyspieszyć Królestwo Najświętszego Serca Jezusowego na całej kuli ziemskiej, jest nasza możliwie najwyższa świętość osobista. Z setek i tysięcy takich nawet biedaków jak my – jeśli tylko byłiby w całym tego słowa znaczeniu straceńcami Chrystusowymi – z ich heroicznej wiary w miłość Jego Boskiego Serca, z ich dziecięcej ufności, z ich miłości, ofiary całopalnej, ich modlitw

i prac, powstaną kiedyś w Kościele Bożym apostołowie na miarę św. Pawła. I oni żarem swojej miłości i swojego słowa ogarną całą kulę ziemską. Jeżeli przeto marzymy o tym, by całą naszą istotę bez reszty rzucić na szalę Królestwa Najświętszego Serca Jezusowego i zbawienia dusz, by dla tych celów uczynić, ile tylko się da, i dla nich wyczerpać wszystkie swoje możliwości, to dokona się to tylko przez maksymalną naszą świętość osobistą, i jedynie ona zapewni nam najwyższy wpływ na wieczne losy dusz.

Uświadamimy sobie, że i z tego więc tytułu świętość osobista jest naszym najwyższym dobrem.

Warunki świętości

Ufność

Dobro najwyższe pod każdym względem – świętość, będzie naszym udziałem. Staniemy się więc sobą. Przez takie zaś spełnianie się w nas planów Bożych zrealizowana w nas zostanie najwyższa wartość wszelkiego istnienia: wola Boża. Równocześnie damy przez to Panu Bogu maksimum należnej Mu chwały, do jakiej tylko

jesteśmy zdolni i tak osiągniemy w doskonały sposób cel naszego istnienia. Jednocześnie wyrzemy najwyższy wpływ na dusze.

Wszystko to jest możliwe pomimo bezmiaru naszej nędzy i naszych dotychczasowych upadków. Gdyby tak nasza matka miała do swojej dyspozycji wszechmoc, czyż obawialibyśmy się wtedy nawet o drobiazgi nie mające dla nas dużego znaczenia? A cóż dopiero o rzecz z ważnych najważniejszą. Boskie Serce Jezusa, ów *fornax ardens caritatis* – gorejące ognisko miłości, przy którym nawet miłość naszej matki jest mniej niż cieniem, dysponuje właśnie wszechmocą, której nic, nawet bezmiar naszej nędzy oprzeć się nie potrafi. Jeżeli przeto jesteśmy konsekwentni, to o bolesny skurcz serca przyprawi nas już samo tylko przypuszczenie, że po stworzeniu więcej moglibyśmy się spodziewać niż po Jego miłości.

Jeśli tak, to dlaczego pomimo istnienia tej bezmiernej, wszechmocnej miłości, niejedna dusza, pomimo wielu lat przeżytych w domu Bożym nie osiąga tego stopnia świętości, do jakiego została powołana? Z tego samego powodu, dla którego niekiedy ten nawet dom, koło którego przechodzi linia energii elektrycznej, nie korzysta z jej dobrodziejstw – gdyż nie jest w nią włączony.

52 I tu dochodzimy do twierdzeń, które nale-

żałoby wydrukować dużymi, różnobarwnymi literami, tak aby prawdy w nich zawarte op nowały zmysły i wyobraźnię, a przez to głębiej zapadły w duszę; albo należałoby ogłosić je duszy po kilkudniowym dopiero przygotowaniu, w jakiejś kaplicy tonącej w powodzi światła, kwiatów, zapachów, aby człowiek nawet zmysłami zrozumiał, iż prawdy, w które wtajemniczono go w tak niezwykłych okolicznościach, muszą być czymś niezmiernie ważnym.

Oto one:

Jeżeli chcemy, aby Boski Mistrz urzeczywistnił w nas, to, co jest najdroższym pragnieniem Jego Serca, celem każdej cegły domu, w którym mieszkamy, każdej litery naszych Konstytucji – celem tych tysięcy rozmyślań, modlitw, praktyk pobożnych, trudów, zmagania całego życia – CUD ŚWIĘTOŚCI – trzeba, abyśmy zajęli następujące potrójne stanowisko:

* Musimy zwątpić – i to zupełnie – w samych siebie i w nasze możliwości!

* Przerzucić całą naszą nadzieję tylko na wszechmocną miłość Boskiego Serca Jezusowego.

* Pozwolić tej miłości wszechmocnej działać w nas bez przeszkód.

Bez tego nawet nasza wiara w miłość

Najświętszego Serca Jezusowego – chociaż tak ważna dla naszego życia wewnętrznego, jak dla rzeki ważne jest źródło, z którego ona wypływa – nie na wiele nam się przyda. Sama bowiem wiara w miłość to tylko skonstatowanie, że jesteśmy umiłowani. Dopiero przez owo potrójne nastawienie duszy – „beznadziejną” ufność i zostawienie swobody działania – włączamy się niejako w ową sieć nieskończonego napięcia najzyczliwszej miłości, tak że dopiero wtedy może ona zdziałać w nas cud, który jest celem naszego życia.

Przed wszystkim jednak tym jedynie właściwym punktem wyjściowym ku świętości jest zupełne zwątpienie o sobie i o swoich możliwościach. To najgłębsze przekonanie, że świętość dla nas, zostawionych samym sobie i własnym siłom, jest rzeczą niemożliwą, i że potrzebna jest tutaj interwencja wszechmocy Bożej.

Pomni, że królestwo niebieskie zdobywają ludzie zdecydowani i odważni, czynimy co w naszej mocy, by wznieść się do świętości, tak jak gdyby ona tylko od nas i od naszych wysiłków zależała. Rozmyślajmy więc, przewidujemy, postanawiamy, używajmy szczegółowego rachunku sumienia i innych środków wskazanych nam przez Kościół święty. Skuteczności jednak tych naszych wysiłków oczekujemy tyl-

ko od wszechmocy Boskiego Serca Jezusowego i Jego najserdeczniejszej dla nas życzliwości.

Ów zaś stan „zwątpienia” we własne możliwości dlatego ma znaczenie tak decydujące, gdyż on to dopiero sprawia, że tego cudu, jakim jest świętość, zaczynamy oczekiwać i spodziewać się wyłącznie od wszechmocnej miłości Najświętszego Serca Jezusowego. A właśnie to jest rzeczą istotną, by Boskie Serce Jezusa było **jedyną** naszą nadzieją.

Nie zatrzymujemy się więc ani na chwilę na owym akcie „zwątpienia”, lecz rzućmy się w bezgraniczną ufność, wypływającą z naszej wiary w miłość wszechmocną. Powiedzmy sobie: „Ty więc tylko, Boskie Serce Jezusa, jesteś moją nadzieją. Wszystko inne zawiodło. Jestem w tej chwili na samym dnie mojej nędzy, lecz Ty i tam potrafisz zejść, podźwignąć mnie, uleczyć moje rany i wznieść mnie w górę”.

Nigdy nie można podkreślić wystarczająco potrzeby i roli ufności w dziele naszego uświęcenia. Ona to przede wszystkim wzrusza Boskie Serce Jezusa i wprowadza w ruch Jego wszechmoc. Bożej właśnie wszechmocy potrzeba, by przezwyciężyć naszą słabość i zmienność i podnieść nas do heroizmu na co dzień, czyli do świętości.

Teologia mówi nam, że ufność jest *principium impetrationis* – zasadą prośby, tak jak miłość jest *principium meriti* – zasadą zasługi. Im większa

jest miłość, z której uczynek pochodzi, tym większa jest jego zasługa; podobnie im więcej ufamy, tym więcej od Boga otrzymujemy. Lecz powtórzmy to jeszcze raz, jedno jest tylko miejsce na ziemi, w którym się może dokonać owo całkowite uwarunkowanie naszej nadziei: dno przepaści naszej nędzy. – Nie na wzgórzu, nie na zboczu, lecz na dnie. Tam przeto trzeba nam zejść. Nie można oprzeć się myśli, że niektóre dusze tylko dlatego tam się staczają, iż nie chcą tam zejść dobrowolnie.

Autorzy piszący o życiu wewnętrznym twierdzą jednak zgodnie, że owo przedstawienie nadziei i zupełnie zaprzestanie opierania jej na sobie jest jedną z rzeczy bardzo trudnych. Najczęściej trzeba, by dusza doświadczała, i to po wiele razy, zakosztowała bezmiaru własnej słabości, by wreszcie nauczyła się liczyć tylko na wszechmoc Bożą. Od tej dopiero chwili zaczyna się w jej życiu prawdziwy postęp. To, co było dotąd, stanowiło jedynie nieświadome uwielbienie samego siebie.

*Zdanie się na Najśw. Serce Jezusa
w doborze środków*

Równocześnie zostawmy Boskiemu Sercu Jezusowemu zupełną swobodę działania, tzn. swobodę w doborze środków potrzebnych do

naszego uświęcenia i to zarówno gdy chodzi o główne linie naszego życia, jak i o wyznaczenie nam każdego poszczególnego kroku, w postaci obowiązku chwili obecnej.

Na karcie naszego życia złożmy *in blanco* nasz podpis, a Jego miłości i nieskończonej życzliwości pozwólmy napisać na niej, co zechce. I nawet nie pytajmy, ani nie myślmy o tym, co tam będzie napisane. A gdybyśmy nawet mieli możliwość dowiedzieć się, jakimi drogami Jego miłość nas poprowadzi, serce natychmiast powinno by nam kazać zamknąć oczy, aby przez to Chrystusowi okazać, jak bardzo wierzymy w Jego miłość i jak naprawdę jest ona dla nas wszystkim.

Oddajmy ster naszego życia w ręce Boskiego Mistrza, by z zupełną swobodą mógł nim pokierować. I nie pytajmy, dlaczego płyniemy tak powoli, lub dlaczego jedziemy w lewo, skoro należałoby jechać w prawo, ani dlaczego jedziemy prosto na skały, skoro wystarczyłaby odrobina Jego wszechmocy, aby je ominąć. Miejmy natomiast oczy, wyobraźnię, duszę przepelnioną bezmiarem miłości indywidualnej, jaką jesteśmy umiłowani.

Nie pozwólmy, by nasza wyobraźnia wzbudziła w nas niepokój i lęk. Nie myślmy o wulkanie ani o burzy, lecz o tym, że jesteśmy

jak to małe dziecko w objęciach wszechmocnej miłości. I o tym, aby w tej chwili obecnej wypełnić, co ona nam nakazuje, lub czego od nas pragnie. Całą naszą uwagę skoncentrujemy na tej Jego bezgranicznej miłości i na obowiązku chwili obecnej. Bądźmy jak ten podróżny, chociaż długą i uciążliwą drogę ma przed sobą, to jednak stawia na raz tylko jeden krok i w ten sposób całą ową przestrzeń pokonuje.

Módlmy się gorąco, bo On tego chce, o odwrócenie od nas tego, czego się obawiamy. Ta nasza modlitwa nie będzie niczym innym, jak echem owego wołania sprzed dwu tysięcy lat: „Ojcze, jeśli to możliwe, odwróć ode mnie ten kielich”. Skoro jednak nie wiemy, co dla nas dobre a co złe, zdajmy się zupełnie na Jego wolę i zostawmy Mu całkowitą swobodę działania.

Jeżeli Jego miłość każe nam pójść drogą krzywą, to pójdziemy. I będziemy upadać. Bo nie jest uczeń nad mistrza. Lecz On to wszystko rozumie, gdyż sam przez to przeszedł. Dlatego nie zostawi nas samymi. Będzie wówczas jeszcze bliżej nas niż dotąd. To On będzie wtedy w nas cierpiał. A równocześnie On, który w życiu był nam dotąd wszystkim, stanie się wtedy także i naszą siłą. I tak, krok za krokiem, pójdziemy z naszym krzyżem. Godziny, chociaż ciężkie,

będą płynąć i drogi z wolna będzie ubywać.

Niczego więc nie obawiamy się. Nawet nie myślimy o tym, co może nas spotkać. Przyszłość bowiem znana jest tylko Jemu. Układać zaś ją będzie Jego najtroskliwsza miłość. Zaufajmy i zostawmy jej swobodę działania. Całą naszą uwagę skoncentrujmy na wypełnianiu Jego woli, objawionej nam przez obowiązek chwili obecnej. I uważajmy się za prawdziwie uprzywilejowanych, iż danym nam jest żyć w takich czasach, w których mamy tyle sposobności dla okazywania Boskiemu Mistrzowi, jak bardzo Mu ufamy.

Miłość i jej niektóre przejawy

Bóg mój i wszystko moje!

Życie nasze pełne jest ułomności. Przy całej jednak naszej nędzy jedno wyprośmy i wywalczmy sobie: by nasze biedne ludzkie serce, które nam w piersi bije, całe należało do Boskiego Mistrza. By należało tak niepodzielnie, byśmy odczuli w nim bolesny skurcz już na samą myśl, że między Niego a nas mogłoby wejść jakieś stworzenie i przywiązanie, które nie byłoby refleksem i koniecznym następstwem naszej miłości dla Niego.

Na Nim skoncentrujmy całą naszą miłość. Skoro więc nas, którzy poszliśmy za Nim, Jego Boskie Serce otacza miłością, w której zawiera się i miłość ojcowska, i miłość macierzyńska, i miłość braterska, i miłość przyjaciół, i wszystko, co w każdej z tych miłości nas zachwyca – z naszej strony dajmy Mu i my tę miłość, jaką dziecko ma dla swojego ojca, matki i tę, jaką się miewa dla swojego rodzeństwa, dla przyjaciół, jaką moglibyśmy obdarzyć dusze napotkane na drodze naszego życia. Na Nim skoncentrujmy to przywiązanie, które może moglibyśmy powziąć do zajmowanego przez nas stanowi-

ska, miejsca, do przedmiotów materialnych, czy do czegokolwiek innego. Wyrzeknijmy się prawdziwie wszystkich owych naturalnych przywiązań, a całą naszą miłość dajmy Jemu.

Bądźmy bardzo zazdrośni o to, by serce nasze całe należało do Chrystusa. Tak, że gdybyśmy o północy spostrzegli, iż jesteśmy do czegoś w sposób naturalny przywiązani, że istnieje w nas jakaś miłość, która nie jest odbiciem i koniecznym następstwem naszej miłości ku Niemu, nie powinniśmy czekać rana, tylko natychmiast, pomimo nocy, z owym przywiązaniem się rozprawić.

Tylko Boski Mistrz i ja! Między Nim a mną żadnego stworzenia. Nie z nakazu, nie dla nagrody, nie z obawy, ale z potrzeby serca, które zrozumiało, kim jest Chrystus i zostało urzeczzone Jego doskonałościami, i Jego miłością dla mnie.

Czy w zimie brniemy przez zasy, czy w słońce przez błoto, czy w lecie idziemy miedzą wśród zbóż, czy jedziemy pociągiem, czy autobusem, czy znajdujemy się w mieszkaniu, czy w szkole, czy w konfesjonale, wszędzie nośmy ze sobą w duszy tę naszą miłość, jak i świadomość, że pomimo całej naszej nędzy, pomimo zmienności pór roku i wszystkiego co doczesne, nic w życiu nie mamy, tylko Chrystusa, że do Niego należymy niepodzielnie. Wszystkie zaś

inne nasze miłości i przywiązania są tylko następstwem, rozszerzeniem tej totalnej, jedynej miłości.

Żyjmy możliwie ustawicznie w obecności Boskiego Mistrza. Niech On będzie nieodłącznym towarzyszem naszego dnia, naszych podróży czy przechadzek. Rozmawiajmy z Nim o wszystkim, o czym chcielibyśmy rozmawiać z ludźmi: o tym co nam leży na sercu, czego może się obawiamy, czego oczekujemy lub co zamierzamy. Spotkało nas coś radosnego lub smutnego i odczuwamy gwałtowną chęć, by podzielić się z kimś naszymi uczuciami – zamiast iść z tym do ludzi, czas im zabierać i niepotrzebnie zwracać ich uwagę na siebie, opowiedzmy szczegółowo to wszystko Sercu Boskiego Mistrza. Opowiedzmy tak, jak opowiedzielibyśmy to naszej matce, o której przecież wiemy, z jakim zainteresowaniem by nas słuchała, jak cieszyłaby się z nami lub współczuła, jak starałaby się nam doradzić, jak po naszym odjeździe myślałaby o tym, cośmy jej opowiedzieli, i gorąco by nas polecała Bogu. A przecież Boskie Serce Jezusa to więcej niż matka.

Jakiego uczucia musi doznawać Boski Mistrz, gdy na drogach życia napotka taką słabą i ułom-

na istotę ludzką, miotaną falami doczesności, która jednak pomimo swojej nędzy stara się, by całe jej życie do Niego należało i nic nie ma w życiu tylko Jego, i dla której całą nadzieją jest Jego Boskie Serce. Staje się On dla niej więcej niż ojcem i matką. Z jakże wzruszającą troskliwością czuwa nawet nad drobnymi szczegółami jej życia. Używa też całej Swej wszechmocy, by w pełni zrealizowała się w niej najwyższa wartość naszego istnienia – wola Boża, aby stała się doskonale tym, czym Bóg jej przeznaczył, do tego by była w krainie wiecznego życia.

Jakich uczuć doznaje Boskie Serce Jezusa, gdy napotyka dom, w którym wszyscy tak wyłącznie do Niego należą!

Dlaczego domy nasze nie mogłyby stać się skupiskami tylko takich dusz? Gdy to się stanie, ileż wtedy dobrego Boskie Serce Jezusa zdziała przez nas w naszej ojczyźnie. Domy nasze nie pomieszczą powołań, które nam ześle, a kraj pokryje się siecią naszych placówek, z których każda będzie dla dusz *ignis ardens*, źródłem światła i żaru. A rzecz ta jest zupełnie możliwa. Zależy ona tylko ode mnie: wystarczy, abym tylko siebie, nie swoich współbraci, zmienił i nawrócił.

Uczyńmy, co możemy, aby całe uczucie naszego serca należało do Boskiego Mistrza już

od początku naszej służby Bożej, a nie dopiero wtedy, gdy z dojrzałością i doświadczeniem przyjdzie rozczarowanie do stworzeń. Szczęśliwy młodzieniec, który już od seminarium czy nowicjatu naprawdę wszystko zostawił i nic w życiu nie ma, tylko Najświętsze Serce Jezusa.

Tą naszą miłością do Boskiego Mistrza ogarnijmy także i Jego Kościół święty. Dla nas bowiem, żyjących wiarą, Kościół utożsamia się z Chrystusem, jest Jego rozszerzeniem, kontynuacją. Chrystus nie tylko go założył, lecz jest także jego fundamentem, głową, życiem. To On sam żyje w Kościele, działa przez niego w świecie i w duszach: naucza, oświeca, uświęca, prowadzi, jest jego Ofiarą, a równocześnie wraz z tobą składa w ofierze Swe Ciało Mistyczne swojemu Ojcu. Eucharystia w pewnym znaczeniu to jakby lokalne ujawnienie się tego Chrystusa, który niewidzialny wciąż żyje i działa w całym swoim Kościele. Toteż dla nas miłość dla Chrystusa i miłość dla Kościoła zlewają się razem. To nie dwie różne miłości, to miłość jedna: Chrystusa.

W czasach, gdy więcej niż kiedy indziej, wewnętrzna spójność Kościoła może być zagrożona, наша miłość do Boskiego Mistrza każe nam powtarzać często, tak sobie, jak i drugim, szczególnie młodzieży przez nas wychowy-

wanej, że Kościół to Chrystus; że *ubi Petrus, ibi Ecclesia* – gdzie Piotr, tam Kościół; że kto wierny jest Kościołowi i jego Głowie, ten jest wierny Chrystusowi.

Nasza miłość do Boskiego Mistrza powinna wcielać się cała w to naczelne hasło: wierność Kościołowi świętemu i jego Głowie. Wierność za wszelką cenę. Miłość dla Boskiego Mistrza sprawi, że wtedy jednej rzeczy prawdziwie bać się będziemy: by nie splamić honoru Jego Kościoła naszym zachowaniem. Każe nam ona raczej wszystko stracić, niż rzucić w ten sposób cień na Kościół święty, którego jesteśmy przedstawicielami, a więc na Chrystusa, naszą miłość.

W tych czasach, prawdziwie przełomowych, wielka miłość dla Chrystusa podsuwa niejednej duszy myśl, by oddać siebie Jego Boskiemu Sercu na ofiarę całopalną dla spraw Jego Kościoła.

Niektóre przejawy miłości

Wyobraźmy sobie matkę, której syn został skazany na śmierć i oczekuje wykonania wyroku. Matka wie o tym. Jak ona współczuje ze swoim dzieckiem. Nie je, nie śpi, płacze, rozpacza niepokieszona. Zwróćmy jednak naszą uwagę nie na objawy jej współczucia, lecz na

spontaniczność, z jaką to współczucie w niej powstało. Widzimy, że nie tylko nie potrzeba jej przekonywać o konieczności tego uczucia, lecz choćbyśmy nawet próbowali jej to odradzić, trud nasz byłby daremny. Ona bowiem prawdziwie miłuje swoje dziecko, a z miłości tej jako konieczność psychologiczna rodzi się odruch serdecznego współczucia, będącego w proporcji do jej miłości. Rodzi się on zaś spontanicznie, naturalnie, koniecznie. Rodzi się tak koniecznie, że jej miłość nie byłaby miłością, gdyby ów odruch z niej się nie zrodził.

Otóż nasza miłość dla Chrystusa zna kilka takich koniecznych, spontanicznych, naturalnych przejawów. Naturalnych w tym znaczeniu, iż z natury miłości wypływają. Koniecznych, gdyż rodzą się one z naszej miłości przy współdziałaniu łaski, jako coś koniecznego. Odruchy te nazywamy *opera caritatis* – dziełami miłości.

Tak więc, przede wszystkim, z naszej miłości dla Chrystusa, szczególnie głęboko przeżywanej, rodzi się w nas potrzeba oddania Mu się całkowicie, polegająca praktycznie na oddaniu Mu naszej woli. Ten pierwszy odruch miłości nazywamy „ofiara”.

Z naszej miłości rodzi się również jako konieczność psychologiczna, miłość dla Ojca.

Rodzi się zaś ona dlatego, gdyż widzimy, iż Ojca Swojego miłuje On miłością nieskończoną i że pragnie, abyśmy i my miłowali Go bezgranicznie. Tak więc miłość Najświętszego Serca Jezusowego prowadzi do miłości Ojca.

Trzecim dziełem miłości jest miłość dla każdego człowieka spowodowana tym, iż każdego z ludzi z osobna miłuje On nad życie. Toteż miłość Najświętszego Serca Jezusowego prowadzi do miłości każdego człowieka.

Czwartym przejawem naszej miłości dla Chrystusa jest serdeczne współczucie z Nim w godzinach i tajemnicach Jego męki, nade wszystko zaś współczucie dla Jego cierpień najboleśniejszych, cierpień Jego Boskiego Serca, cierpień potrójnych, bo spowodowanych niewdzięcznością ludzi, widokiem zniewag wyrządzonych Jego Ojcu i zaturą dusz.

Z tego zaś z miłości wypływającego współczucia, rodzi się piąty odruch: potrzeba wynagrodzenia, czyli pragnienie, by miłować Go także i za tych, których On tak bardzo miłuje, a którzy odmawiają Mu swej miłości oraz pragnienia, by razem z Nim uczynić wszystko, co w naszej mocy, by naprawić krzywdy wyrządzone Jego Ojcu i by ratować zagrożone dusze.

Należy jednak zwrócić uwagę na to, że te

odruchy nie są tak żywo odczuwane, jak ów odruch współczucia w wyżej przytoczonym przykładzie matki, gdyż przedmiot naszej miłości poznajemy nie zmysłami jak matka swego syna, lecz wiarą, a więc poznaniem czysto duchowym. Odruchy przeto, o których mówimy, są tej samej natury. Są one poruszeniami duchowymi, czymś dla miłości koniecznym i z samej natury miłości wypływającym. Jeżeli zaś niektóre dusze nie odczuwają ich wszystkich, to albo dlatego, że ich miłość dla Boskiego Mistrza jest powierzchowna i słabo przeżywana, lub dlatego, że jest ona niedostatecznie oświecona.

Ofiara koniecznym następstwem i sprawdzianem naszej miłości

W każdym naszym domu należałoby codziennie o oznaczonej godzinie uderzyć w dzwon, tak jak dzwoni się na alarm, by w ten sposób przypominać duszom w nim się uświęcającym, by strzegły się wielkiego niebezpieczeństwa życia wewnętrznego, które można by nazwać „werbalizmem”. Polega ono na ograniczeniu miłości dla Boskiego Mistrza praktycznie tylko do słów i uczuć.

Ów werbalizm duchowy jest, niestety, zjawiskiem nader częstym. Dusze nim zarażone przypominają bujne rośliny, o obfitych, aż czarnych z nadmiaru soków pędach, na których jednak na próżno szukalibyśmy owoców. Sporo u tych dusz różnych praktyk pobożnych, pięknych myśli, uczuć, wzniosłych słów, wiele wzruszających zapisków, lecz równocześnie przy tym wszystkim zawsze ta sama drażliwość, ta sama niecierpliwość, słowa nie dające się pogodzić z prawdziwą miłością bliźniego, brak umartwienia, brak ofiarności, zbywanie obowiązków.

Prawdziwa miłość to nie samo tylko uczucie. Jeżeli zaś dusza nie zdobywa się na nic więcej, widocznie to, co ona uważa za miłość, jest wszystkim innym, tylko nie miłością. Z miłości bowiem prawdziwej jako konieczność psychologiczna rodzi się czyn – oddanie samego siebie, streszczające się w oddaniu własnej woli, a więc ofiara. Skłonność do oddania się – jak mawiał o. Dorresteyn – leży w naturze miłości, toteż w każdej miłości się znajduje. Miłować bowiem kogoś znaczy chcieć jego dobra, natomiast życzliwość wtedy tylko jest prawdziwą, gdy objawia się lub przynajmniej usiłuje objawić się czynem. Ze swej natury przeto miłość wymaga oddania się, potocznie zwanego «ofiara», od-

dania posuniętego do ostatnich granic. W tym znaczeniu możemy powiedzieć, że miłość dla Najświętszego Serca Jezusowego jest miłością ofiarną.

Miłość i ofiara samego siebie, polegająca na oddaniu własnej woli, są to pojęcia tak ściśle z sobą związane, że nie można ich od siebie odłączyć, jak nie można odłączyć dwu stronic tej samej kartki papieru – gdy jest jedna, jest i druga. Co więcej, wymiary jednej są wymiarami drugiej. Tak jak przestrzeń mierzy się metrem, ciężar kilogramem, tak miłość mierzy się ofiarą.

Jedynym przeto niezawodnym sprawdzianem natężenia naszej miłości dla Chrystusa jest stopień oddania Mu naszej woli w konkretnej, codziennej rzeczywistości życia. Stopień pełnienia Jego woli jest stopniem naszej miłości. Nasza miłość dla Niego wtedy dopiero będzie zupełna, gdy naszą własną wolę całkowicie zastąpimy Jego wolą, gdy będziemy ją pełnić nie tylko w tym, co On nakazuje pod grzechem, lecz aż do najmniejszych Jego pragnień i we wszystkim, tj. na odcinku wszystkich cnót oraz mimo wszystko, tzn. za wszelką cenę. I jeżeli pełnić ją będziemy nie tyle dlatego, że to, co On nam w tej chwili nakazuje, daje, na nas

dopuszcza lub czego od nas pragnie, to Jego najżyczliwsza miłość wymyśliła dla naszego dobra, lecz przede wszystkim dla Niego samego, dlatego, że jest to Jego wola.

Jedną z największych przysług, jaką możemy oddać duszom nam powierzonym jest ta, że już od pierwszych ich kroków na drodze Bożej zaczniemy im wpajać pojęcie prawdziwej miłości. Jeżeli często będziemy im przypominać, że to co w modlitwie mówimy Chrystusowi o swojej miłości, wtedy dopiero ma wartość, gdy nasze zapewnienia mają pokrycie w postaci pełnienia Jego woli, czyli wykonywania godziny za godziną obowiązku chwili obecnej. Nie jest istotne, czy tym obowiązkiem chwili obecnej jest modlitwa, czy praca, czy wytchnienie, czy jest nim nauka, czy napisanie listu, czy praca w konfesjonale, czy w klasie, czy jest nim podróż, czy załatwienie spraw w mieście lub w rozmównicy, przepisane czytanie duchowe, rozmyślanie lub rachunek sumienia.

Przypominajmy duszom, że nasza miłość dla Boskiego Mistrza wtedy dopiero jest prawdziwa, gdy czujemy się nieszcześliwi już na samo tylko przypuszczenie, że moglibyśmy znaleźć się na jakimś stanowisku, czy miejscu, w którym On nas mieć nie chce lub oddawać się choćby tylko przez kilka chwil jakiemuś

zajęciu, pomimo iż wiemy, że w tej chwili chce On nas mieć gdzie indziej, jeżeli Jego wola i Jego pragnienia są dla nas najwyższą wartością każdej rzeczy i każdego zdarzenia.

Mówmy również duszom, że każdy z owych obowiązków chwili obecnej, chociażby najprostszy, staje się aktem miłości doskonałej z chwilą, gdy spełniony został przede wszystkim dlatego, iż ukryta w nim była Jego najukochańsza wola Boskiego Mistrza. W ten sposób cały nasz dzień, pomimo iż pozornie nie czynimy nic nadzwyczajnego, może się stać jednym aktem miłości, jeżeli tylko, w znaczeniu wyżej podanym, cały będzie jednym aktem oddania Mu naszej woli.

Miłość bliźniego

Z głęboko przeżywanej miłości dla Chrystusa rodzi się w nas, również jako konieczność psychologiczna, ofiarna miłość dla każdego człowieka. Nie może być inaczej od chwili, w której uświadomiliśmy sobie, że Najświętsze Serce Jezusa podobnym ogromem miłości, jakim miłuje mnie, miłuje także i każdego z ludzi, i pragnie ode mnie, abym i ja w podobny sposób ich miłował.

Pragnie tej miłości bez względu na ich wady,

na stosunek do mnie i nieważne, czy ten drugi człowiek jest mi przyjacielem, czy może wrogiem i prześladowcą. Bo tak właśnie miłuje nas Najświętsze Serce Jezusa – pomimo naszych niezliczonych niedoskonałości. I pragnie, abyśmy w podobny sposób i pomimo wszystko miłowali każdego człowieka.

Trzeba zresztą, byśmy uświadomili sobie, że wady i niedoskonałości są czymś naturalnym w obecnej fazie naszego istnienia, w której dopiero stajemy się tym, czym mamy być i czym będziemy w wieczności. Tak jak w budującym się domu i dookoła niego pełno jest rumowiska i rozmaitych odpadków, tak i w nas, w fazie naszego „stawania się” wiele jest ułomności i niedociągnięć, które i dla nas i dla innych są prawdziwym ciężarem. Prawdziwa jednak miłość przechodzi ponad tym wszystkim.

Miłość bliźniego, to praktycznie dobroć we wszystkim, w myślach, w słowach, w uczynkach.

Pamiętajmy, że ten, o którym myślimy, jest kimś umiłowanym przez Chrystusa miłością bezgraniczną, jest Jego najdroższym dzieckiem, które On trzyma w objęciach Swej miłości. Nie będziemy wówczas chcieli źle i z niechęcią o nim myśleć, chociażby nawet uczynki jego były złe. Nie sądziśmy przeto i nie potępiajmy

nikogo, nawet naszych prześladowców. Nie samo bowiem dobro i cnota są wśród nas. Nie są oni winni, że nauczono ich widzieć w nas to tylko, co w nas jest złego. Tym bardziej, że na tle naszego nadziemskiego posłannictwa i prawd przez nas głoszonych, zło będące w nas jest naprawdę rażące.

W myślach i sądach o bliźnich bądźmy podobni do dobrej matki. Jak wyrozumiała jest ona dla swojego dziecka, jak potrafi wczuć się w jego sposób postępowania, w jego zamiary, uniewinnić je i wytłumaczyć. Patrzy bowiem na nie przez pryzmat miłości. Gdy myślimy o naszym bliźnim, bądźmy podobni do niej. Z wiekiem i większym doświadczeniem przekonamy się, że starając się w każdej okazji dobrze tłumaczyć sobie postępowanie bliźniego, tylko rzadko mylimy się.

W rozmowach o bliźnim, Boski Mistrz pragnie, abyśmy wiernie trzymali się tej zasady, by bez prawdziwej konieczności nie mówić o drugim człowieku, czy to ze współbraci, czy z obcych, czegokolwiek ujemnego, nawet rzeczy powszechnie znanych, nawet tego, co moglibyśmy powiedzieć bez grzechu.

Niech znane nam będzie dokładnie teologiczne określenie obmowy, w praktyce jednak

wymagajmy od siebie jeszcze więcej i nie mówmy bez prawdziwej konieczności o wadach bliźniego, nawet tych ogólnie znanych, tak jak nie mówi się chętnie o sprawach przykrych i żenujących. W wątpliwości: „powiedzieć czy nie powiedzieć”, zapytajmy siebie, czy miłym by mi było, gdyby o moich znanych wadach tak wspomniano, jak ja teraz chcę wspomnieć o wadzie bliźniego. Albo: „czy moja matka powiedziałaby o mnie komukolwiek to, co obecnie chcę powiedzieć o bliźnim?”

Boskie Serce Jezusa pragnie od nas tej delikatności, a tak praktykowana miłość bliźniego ma w Jego oczach coś z zachwycającej świeżości dopiero co rozwiniętego kwiatu.

Przede wszystkim jednak miłość bliźniego to dobroć dla otoczenia okazywana czynem. To nie rzucająca się w oczy, prawdziwa ofiarność, to pogoda i uśmiech dla wszystkich, to cierpliwość i równowaga ducha, to szczerza uprzejmość, to zapominanie o sobie, byleby drugim było dobrze, to życie dla szczęścia drugih.

Jeżeli Pan Bóg dał nam tę łaskę, jedną z największych, iż mieliśmy dobrą matkę, łatwo nam przyjdzie zrozumieć, jak mamy odnosić się do bliźnich. Wystarczy, abyśmy byli dla nich tak dobrzy, jak ona była dla nas, a będziemy na drodze do spełnienia przykazania

Najświętszego Serca Jezusowego: „Abyście się wzajemnie miłowali, jak Ja was umiłowałem” (J 13,34).

Należy dodać jeszcze to, że będąc dziećmi naszych czasów, jesteśmy obciążeni wadami naszej epoki i nieświadomie nie doceniamy miejsca, jakie w życiu prawdziwie chrześcijańskim powinna zajmować miłość bliźniego. A przecież cała Ewangelia, a więc również istota chrześcijaństwa, streszcza się w okrzyku św. Pawła: „Umiłował mnie i wydał samego siebie za mnie” (Ga 2,20), i w słowach Chrystusa: „Abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem” (J 13,34). Tymże zaniedbaniem w ciągu wieków tego, co w chrześcijaństwie jest istotne, tłumaczy się wzrost w skali światowej problemu społecznego, który rozpętał nad światem potworną burzę i doprowadził go na krawędź przepaści.

Dla nas kapłanów, dla wychowawców i wychowawczyń, miłość bliźniego to przede wszystkim zapewnienie nieba душom powierzonym nam przez Chrystusa.

– To wywalczenie nieba dla tych setek i tysięcy parafian, by żaden z nich nie zginął, pomimo tego, że poziom moralny wielu z nich być może wiele pozostawia do życzenia.

– To zdobycie nieba dla tych tysięcy dzieci, które w życiu naszym przewinięły się czy to przez szkoły, czy katechizację. Dzisiaj są już może dorośli, rozproszyli się po świecie i borykają się z życiem, ale może w naszych wspomnieniach wciąż jeszcze zjawiają się nam, tak jak wyglądały wtedy, przed laty – jako rzesza maleńkich istot z wiosną na twarzy. Chrystus powierzając nam je wtedy, powierzył nam chyba to, co na świecie miał najpiękniejszego. Między nami a nimi zaistniały więzy na wieczność – nami to bowiem, a nie kim innym, posłużył się Chrystus do rozwoju w nich swojego własnego życia. To przeto nasza wielka, chociaż rozproszona po świecie rodzina.

Dla nich to wszystkim trzeba nam niebo wysłużyć, by żadne z nich nie zginęło.

A rzecz ta jest możliwa, bowiem Boski Mistrz pomimo naszej niegodności może spełnić to wielkie pragnienie naszego życia, tak bardzo idące po linii Jego nieskończonego miłosierdzia. Przecież to nie my, lecz On omdlewał na drodze krzyżowej dla ratowania tych dusz. Jego Boskie Serce jest właśnie oddane do naszej dyspozycji, nie tylko dla nas, lecz także dla wielu innych dusz, nieskończonej litości Bożej, miłosierdzia i wszechmocy. Oby tylko nie zabrakło nam ufności i ofiarności. Powinny

one być tym większe, im większe są potrzeby dusz, którym niebo chcielibyśmy wywalczyć.

A gdy mówimy o ofiarności, myślimy nie tylko o samej pracy apostołskiej. Jest ona potrzebna, konieczna, nigdy nie będzie jej za dużo, lecz to nie wystarczy, tym bardziej, że wiele tych dusz pracą naszą nie osiągniemy. I nie chodzi tu o jedną czy drugą modlitwę w tej intencji odmawianą lub o takie czy inne umartwienie. Chodzi o cały styl naszego życia, o przemienienie go za wzorem Chrystusa i w łączności z Nim w życie wynagrodzenia, o przeżycie w sobie Jego własnego życia, Jego męki i śmierci. Za dusze bowiem płaci się tylko tak, jak On za nie zapłacił – całopalną ofiarą z samego siebie, w łączności z Nim, jedynym Zbawicielem dusz.

Współczucie

Z naszej miłości dla Boskiego Mistrza, o ile jest ona głęboko przeżywana, rodzi się również współczucie dla Jego cierpień i pragnienie, aby je zmniejszyć, pocieszając Go przez życie wynagrodzenia.

Naszym współczuciem ogarniamy Jego cierpienia fizyczne i upokorzenia męki. Przede wszystkim jednak obejmujemy nim Jego cierpienia najdotkliwsze: cierpienia Jego Boskiego Serca. Spowodowane zaś są one trzema przy-

czynami: niewdzięcznością ludzi, widokiem zniewag wyrządzanych Jego Ojcu i widokiem zguby dusz. Wypływają więc one z Jego miłości nieskończonej dla Ojca i miłości bezgranicznej dla ludzi.

Jeśli chodzi o cierpienia spowodowane niewdzięcznością ludzi, to w objawieniach w Paray-le-Moniale Pan Jezus tak się skarżył: „Oto Serce, które tak bardzo ludzi ukochało, a które otrzymuje od wielu tylko oziębłość, obojętność i niewdzięczność”. Wyznał, że niewdzięczność ta jest Mu boleśnieszka od wszystkiego, co spotkało Go podczas Jego męki. W szczególny zaś sposób bolesna Mu jest niewdzięczność, czyli złe życie niektórych dusz kapłańskich i zakonnych, a więc Jego „ludu wybranego” oraz te cierpienia, które są spowodowane lekceważeniem i znieważaniem Sakramentu miłości.

Te potrójne cierpienia były zapewne jedną z głównych przyczyn Jego męki w Ogrodzie Oliwnym. W ciągu zaś wieków, co jakiś czas Pan Jezus skarży się duszom uprzywilejowanym na ten rodzaj cierpień i szuka serc ofiarnych, które by przez życie zupełnie Jemu oddane, czyli przez życie wynagrodzenia, pocieszały Jego Boskie Serce.

Mimo woli nasuwa się pytanie, w jaki sposób można pogodzić pewnik teologiczny, że Chrystus od chwili Swego zmartwychwstania jest *impassibilis* – niecierpieliwy – z twierdzeniami zawartymi w owych objawieniach, które przez wieki – co jakiś czas – są udziałem dusz uprzywilejowanych, a według których to objawień Boskie Serce Jezusa cierpi z powodu niewdzięczności ludzi, zniewag wyrządzanych Ojcu i potępienia dusz?

Jeden z teologów – H. Agostini – pisze na temat „aktualności” cierpień Chrystusowych, że z głębi swej wieczności Jezus Chrystus jako Bóg widzi w wiecznej i wszystko obejmującej „teraźniejszości” zarówno grzechy ludzkości wszystkich czasów i wszystkich miejsc, jak i swoją ofiarę kalwaryjską, która jest wszechstronną i niewyczerpaną za nie ekspiacją. Jego męka jest zatem zawsze obecna i aktualna, nieobecnością czasową i przestrzenną, lecz „poza czasem i przestrzenią”, tą rzeczywistością, jaką trwają rzeczy, które osiągnęły swój cel – wieczność.

Przechodząc przez ziemię, ludzie muszą zająć stanowisko wobec Chrystusa wiecznego w swoich skutkach i w swoim wpływie na nasz świat widzialny. Jego zasługi i Jego cierpienia

dominują przestrzeń i czas. Należy czcić je nie tylko w Jerozolimie i w czasach Tyberiusza Augusta, lecz wszędzie i we wszystkich czasach. Męka Jezusa, będąc poza wszelkimi prawami czasu i przestrzeni, jest stałą obecnością, która nie zna następstwa ni końca, ponieważ mierzona jest już nie czasem lecz nieruchomą wiecznością, chwilą obecną, która nie mija.

Kiedy więc Jezus mówi nam o swoich cierpieniach jako „obecnych”, używa wyrażenia „najwłaściwszego”, chociaż dla nas niezwyklego. Jest On Bogiem wiecznym, nie podpadającym czasowi, toteż nie podlega jak człowiek zmianom następujących po sobie chwil.

Rzecz pewna, że skoro Chrystus twierdzi, iż Jego Boskie Serce cierpi, to twierdzenia Jego są prawdziwe. Cała trudność i nieporozumienie pochodzą stąd, iż On żyje w wieczności, my zaś w czasie. Jesteśmy więc niejako na dwu różnych płaszczyznach. Nie możemy sobie nawet wyobrazić owego „teraz”, jakim jest wieczność, bo dla nas, znających tylko pojęcie czasu, każde trwanie to istnienie w szeregu po sobie następujących chwil. I trudno nam przychodzi pojąć, iż od strony wieczności rzecz ta może wyglądać zupełnie inaczej.

Zagadnienie to zresztą nie ma dla nas większego praktycznego znaczenia i możemy bez szkody dla naszego życia wewnętrznego pozostawić je teologom do dokładniejszego przestudiowania. Dla orientacji zaś naszego życia wystarczy nam wiedzieć, iż twierdzenia Chrystusa są prawdziwe, pomimo że nie zawsze umiemy je sobie wytłumaczyć. Toteż, skoro przedstawia On nam niewymowne cierpienia Swojego Serca jako aktualne i obecne, możemy być pewni, że używa wyrażenia najwłaściwszego, chociaż dla nas niezwykłego.

Wynagrodzenie

Dwa zagadnienia

Wynagrodzenie – jak to mówi nam encyklika *Miserentissimus Redemptor* – leży w logice naszej miłości dla Boskiego Serca Jezusowego, miłości dla Jego Ojca i dla dusz, tzn. jest tej naszej potrójnej miłości nieodłącznym, koniecznym następstwem psychologicznym. Niezależnie jednak od tego, wynagrodzenie, rozumiane jako świadomy współudział z Chrystusem w naprawianiu krzywdy, jaką chwale Bożej wyrządzają grzechy nasze i innych ludzi, a przez to współudział z Nim w ratowaniu dusz – wynagrodzenie tak pojęte jest wymogiem integralnego życia chrześcijańskiego.

Zostaliśmy powołani do niego wszyscy w chwili chrztu św. przez nasze wszczepienie w Chrystusa. Stawszy się wtedy Jego członkami – *christianus alter Christus*, chrześcijanin drugim Chrystusem – nie możemy nie żyć Jego własnym życiem. Treścią zaś Jego życia, męki i śmierci jest wynagrodzenie krzywd wyrządzonych Bogu i duszom przez nasze grzechy. Toteż warunkiem integralnego życia chrześcijańskiego jest przeżywanie na co dzień wraz

z Chrystusem, Boskim naszym Mistrzem, Jego własnego życia, męki i śmierci dla naprawiania grzechów własnych i cudzych i dla ratowania dusz. Życie chrześcijańskie w duszy jest to więc czynne przyzwolenie, umożliwienie Chrystusowi przez ofiarny wysiłek osobisty, by niejako na nowo przeżył, tym razem w nas, Swoje własne, wynagradzająco-zbawcze życie, mękę i śmierć.

Do tak pojętego życia wynagrodzenia w wyższym jeszcze stopniu zostali powołani ci, którzy w następstwie wyróżnienia i uprzywilejowania, jakie w życiu ich spotkało, idą z bliska za Chrystusem.

Aby zrozumieć, na czym polega życie wynagrodzenia, tak odnoszące się do Ojca, jak skierowane do Najświętszego Serca Jezusowego (a o tym ostatnim przede wszystkim chcemy tu mówić), należy uprzednio przemyśleć dwa zagadnienia kluczowe, a mianowicie, na czym polega istota grzechu, oraz w jaki sposób Chrystus wynagrodził za nasze grzechy Swojemu Ojcu. Dopiero rozwiązanie tych dwu zagadnień umożliwi nam zrozumienie, na czym praktycznie ma polegać nasze wynagrodzenie.

Należy przede wszystkim odpowiedzieć sobie na pytanie, co jest istotą grzechu. Za

grzechy bowiem mamy wynagradzać. Toteż treść najgłębsza wynagrodzenia musi być dokładnym odpowiednikiem najgłębszej treści grzechu. Ile aspektów przeto jest w grzechu, tyleż aspektów musi mieć i wynagrodzenie. Można więc powiedzieć, że odpowiedź na pytanie: na czym polega wynagrodzenie, zależy cała od metafizyki grzechu.

Należy również, w tym przynajmniej stopniu, w jakim tajemnica ta dostępna jest naszemu rozumowi, odpowiedzieć sobie na pytanie, w jaki sposób Chrystus dokonał wynagrodzenia za nasze grzechy. On bowiem jest jedynym Wynagrodzicielem i nasze wynagrodzenie tylko z Jego wynagrodzenia czerpie całą swoją wartość. Toteż nasze wynagrodzenie – tak skierowane do Jego Boskiego Serca, jak mające za przymiot Ojca – musi być jak najściślej wzorowane na Jego Dziele Odkupienia. Ono i tylko ono może i powinno być szkołą, prawem i wzorem naszego wynagrodzenia.

Tylko więc od Chrystusa możemy nauczyć się umiejętności wynagradzania. Tylko w ten sposób, w jaki On wynagrodził Swojemu Ojcu za nasze grzechy, my wynagradzać możemy Jego Boskiemu Sercu, a razem z Nim i przez Niego Jego Ojcu, a przez to ratować dusze.

Tak więc owe dwa powyższe zagadnienia są dla nas zagadnieniami kluczowymi. Rozwiązać je to znaleźć drogę życia.

Grzech

Spróbujmy przede wszystkim odpowiedzieć sobie na pytanie, na czym polega grzech i co stanowi jego najgłębszą treść.

Aby rozwiązać to zagadnienie, należy uprzednio uświadomić sobie, kim jest Bóg, na którego prawa grzech jest zamachem.

Otóż, Bóg jest równocześnie: Stwórcą – miłością bezgranicznie dobroczynną i Ojcem – dobrem najwyższym.

Bóg jest przede wszystkim naszym Stwórcą, a więc Panem, czyli właścicielem, my zaś jesteśmy Jego własnością.

Z tego właśnie tytułu, że jest naszym Stwórcą i Panem, Bóg ma prawo do naszej uległości i posłuszeństwa. Jest to prawo bezwzględne, bo oparte na naturze rzeczy. Prawo, z którego nie może i nie potrafi zrezygnować, jak nie może i nie potrafi zrezygnować ze Swojego Bóstwa. Na wieki bowiem jest prawdą, że Bóg jest Stwórcą, a Stwórca jest właścicielem. Właściciel zaś może dysponować swoją własnością według swego upodobania, a jeżeli owa własność jest

obdarzona wolną wolą, może nadawać jej prawa według swego uznania.

Odpowiednikiem owego prawa Boga-Stwórcy w nas jest obowiązek posłuszeństwa, poddania się Mu, obowiązek bezwzględny, bo również z natury rzeczy wypływający, od którego nikt i nic zwolnić nas nie może, nawet Bóg.

W świetle tych prawd, grzech, będąc świadomym i dobrowolnym przekroczeniem praw ustanowionych przez Boga, jest naruszeniem owego absolutnego prawa Boga-Stwórcy do uległości swojego stworzenia, nie uznaniem owego prawa, dokonany nie słowem w prawdzie, lecz czynem – a więc ostatecznie nieposłuszeństwem, buntem.

Pierwszym więc aspektem grzechu i częścią składową najgłębszej jego treści jest odmówienie Bogu należnego Mu posłuszeństwa.

Pan Bóg jest Miłością bezgranicznie dobroczynną, obsypującą nas bez miary swoimi dobrodziejstwami, a jednym z największych jest to, że nas przez łaskę uczynił swoimi dziećmi i sam stał się naszym Ojcem.

Za tę Jego miłość bezmierną z natury rzeczy, należy Mu się miłość wdzięczności.

Pan Bóg jest sam w Sobie również najwyższym Dobrem, czyli pełnią nieskończoną wszyst-

kich doskonałości, godną miłości nieskończonej, dlatego ma On prawo do naszej najwyższej miłości. Jest to prawo absolutne, bo także z natury rzeczy wypływające. Jego bowiem nie można nie miłować. Miłuje się bowiem tylko dobro, a On jest Dobrem Najwyższym.

Odpowiednikiem tego prawa w nas jest obowiązek miłowania Go nade wszystko, obowiązek wypływający nie tyle z przykazania pozytywnego, ile z natury rzeczy, a więc bezwzględny.

Otóż grzech wobec Boga pojętego jako Miłość nieskończenie dobroczynna i wobec Boga pojętego jako Dobro Najwyższe, nie jest niczym innym, jak odmówieniem Bogu należnej Mu z tych dwu tytułów miłości. Ów zaś brak miłości objawia się w ten sposób, że człowiek postawiony wobec alternatywy: dobro stworzone albo Dobro niestworzone, wybiera i przenosi pierwsze, czyli stworzenie nad Boga.

Tak więc ostatecznie najgłębszą treścią grzechu jest odmówienie Bogu, należnego Mu jako Stwórcy, posłuszeństwa oraz odmówienie Jemu – Ojcu i Dobru Najwyższemu – miłości.

Bezpośrednim następstwem grzechu jest pozbawienie Boga chwały, która jest celem

wszystkich Jego dzieł, chwały, którą miałby z nieprzymuszonego, dobrowolnego posłuszeństwa i dobrowolnej, nieprzymuszonej miłości swoich stworzeń. Jeżeli odmówienie drugiemu należnej rzeczy jest niesprawiedliwością, to grzech jest nią w najwyższym stopniu.

Bezpośrednim również następstwem grzechu jest obraza Boga, spowodowana wyrządzoną Mu zniewagą; nie jakoby Bóg mógł być dosięgnięty przez jakikolwiek nasz akt. Świadome jednak przekroczenie prawa to nic innego jak okazanie pogardy dla prawodawcy, a więc znieważenie Go, tym więcej że w porządku moralnym, w którym się znajdujemy, jeżeli wola grzeszna odwraca się od dobra niestworzonego, czyni to dlatego, iż nad nie przenosi w sposób niedozwolony dobro stworzone. Grzesznik wyrządza zatem Bogu zniewagę przez to, iż lekceważy sobie Jego wolę, nie licząc się z Jego prawami, jak również przez to, że czynem przenosi dobro stworzone nad Boga, Dobro nieskończone.

Dla tych dwu powodów, ponieważ grzech jest i niesprawiedliwością, i obrazą, Pan Bóg z konieczności nienawidzi grzechu, jak z ko-

nieczności miłuje Siebie samego i karze grzech, o ile nie zostanie on naprawiony, czyli wynagrodzony. Z natury zaś rzeczy owo wynagrodzenie grzechu przez nadmiar posłuszeństwa i nadmiar miłości nie może polegać na czym innym, jak na przywróceniu Bogu tego, czego grzech Go pozbawił, tj. chwały. Tylko na owym nadmiarze posłuszeństwa i miłości, może polegać istota wynagrodzenia, gdyż najgłębszą treścią grzechu jest nieposłuszeństwo i brak miłości. Jeżeli więc grzech polega na braku posłuszeństwa i miłości, łatwo zrozumieć, że tylko dowód miłości i posłuszeństwa może go zrównoważyć.

Byłoby prawdziwym nieporozumieniem dawać cierpieniu w życiu wynagrodzenia miejsca, które mu się nie należy. W wynagrodzeniu bowiem cierpienie odgrywa wprawdzie rolę konieczną i nie do zastąpienia, lecz nie jest to rola główna, gdyż – podkreślmy to jeszcze raz – to, co Boga obraża w grzechu, to bunt stworzenia, świadomy i dobrowolny – tylko więc hołd poddania się i miłości może skutecznie naprawić ów nieporządek. Cierpienie samo w sobie, nie będąc niczym innym, jak spłaceniem kary, pozostawia jeszcze nienaprawionym to, co w grzechu jest istotnego – obrazę Boga.

Cierpienie przeto samo przez się jest jedynie

następstwem grzechu, a mianowicie karą zań, lecz samo przez się nie potrafi go wynagrodzić, czyli naprawić. Grzech bowiem jest obrazą Boga – cierpienie karze ją, lecz nie naprawia.

Tak więc analiza grzechu doprowadza nas do wniosku, że istota wynagrodzenia, tak za własne grzechy, jak i cudze, polegać musi na nadmiarze POSŁUSZEŃSTWA I MIŁOŚCI względem Boga, gdyż najgłębszą treścią grzechu jest właśnie odmawianie Bogu należnej Mu uległości i należnej miłości.

Wynagrodzenie Chrystusa

Ze względu jednak na to, iż wynagrodzenie nasze dla powodów wyżej podanych musi być jak najściślej wzorowane na wynagrodzeniu Chrystusowym, decydujące dla nas znaczenie będzie miała dopiero odpowiedź na pytanie, w jaki sposób Chrystus dokonał dzieła Swojego wynagrodzenia, jakim jest Odkupienie.

Oto jak teologia przez wieki refleksji nad tą tajemnicą wiary świętej, opierając się tak na metafizyce grzechu, jak i na danych zawartych w Piśmie św., próbuje w naszych czasach sformułować najgłębszą treść wynagrodzenia Chrystusowego, czyli Odkupienia. Chrystus wynagrodził Swojemu Ojcu za nasze grzechy

przez heroiczną, bo najofiarniejszą miłość, objawiającą się przez najdoskonalsze poddanie się woli Swojego Ojca, poddanie posunięte aż do całopalnej ofiary własnej woli. One to, tj. posłuszeństwo i miłość, nadały tak Jego życiu, jak i Jego męce i śmierci wartość wynagradzającą.

Mimo woli nasuwa się nam tu jednak pewna trudność, której nie można pominąć. Czy zatem tłumacząc sobie w ten sposób wynagrodzenie Chrystusa, tj. sprowadzając je do najdoskonalszego posłuszeństwa i najofiarniejszej miłości, nie pomijamy przez to lub nie umniejszamy owej olbrzymiej rzeczywistości, jaką w życiu Chrystusa i dziele Odkupienia stanowi Jego ofiara krzyżowa, czyli cierpienie? Skoro bowiem jest faktem, że nad dziełem wynagrodzenia Chrystusowego dominuje krzyż, skoro jest faktem, że krzyż ten jest również normalnym udziałem dusz, które w ciągu wieków Zbawiciel powołuje do specjalnego współudziału w Swoim dziele wynagrodzenia, to cierpienie musi wchodzić w skład pojęcia wynagrodzenia.

Trudność ta jest tylko pozorna. Sprowadzając bowiem najgłębszą treść wynagrodzenia Chrystusowego do miłosnego posłuszeństwa, czyli ofiarnej miłości, nie negujemy wartości ofiary krzyżowej, ani jej przez to nie umniej-

szamy, staramy się tylko wytłumaczyć w ten sposób najgłębszą jej treść, tzn. znaleźć powód, dla którego męka Chrystusowa miała wartość wynagradzającą. Bo przecież, cierpienie samo przez się nie ma tej wartości. Może ono być tylko karą za grzech, lecz nie jego wynagrodzeniem. Wynagrodzić bowiem komuś, to dać równą wartość tego, co mu zabrano lub tego, czego mu odmówiono. Grzech pozbawia Pana Boga należnej Mu chwały, gdyż jest on z natury swojej odmówieniem Bogu należnego Mu posłuszeństwa i należnej miłości. Przeto wynagrodzić zaś można tylko przez naprawienie „szkody wyrządzonej chwale Bożej”. A tego można dokonać jedynie przez przywrócenie Bogu tego, co Mu zabrano – chwały, przez nieprzymuszoną miłość i nieprzymuszoną uległość. Toteż nie w cierpieniach Swego Syna i w Jego konaniu Bóg Ojciec miał upodobanie, lecz w Jego umiłowaniu i pełnieniu woli Bożej, pomimo iż Swą wierność woli Ojca musiał On przypłacić prześladowaniem, upokorzeniami i najokrutniejszą śmiercią. I w tej to właśnie heroicznej wierności woli Bożej teologia widzi wartość wynagradzającą Jego życia i Jego śmierci.

Myśl tę, tzn. miejsce cierpienia w dziele

Odkupienia, teologia wyraża przy pomocy następującej formuły: Chrystus odkupił nas w męce i śmierci – *in passione et in morte*.

Dlaczego Chrystus cierpiał?

Skoro jednak cierpienie samo przez się nie jest istotnym elementem składowym wynagrodzenia, to dlaczego Chrystus cierpiał? Czyżby mimo wszystko było ono koniecznym następstwem grzechu, np. wymogiem sprawiedliwości Bożej, żądającej, by zamach na prawa Boże, jakim jest grzech, został jednak ukarany, tak że ten, który podjął się wynagrodzić Bogu za grzeszników, musiał nie tylko dać za nich wynagrodzenie, lecz także wziąć na siebie karę za ich grzechy?

Otóż cierpienia Chrystusa są faktem historycznym. Męka Jego i śmierć zajmują w ekonomii zbawienia miejsce centralne. Pewne jest również, że Jego cierpienia nie były czymś tak koniecznym, żeby bez nich nie mogło się dokonać dzieło Odkupienia. Święty Tomasz z Akwinu powiada, że Chrystus, z powodu Swej godności nieskończonej mógłby zadośćuczynić, i to przeobficie, za grzechy wszystkich stworzeń bez najmniejszego cierpienia, bo nawet przez akt najłatwiejszy, jak np. akt kon-

templacji lub akt miłości.

Przed wszystkim zaś cierpienia Chrystusa nie były koniecznym wymogiem sprawiedliwości Bożej. Tym bowiem czego bezwzględnie żąda sprawiedliwość jest to, by został ukarany grzech, który nie został naprawiony oraz by karę tę poniósł ten, kto zgrzeszył. O takiej jednak bezwzględnej konieczności kary nie może już być mowy, gdy Bogu zostało dane zadośćuczynienie, tzn. gdy grzech już został naprawiony, np. przez żal płynący z miłości. W większym jeszcze stopniu nie może być mowy o bezwzględnej konieczności kary za grzech, gdy nie grzesznik sam, lecz najniewinniejsza Istota, jaką ziemia kiedykolwiek widziała, podejmuje się za niego Bogu wynagrodzić.

Skoro jednak cierpienie nie było ani koniecznym czynnikiem wynagrodzenia, ani wymogiem sprawiedliwości czy innego z przymiotów Bożych, dlaczego Bóg, który jest samą miłością i mądrością postanowił, że dzieło Odkupienia będzie musiało dokonać się w cierpieniu?

Teologia, próbując odpowiedzieć na to pytanie twierdzi, że Mądrość Boża tak postanowiła dla kilku powodów. Wszystkie jednak owe powody to tylko, ogólnie mówiąc, racje drugorzędne (*rationes convenientiae*), toteż za-

den z nich z osobna ani wszystkie razem, nie wyjaśniają w całości tajemnicy Krzyża i niewymownych cierpień Chrystusowych. A oto niektóre z nich:

Odkupienie w cierpieniu najlepiej uwydatnia wielkość i grozę grzechu. Gdyby, przeciwnie, dokonało się bez cierpienia, np. przez jeden łatwy czyn Chrystusa, człowiek nie pojąłby nigdy jak wielkim złem jest grzech, jak straszne mogą być jego następstwa, i byłby skłonny do bagatelizowania go w sobie. Widok zaś Syna Bożego, nieskończenie umiłowanego przez Ojca, przygwożdżonego do krzyża, przekonuje go najwymowniej, jak wielkim złem jest grzech, skoro Bóg tak bardzo go nienawidzi.

Grzech, będąc targnięciem się na prawa Boże, zasługuje na karę. Toteż Pan Bóg, chociaż mógł odpuścić grzech bez zastrzeżeń, postanowił jednak nie odpuszczać go bez kary odpowiadającej jego naturze. Ludzkość grzeszna sama miała odcierpieć swoją winę – jej przedstawiciel będzie cierpiał za grzechy wszystkich. W ten sposób lepiej okaże się sprawiedliwość Boża i Jego nienawiść do grzechu, a dzięki temu nasza słaba wola skuteczniej zostanie odwrócona od złego.

Grzech zawiera w sobie także element przy-

jemności. Słuszną jest przeto rzeczą, aby w wynagrodzeniu zań zawierał się czynnik cierpienia, który byłby odpowiednikiem tej przyjemności i jej przeciwwagą.

Odkupienie dokonane w cierpieniu jest dowodem przekonującym nas o bezmiarze miłości Syna Bożego dla nas – dowodem wstrząsającym, a przez to skutecznie odwozującym nas od grzechu.

Chrystus przez Odkupienie dokonane w cierpieniu, chciał dać nam przykład, tak bardzo potrzebny ludziom wszystkich czasów, że Bogu należy służyć bez względu na to, co z tego może dla nas wyniknąć, tzn. że należy pełnić Jego wolę i kierować się sumieniem bez zważania na następstwa, chociażby tymi następstwami były: prześladowanie, utrata wolności a nawet życia.

Czyż trzeba przypominać, że pomimo tych i innych prób wyjaśnienia, Krzyż Syna Bożego i Jego bezmierne cierpienia pozostaną dla nas zawsze tajemnicą? Widzimy, że Krzyż ten dominuje nad życiem Chrystusa i dziełem Odkupienia, lecz nie potrafimy w całości wyjaśnić go ani pojąć. Jedno jest pewne: Bóg, postanawiając, iż wynagrodzenie Chrystusowe będzie musiało dokonać się w cierpieniu, miał

na względzie raczej nasze większe dobro, niż obronę własnych praw. Ten jednak fakt historyczny cierpień Chrystusa ma dla nas ogromne praktyczne znaczenie, bo skoro Chrystus cierpiał, to i nasze wynagrodzenie nie może dokonywać się inaczej jak tylko w cierpieniu.

Skąd wzięło się cierpienie w życiu Chrystusa?

Wynagrodzenie Chrystusowe jest wzorem naszego wynagrodzenia, stąd niezmiernie ważną będzie dla nas odpowiedź na pytanie: skąd wzięło się w życiu Chrystusa cierpienie? A przede wszystkim jaka jest geneza Jego męki?

Nie potrzeba chyba nawet przypominać, iż bluźnierstwem byłoby mniemanie, że skoro Bóg chciał, aby Chrystus cierpiał, Bóg sam to sprawił, że Żydzi Chrystusa prześladowali, że Judasz Go zdradził itd. Nie. Żadną miarą owa przewrotna działalność nie była wynikiem woli Bożej.

Jeżeli niekiedy mówi się, że Bóg zesłał na Chrystusa mękę i śmierć, powiedzenie to znaczy tylko tyle, że postanowił On, iż Chrystus narodzi się i będzie żył w czasie i środowisku, w którym Jego wierność woli Bożej, czyli wierność Swojemu posłannictwu sprowadzi na

Niego nieuchronnie prześladowanie i śmierć. Przewrotna jednak działalność tych, którzy winni są Jego śmierci, nie może być żadną miarą przypisana pozytywnej interwencji woli Bożej. Znajduje ona swoje wytłumaczenie w naturalnej grze czynników ludzkich, dokładniej mówiąc, ludzkich namiętności.

Fakt ten, że Bóg przewidział, co dane środowisko uczyni z Chrystusem z powodu Jego wierności woli Bożej, nie stoi więc w związku przyczynowym z przewrotną działalnością Jego wrogów, jak np. nie jest przyczyną ożywionego ruchu ulicznego, oglądanie tego ruchu z wieży. Pan Bóg pozwolił na ową działalność, dopuścił ją, tzn. nie przeszkodził jej swoją wszechmocą – np. przez odebranie wrogom Chrystusa wolnej woli – co więcej, przewidując ją, wprzęgnął ją w wykonanie swoich planów i zamierzeń, lecz żadną miarą tej wrogiej działalności nie chciał i nie spowodował.

Tak więc męka i śmierć Chrystusa ma swoje historyczne wytłumaczenie w naturalnych czynnikach. Śmierć Jego spowodowana została namiętnościami ludzkimi, którym Chrystus wszedł w drogę, ponieważ nie mógł postąpić inaczej, jeżeli we wszystkim chciał kierować się

wolą Swojego Ojca. I w tym najbardziej objawia się heroizm Jego miłości dla Ojca i na tym polega wartość wynagradzająca Jego życia, że był jej wierny pomimo że przewidywał, iż wierność ta ściągnie na Niego nienawiść środowiska, w którym żył, co dla Niego mieć będzie następstwa najtragiczniejsze.

Męka i śmierć Chrystusa były przeto naturalnym następstwem Jego wierności w pełnieniu woli Ojca. W naszych czasach, bardziej niż kiedykolwiek, zdolni jesteśmy zrozumieć tę prawdę, że wierność jej jak i własnemu sumieniu, może stać się dla człowieka przyczyną jego doczesnej zguby. I takie jest właśnie wytłumaczenie historyczne męki i śmierci Chrystusowej.

Oprócz cierpień spowodowanych nienawiścią ludzką spotykamy w życiu Chrystusa jeszcze inny rodzaj cierpień: cierpienia będące wynikiem i następstwem praw, które rządzą naszą egzystencją ziemską, np. zmęczenie spowodowane pracą, podróżą, modlitwą, znużenie jednostajnością codziennych obowiązków, pragnienie, głód, upał, zimno itd. I ten rodzaj cierpień jest często normalnym następstwem pełnienia woli Bożej. Jak w pierwszym omawianym przypadku wierne kierowanie się w życiu sumieniem i wolą Bożą doprowadza niekiedy do tragicznych

konfliktów ze środowiskiem i przez to staje się źródłem licznych cierpień, tak i w tym drugim wypadku wierne i stałe jej pełnienie ma często za następstwo niejedno cierpienie, pochodzące już nie z przewrotności ludzkiej, lecz z prawa natury. Otóż Chrystus, który z największym poświęceniem i pomimo wszystko, pełnił wolę Bożą, poniósł także wszystkie skutki Jej pełnienia.

Spotykamy wreszcie w Jego życiu inny jeszcze rodzaj cierpień: cierpienia dobrowolnie podjęte, np. przedłużony post i nocne czuwanie na modlitwie, lecz i w tym, jak i we wszystkim, kierował się On wolą Swojego Ojca – „Duch wyprowadził Jezusa na pustynię” (Mt 4,1).

To dokładne uświadomienie sobie źródła cierpień Chrystusowych ma dla naszego życia wynagrodzenia wielkie praktyczne znaczenie.

Nasze wynagrodzenie

Nasze wynagrodzenie, tak skierowane do Ojca, jak odnoszące się do Boskiego Serca Jezusowego, dla powodów wyżej podanych musi być jak najściślej wzorowane na wynagrodzeniu Chrystusa. Chrystus wynagrodził więc Ojcu za nasze grzechy przez miłość i posłuszeństwo, posunięte do najdalszych granic. Jego wynag-

grodzenie z woli Bożej musiało dokonać się w cierpieniu. Cierpienie to jednak było raczej następstwem jej wiernego pełnienia, a Chrystus nie szukał go jako celu samego w sobie.

Dlatego i nasze wynagrodzenie nie może dokonywać się inaczej, jak przez poddanie się woli Bożej i jej pełnienie, poddanie się i pełnienie płynące z miłości, tzn. będące działaniem naszej miłości dla Chrystusa, a posunięte aż do całopalnej ofiary z siebie na rzecz woli Bożej.

I nasze wynagrodzenie, tak jak Chrystusowe, nie obejdzie się bez cierpienia. Cierpień zaś potrzebnych dla życia wynagrodzenia za wzorem Boskiego Mistrza nie będziemy szukać dla nich samych, poza wolą Bożą, lecz trzeba nam wykorzystać dla naszego celu przede wszystkim te, które są zwyczajnym następstwem wiernego jej pełnienia oraz te, które nie będąc jego następstwem, są jednak zesłane lub dopuszczone przez Boga. Cierpienia dobrowolnie podjęte, jak umartwienia nadobowiązkowe, chociaż i one także są konieczne, w życiu wynagrodzenia będą odgrywały rolę raczej drugorzędną.

To, co jest istotnym w życiu wynagrodzenia, to zjednoczenie możliwie doskonałe naszej woli z wolą Bożą – oddanie Bogu własnej woli, oddanie tak całkowite, że może być mowa o całopalnej ofierze – będące owocem i dziełem naszej miłości, a podjęte świadomie w celu

wynagrodzenia.

Nie cierpienie samo przez się stanowi więc istotę wynagrodzenia, lecz pełne miłości poddanie się woli Bożej i pełnienie jej pomimo wszystko, tzn. pomimo cierpienia często z tym związanego. Im zaś bardziej całkowite i doskonalsze będzie owo poddanie się i pełnienie jej pomimo cierpienia stąd dla nas wynikających, tym nasze życie wynagrodzenia będzie doskonalsze.

To zaś całkowite oddanie Bogu naszej woli – stanowiące istotną treść wynagrodzenia – polega na dwu rzeczach: na modlitwie doskonałej i gotowości na wszystko, cokolwiek by się spodobało Bogu od nas zażądać, tak w materii cierpienia, jak czynu, nade wszystko jednak na rzeczywistym, aktualnym pełnieniu woli Bożej, ukrytej w obowiązku chwili obecnej.

Owo całkowite płynące z miłości oddanie Bogu własnej woli, będące istotnym czynnikiem wynagrodzenia, polega po pierwsze na stałym utrzymaniu jej w doskonałej gotowości na wszystko, cokolwiek by się spodobało Bogu na nas zesłać, dopuścić, nakazać nam, zakazać lub od nas zaprzęgnąć.

Jeżeli przypatrzymy się uważniej tej postawie duszy, zauważymy, że uwarunkowana jest ona

tym, co św. Franciszek Salezy nazywa „świętą obojętnością na wszystko, co nie jest wolą Bożą”, a św. Jan od Krzyża – „doskonałym ogołoceniem”.

Źródłem tej „obojętności” nie jest wcale astenia psychiczna ani apatia duszy, która doświadczywszy w życiu, że „wszystko jest próżnością i utrapieniem ducha”, nie pragnie już niczego i pozostawia rzeczy ich własnemu biegowi. Jej geneza jest zupełnie inna. Tłumaczy się ona mianowicie jedynie wielkim wyobrażeniem, jakie dusza ma o wartości woli Bożej. Od chwili bowiem, gdy nieco lepiej zrozumiała, kim jest Bóg i jak bardzo wart On jest jej miłości – a równocześnie pojęła, jaką rolę odgrywa w miłości ku Bogu pełnienie Jego woli – wola ta stała się dla niej najwyższą, można powiedzieć jedyną wartością. Tak bardzo dusza jest nią urzeczona, że już nie potrafi prawdziwie pragnąć w życiu czego innego, jak tylko jej wypełnienia, na wszystko zaś inne stara się być obojętna.

Wynika stąd, że owa gotowość na wszystko nie jest gotowością na samo tylko cierpienie i na śmierć, jak niektóre dusze niekiedy to sobie wyobrażają, lecz na wszystko, co Bogu spodobą się uczynić z nami, a więc równie dobrze i na radości, które Opatrzność Boża zechce nam zesłać. Toteż trzeba nam starać się być gotowymi, tak na cierpienie i smutek, jak i na radość; tak na śmierć, jak i na życie; tak 105

chorobę, jak i na zdrowie; tak na pracę, jak i na wytchnienie – jednym słowem na wszystko, co Bogu spodoba się uczynić z nami i w nas.

Dusza żyjąca ideą wynagrodzenia pragnie jednej tylko rzeczy, by godna uwielbienia wola Boża, jej najwyższa wartość, stała się w niej i z nią. Stara się natomiast być obojętną na to, pod jaką postacią, miłą czy przykrą, ta wola Boża może się jej objawić.

Owa gotowość na wszystko wtedy dopiero będzie prawdziwie szczerą, gdy dusza zbliży się do doskonałej wolności, przez ujarzmienie i opanowanie wszystkich namiętności. Dopóki zaś to nie nastąpi, człowiek pełen naturalnych upodobań i przywiązań stale będzie miotany i ciągnięty we wszystkich kierunkach przez pragnienia i obawy, będące często nie do pogodzenia z wolą Bożą. Postawa jego nie będzie już „gotowością na wszystko”, gdyż rwał się on będzie za wszelką cenę w jednym kierunku: w tym, w którym pociągnie go namiętność.

Należy jednak zwrócić uwagę na to, że owa święta obojętność a pełna miłości gotowość na wszystko, co Bóg zechce, mimo przeciwnych pozorów nie jest apatią i nieczułością, co byłoby stanem śmierci. Miejmy własne, osobiste upodobania i pragnienia, nasze własne plany

i zamiary, pragniemy ich urzeczywistnienia; oddajmy się całą duszą naszym pracom apostołskim i dziełom – bylebyśmy równocześnie byli gotowi do natychmiastowego zrezygnowania z tego wszystkiego, do złożenia w ofierze tych naszych zamierzeń i upodobań za najmniejszym skinieniem woli Bożej.

To, co jest nie do pogodzenia ze stanem gotowości na wszystko, to nie tylko świadome podtrzymywanie w sobie dążeń i pragnień złych, lecz nawet tych obiektywnie dobrych, do których jednak dusza ta jest przywiązana, że ich zrealizowania pragnie za wszelką cenę, nie oglądając się na wolę Bożą.

Trzeba jednak, by ta nasza gotowość na wszystko była pokorna. Niech towarzyszy jej przekonanie o naszej niewystarczalności i nędzy. Sił zaś potrzebnych do spełnienia tego, czego Bóg może od nas zażądać, oczekujemy jedynie od wszechmocnej miłości Najświętszego Serca Jezusowego.

Tak pojęta swoboda serca jest jedną z przeogromnych łask życia wewnętrznego. Bez niej nie ma doskonałej miłości, a więc i życia wynagrodzenia. Trzeba nam przeto uczynić wszystko, by ją sobie wyprosić i wywalczyć.

Całkowite, płynące z miłości oddanie Bogu

naszej woli – stanowiące najgłębszą treść życia wynagrodzenia – polega przede wszystkim na rzeczywistym, możliwie doskonałym pełnieniu woli Bożej, objawionej nam przez obowiązek chwili obecnej. Stan duszy określany „gotowością na wszystko”, byłby tylko smutnym złudzeniem, gdyby nie rodził się z niego czyn – rzeczywiste, godzina za godziną, wierne pełnienie woli Bożej, ukrytej w obowiązku chwili obecnej, niezależnie od tego, czy tym obowiązkiem jest cierpienie, czy jest nim czyn.

W pełnieniu zaś jej rozróżniamy trzy stopnie: pełnienie jej w rzeczach najważniejszych, tzn. w tym, co nakazane pod grzechem ciężkim; pełnienie jej także i w rzeczach mniejszej wagi, czyli i w tym, co nakazane i zakazane jest pod grzechem powszednim; pełnienie już nie tylko tego, co Bóg nakazuje lub zakazuje, lecz i najmniejszych Jego „pragnień”, czyli „upodobań”, tzn. czynienie również tego, co wydaje się nam być miłszym Bogu, tego, co doskonalsze.

Życie wynagrodzenia wymaga od nas całkowitego zjednoczenia naszej woli z wolą Bożą, poddania naszej woli, a więc umiłowania i pełnienia woli Bożej nie tylko w tym, co nakazane, lecz umiłowania i pełnienia także i tego, co nazywaliśmy „pragnieniami” Bożymi. Wynagradzać

bowiem można tylko przez „nadmiar”. A czyż w stosunku do Boga może być w ogóle mowa o nadmiarze miłości i posłuszeństwa, skoro z natury Swojej wart On jest, byśmy Mu oddali całe nasze serce? Tym więcej przeto, jeżeli pragniemy miłować Go nie tylko za siebie lecz także i za drugich – a do tego ostatecznie sprowadza się wynagrodzenie – w życiu naszym nie może być miejsca na połowiczność.

Tym bardziej nie ma na nią miejsca, skoro uświadomimy sobie, że Chrystus jest ustawicznie znieważany; że w tej samej chwili miliony rodzin, dzieci, młodzieży ulega deprawacji moralnej; że ogromna liczba dusz na świecie ustawicznie znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie potępienia. Czy wobec tego my, którzyśmy zostali tak bardzo wyróżnieni i obsypani bezmiarem łask, moglibyśmy żyć inaczej, niż w stanie zupełnego oddania, przez pełnienie w duchu wynagrodzenia najmniejszych upodobań Bożych?

Aby ofiara nasza naprawdę była całopalna, trzeba, byśmy wolę Bożą i upodobania Boże pełnili we wszystkim: tak w pracy apostołskiej, jak i na modlitwie, w miłości bliźniego, w pokorze, ubóstwie, czystości, posłuszeństwie, umartwieniu i w innych cnotach.

By jednak tak pojęta ofiara była formalnym

wynagrodzeniem, należy składać ją w intencji wynagrodzenia. Człowiek bowiem może pełnić wolę Bożą dla różnych motywów: z wyrachowania nadprzyrodzonego i miłości mniej doskonałej, z wdzięczności itp. By przeto poddanie się woli Bożej i jej wypełnienie było wynagrodzeniem świadomym, trzeba aby „formą”, czyli motywem owego doskonałego ustosunkowania się do niej było płynące z miłości pragnienie wynagrodzenia.

„Upodobania” Boże

Pewne zamieszanie w pojęciach może wywołać ów trzeci stopień pełnienia woli Bożej, a mianowicie wykonywanie tego, co nazywaliśmy „pragnieniami” lub „upodobaniami” Bożymi. Oto kilka uwag, które ułatwiają lepsze zrozumienie przedmiotu.

Przez „upodobania” Boże rozumiemy już nie to, co nakazane, lecz to co doskonalsze, to co Panu Bogu miłsze. Jest to więc dziedzina nadobowiązkowości.

Należy pamiętać, że nie wszystko, co samo w sobie jest doskonalsze, jest takie dla nas, czyli że nie wszystko, co obiektywnie jest doskonalsze, jest upodobaniem Bożym. Aby zaś usta-

lić, co dla nas jest doskonalsze, należy wziąć pod uwagę wszystkie konkretne okoliczności i warunki, w których w danym okresie się znajdujemy. Musimy przeto uwzględnić stan zdrowia i sił, tak fizycznych jak duchowych, obowiązki nałożone nam przez posłuszeństwo, okoliczności czasu, miejsca, osób i inne. Także i tutaj bowiem ma zastosowanie owa zasada teologii, że o charakterze moralnym naszych czynów decyduje nie tylko ich przedmiot i motyw, lecz także i okoliczności.

W wątpliwości czy Pan Bóg pragnie tego ode mnie, czy nie – czy to Mu będzie miłszym, czy tamto – należy trzymać się następującej wytycznej: jeżeli chodzi o jeden tylko czy drugi akt sporadyczny, rozstrzygnijmy wątpliwości sami. Skoro zaś jesteśmy w dziedzinie nadobowiązkowości, rozstrzygnijmy ją przy pomocy zasady: *in dubiis libertas* – w wątpliwości swoboda. Uważajmy zatem za pragnienie Boże tylko to, co nam się wydaje nim być, bez najmniejszej wątpliwości. W wątpliwości uważamy, iż mamy zupełną swobodę działania. Jeżeli zaś chodzi nie o jeden czy drugi akt, lecz o ustalenie wytycznej, której będziemy trzymać się na stałe, przedłożmy nasz projekt kierownikowi duszy i zastosujmy się do jego wskazówek.

Szczególnie na tym trzecim stopniu pełnienia woli Bożej należy utrzymywać kontakt ze swym ojcem duchownym, gdyż dusza łatwo może wziąć za pragnienia Boże własne urojenia lub podszepty szatana, który niekiedy po to tylko pobudza ją do nieroztropności, by ją znużyć i tak okreśną drogą doprowadzić do oziębłości.

Dusze wierne łasce Bożej na ogół nie mają jednak wielkich trudności w rozpoznawaniu upodobań Bożych, gdyż jest w nich jakby jakiś instynkt nadprzyrodzony (dar rady), za pomocą którego bez rozumowania wyczuwają najmniejsze pragnienia Boże.

Cierpienie w życiu wynagrodzenia

Dyskusja na temat potrzeby cierpienia w życiu wynagrodzenia jest z góry przesądzona przez ten fakt, iż nasze wynagrodzenie musi być wzorowane na wynagrodzeniu Chrystusa, to zaś, jak widzieliśmy, dokonało się w cierpieniu. I nasze zatem wynagrodzenie bez cierpienia się nie obejdzie. Prawdą jest, iż w życiu wynagrodzenia nie zajmuje ono pierwszego miejsca, to bowiem, jak wiemy, należy się miłości ofiarnej, tj. objawiającej się przez całkowite oddanie Bogu własnej woli, mimo to jednak cierpienie jest jednym z koniecznych

składników naszego wynagrodzenia.

Czy mamy przeto szukać pozytywnie cierpienia? Niech za odpowiedź starczy nam przykład Boskiego Mistrza. Czy On sam się ubiczował? Czy sam włożył sobie na głowę cierniową koronę? Czy sam się ukrzyżował? Widzieliśmy, że nie. W swoim życiu pełnił On jak najwierniej wolę Swojego Ojca i nią się kierował, cierpienia zaś Jego były raczej tylko następstwem Jego wierności woli Bożej. Pełnił On wolę Bożą, pomimo że przewidywał, że owa wierność ściągnie na Niego prześladowanie, pełnił ją, pomimo iż przyprawiało Go to często o zmęczenie, narażało na upał, na zimno, na głód. To nauka dla nas, jak mamy pojmować rolę cierpienia w życiu wynagrodzenia.

A przede wszystkim za wzorem Boskiego Mistrza dla naszego życia wynagrodzenia nie tyle należy szukać cierpień wprost i dla nich samych, w oderwaniu od woli Bożej, lecz trzeba nam wykorzystać przede wszystkim te, które bywają normalnym następstwem jej wiernego pełnienia oraz te, które są zesłane lub dopuszczone przez Opatrzność Bożą. Jeżeli zaś chodzi o cierpienia podejmowane z własnej inicjatywy, tj. pokutę i umartwienia nadobowiązkowe, chociaż dla naszych celów tak bardzo są potrzebne, że nigdy dostatecznie tego nie można ocenić, to pomimo wszystko,

w naszym życiu wśród cierpień wynagradzających zajmą one dopiero drugie miejsce. Główny zaś wysiłek trzeba nam zwracać na pełnienie woli Bożej, mimo cierpień stąd dla nas wynikających.

Pełnijmy więc wolę Bożą, tzn. obowiązek chwili obecnej, we wszystkim jak najwierniej. Pełnijmy ją pomimo wszystko, tj. pomimo zmęczenia wynikającego z posługi w konfesjonale, na ambonie, z pracy w klasie, w biurze; mimo znużenia, jakie pociąga za sobą jednostajność obowiązków. Pełnijmy ją, pomimo upałów lub zimna, mimo przewidywań, że wierność naszemu sumieniu ściągnie na nas niechęć ludzką; pełnijmy ją, pomimo iż wierność naszym obowiązkom wyczerpuje nasze siły, rujnuje zdrowie, może skazuje na śmierć przedwczesną.

Wynagrodzenie to właśnie pełnienie wierne, z miłością, tej woli Bożej, pomimo niekiedy ciężkich dla naszej natury następstw. Dopiero przez takie jej pełnienie POMIMO WSZYSTKO i za wszelką cenę, miłość nasza i posłuszeństwo – główne czynniki wynagrodzenia – nabierają cech heroizmu i stają się w najwyższym stopniu wynagradzającymi.

Jest jednak w naszym życiu inny jeszcze rodzaj cierpień, nie będących już następstwem

pełnienia przez nas woli Bożej, objawionej nam przez obowiązek chwili obecnej, lecz spowodowanych różnego rodzaju wypadkami, jak wojna, choroby, złość czy głupota ludzka lub też własnymi pomyłkami i upadkami, a więc cierpień zesłanych lub dopuszczonych przez Boga. Jaka jest rola w życiu wynagrodzenia tej kategorii cierpień? Taka sama, jak i pierwszej: przyjęte i znoszone z pokornym poddaniem się i miłością, także i te cierpienia, nadają tym dwóm istotnym składnikom wynagrodzenia – posłuszeństwu i miłości – cechę heroizmu.

Na taką jednak postawę pokornego i miłosego przyjęcia tej kategorii cierpień będziemy mogli zdobyć się dopiero wtedy, gdy poza przyczynami drugimi, które są bezpośrednim źródłem naszego cierpienia, potrafimy dostrzec Boga, Jego pełną miłości działalność, Jego wolę lub Jego dopuszczenie.

Jakakolwiek byłaby bezpośrednia przyczyna naszych cierpień, a więc niezależnie od tego, czy są one następstwem wierności naszym obowiązkom, czyli woli Bożej, czy też może są one zesłane lub dopuszczone przez Bożą Opatrzność, trzeba nam je uważać za prawdziwy skarb dla naszego życia wynagrodzenia. Tylko bowiem dzięki nim możemy dać Bogu

dla wynagrodzenia, tak za grzechy własne jak i innych dusz, najwyższy dowód posłuszeństwa i miłości, do jakiego tylko zdolna jest nasza ludzka natura – krótko mówiąc: dowód w cierpieniu i ofierze.

Stworzyć klimat konieczny do rozkwitu heroizmu miłości i poddania się woli Bożej – czy byłaby to jedyna rola cierpienia w życiu wynagrodzenia? Zdaje się, że jest to jego głównym zadaniem, jednak zadaniem nie jedynym.

I rzeczywiście, teologia analizując bardzo złożoną tajemnicę Odkupienia, które jest szkołą, wzorem i regułą jakiegokolwiek naszego wynagrodzenia, widzi w nieopisanych cierpieniach Chrystusa jeszcze inny aspekt, aspekt penalny (karny). Mówi nam ona, że ponieważ grzech, będący zaburzeniem porządku ustanowionego przez Boga, zasługuje na karę, Ten, który ofiarował się zań wynagrodzić, musiał z postanowienia Bożego nie tylko dać Bogu najwyższy dowód miłości i posłuszeństwa, będących przeciwwagą grzechu – lecz równocześnie musiał On wziąć na siebie także i jego następstwa karne. Zadośćuczynienie karne w zastępstwie grzeszników było więc warunkiem postawionym przez Boga dziełu wynagrodzenia Chrystusowego. Skoro zaś nasze wynagrodzenie musi być ściśle wzorowane na wynagrodzeniu

Chrystusa, zadośćuczynienie karne na miejsce dusz, za które wynagradzamy, by je pozyskać dla Boskiego Serca Jezusowego, jest także i dla nas prawem i warunkiem wynagrodzenia. By więc wynagrodzić, nie tylko winniśmy dać Najświętszemu Sercu Jezusowemu tę miłość i posłuszeństwo, których odmawiają Mu dusze, lecz równocześnie musimy w pewnym znaczeniu wziąć na siebie dobrowolnie także karę – cierpienie, na którą one zasługują swoimi grzechami.

Czyż trzeba przypominać, że to samo prawo rządzi przede wszystkim wynagrodzeniem za nasze własne grzechy?

Taka jest więc, zdaje się, rola i takie miejsce cierpienia w życiu naszego wynagrodzenia. Z jednej strony stwarza ono atmosferę konieczną dla rozkwitu heroizmu miłości i poddania się woli Bożej – będących istotnym czynnikiem wynagrodzenia i jego najgłębszą treścią – z drugiej zaś strony to samo cierpienie równocześnie jest także i karą, ekspiacją za grzechy własne i dusz, za które pragniemy wynagrodzić.

Dodajmy jednak na zakończenie, iż zdaje się, że pomimo tych i innych prób wyjaśnienia na zawsze pozostanie coś tajemniczego w tej konieczności cierpienia dla życia wynagrodzenia – coś z owej wielkiej tajemnicy Krzyża. Lecz jedno

jest pewne: w życiu wynagradzającym cierpienie jest czymś koniecznym. Krzyż Chrystusowy nas o tym przekonuje.

Mimo woli nasuwa się zatem pytanie, czy wobec tego dusza, która chce prowadzić życie wynagrodzenia, nie powinna prosić Boga o krzyże i cierpienia nadzwyczajne? Na to pytanie spróbujemy odpowiedzieć nieco niżej, gdy będzie mowa o pojęciu „żertwy”.

Umartwienia nadobowiązkowe

Do tych cierpień, które Pan Bóg dopuszcza lub zsyła, i które są lub nie są następstwem pełnienia woli Bożej, dodajmy w duchu wynagrodzenia i ekspiacji umartwienia nadobowiązkowe, tak wewnętrzne jak i zewnętrzne. Trzeba jednak, aby także i w tym nasze postępowanie było jak najściślej kierowane wolą Bożą („pragnieniem” Bożym). Bo, jak widzieliśmy, cierpienie czerpie swoją wartość wynagradzającą tylko ze swojego związku z wolą Bożą. Uwaga nasza w podejmowaniu tego rodzaju umartwień powinna być przeto skierowana nie tyle na cierpienie wynikające z umartwienia, ile na pragnienie Boże i na spełnienie właśnie w duchu całopalnej ofiary naszej woli. W umartwieniu zatem nie tyle trzeba nam szukać cierpienia, ile raczej

spełnienia przez to umartwienie upodobania Bożego. Z tego wynika, że umartwienia te są dla nas przede wszystkim pełnieniem woli Bożej – jej trzeciego stopnia.

Skoro chcielibyśmy, by nasza ofiara była naprawdę całopalna, trzeba aby i na tym odcinku życia wewnętrznego nasza wierność pragnieniom i upodobaniom Bożym była zupełna, czyli trzeba, byśmy podejmowali wszystkie te umartwienia, których Boskie Serce Jezusa od nas oczekuje.

Cała trudność w tym, by ustalić, jak daleko idą te pragnienia Boże. Jeden z autorów ascetycznych mówi, że dusza powołana przez Ducha Świętego na drodze heroicznej świętości staje się niewierną łasce Bożej wtedy, gdy może w czymkolwiek zadać sobie umartwienie a zaniedbuje to tylko dlatego, że to niemiłe i niewygodne. Na wyżynach heroicznej doskonałości – kontynuuje – obowiązuje przede wszystkim umartwienie wewnętrzne jak najdalej posunięte, a nie zdradzające się nigdy bez koniecznej potrzeby. Nie ma takiej chwili w ciągu dnia, w której by dusza pozostawająca pod przewodem Ducha Świętego na drodze świętości heroicznej nie napotykała sposobności do wewnętrznego umartwienia. Niedopuszczalnym jest na tych wyżynach duchowych czynienie

czegokolwiek li tylko dla ludzkiej przyjemności, bez wyższego, nadprzyrodzonego celu. Dusza zmierzająca ku szczytom najwyższym doskonałości powinna stosować wszystkie umartwienia do jakich ma sposobność, nie wykluczając najsurowszych aż do tych granic wyznaczonych przez posłuszeństwo kierownikowi sumienia i zasady roztropności. Jeżeli zaniedbuje umartwienia takie, których jej nie zabrania ani stan zdrowia, ani wola widzialnych zastępców Bożych, ani inne względy, to schodzi na poziom zwyczajnej doskonałości i zrywa praktycznie z zasadami heroicznego oddania się Bogu. To ostatnie wymaga przecie, by nigdy niczego Bogu nie odmawiać.

W świetle powyższych twierdzeń możemy sformułować następującą wytyczną: Boskie Serce Jezusa pragnie ode mnie tych wszystkich umartwień nadobowiązkowych, tak wewnętrznych, jak zewnętrznych, na które mnie stać, tzn. tych, na które mi pozwolą moje siły fizyczne i duchowe, stan mojego zdrowia, moje zajęcia i obowiązki, przede wszystkim zaś moi przełożeni. Bez ich kontroli nie trzeba podejmować czegokolwiek ważniejszego w tej dziedzinie. Dusze żarliwe a niedoświadczone, bez tej kontroli byłyby narażone na szkodliwe, nie tylko dla zdrowia ciała, lecz także i dla ich życia

wewnętrznego, nieroztropności. Wyczerpanie fizyczne, znużenie psychiczne, gwałtowna, nie licząca się z niczym reakcja natury, której nadużyto, reakcja pogrążająca duszę w oziębłość, niekiedy nawet ciężkie upadki, oto dokąd zmierza dusza, która bez przewodnika wybrała się w te rejony życia wewnętrznego. Słowa te pisane są nie w tym celu, aby odstraszyć od tak pojętego oddania się Bogu, lecz po to, by odradzić ruszanie w drogę bez przewodnika.

Trzeba jednak dodać, że doświadczenie pokazuje, iż większość dusz potrzebuje raczej zachęty do umartwienia, a nie ostrzeżenia przed nieroztropnością w tej materii.

Nie trzeba chyba przypominać, że tak daleko posunięte umartwienie nie może być uważane za punkt wyjściowy naszego życia wewnętrznego, lecz raczej za dość odległy etap, program, który dopiero po wielu latach pracy może być w całości wykonany.

Do doskonałości w tej materii dusza zbliży się dopiero przy równoczesnym proporcjonalnym rozwoju cnót teologalnych. Bez wysokiego ich stopnia nie pojmie ona bowiem potrzeby tak daleko posuniętego umartwienia, nie zrozumie, na czym ono polega i nie zauważy licznych okazji do umartwień, które będą się jej nasuwać.

Skoro próbujemy ustalić rolę, jaką w życiu wynagrodzenia odgrywają umartwienia nadobowiązkowe, nie można pominąć milczeniem jeszcze jednej spełnianej przez nie funkcji o ogromnej doniosłości. Oto hartując wolę i wzmacniając jej siły, umartwienia te czynią nas zdolnymi do ofiarnej miłości, czyli do pełnienia woli Bożej pomimo silnych oporów, jakie napotykamy ze strony naszych ślepych, naturalnych instynktów i namiętności. Dopiero bowiem przy pomocy częstych aktów umartwienia nasza wola powoli, stopniowo, wyswobodza się od uroku, jaki na nią wywiera to, co przyjemne i uczy się panować nad odrazą, jaką w niej budzi to, co przykre – a tak zbliża się powoli do doskonałej wolności, która dopiero umożliwi jej pełnienie woli Bożej we wszystkim, czyli uczyni ją zdolną do ofiarnej miłości, będącej głównym czynnikiem wynagrodzenia.

Niedocenywanie umartwień nadobowiązkowych, spowodowane może być tym, że wśród cierpień wynagradzających zajmują one w życiu wynagrodzenia miejsce raczej drugoplanowe. Wyrządziłoby to duszy szkodę nie do naprawienia – jej życie wynagrodzenia byłoby skazane na ustawiczne załamywanie się pod naporem namiętności, z którymi jej słaba wola, nieprzy-

zwyczajona do stawiania oporu temu, co miłe lub przykre, nie umiałaby dać sobie rady.

To niebezpieczeństwo niedoceniań umartwienia po przeczytaniu niektórych sformułowań, zawartych w niniejszej książce rzeczywiście mogłoby zagrażać duszy, która jeszcze nie uświadomiła sobie pewnego, dosyć trudnego do wyjaśnienia spaczenia, któremu ulegamy w naszych sądach. Polega ono na tym, że mając do czynienia z dwoma rzeczywistościami duchowymi o wielkiej, lecz nierównej wartości, mimo woli zatrzymujemy naszą uwagę na tej, która w hierarchii wartości zajmuje pierwsze miejsce, skłonni natomiast jesteśmy do bagatelizowania sobie drugiej.

Jakkolwiek by było, oddamy początkującym przysługę, za którą wdzięczni nam będą w wieczności, jeżeli już od pierwszych ich kroków w służbie Bożej, zaczniemy przekonywać ich o potrzebie ofiarnego wykorzystania wszystkich okazji do drobnych umartwień, i w ten sposób wprowadzimy ich na drogę całkowitego wyrzeczenia się we wszystkim. Przypominajmy im o tym ustawicznie, pokazujmy na czym, w szczegółach życia, polega to umartwienie, podsuwajmy odpowiednie motywy. Jakże wiele dusz tylko dlatego nigdy nie dochodzi do najwyższej świętości, że

nie umiano im pokazać tej drogi dość rychło. Przy całej ich pobożności ich życie wewnętrzne do końca nacechowane jest połowicznością. Brak mu tego co istotne – pełnej ofiarności. Święty Jan od Krzyża chciał przekonać każdą osobę duchowną, że droga do Boga nie polega na mnogości rozważań, na różnych doznaniach, praktykach, czy upodobaniach, chociaż bez tych rzeczy początkujący obejść się nie mogą. Uważał, że jedna tylko rzecz jest bezwzględnie potrzebna – umiejętność wyrzeczenia się odważnego tak co do ciała, jak co do ducha, złożenie się w ofierze dla Chrystusa w całkowitym unicestwieniu. Przez tę praktykę więcej się czyni i więcej zdobywa niż przez wszystkie ćwiczenia. Przeciwnie, jeżeli się zaniedba tej praktyki będącej fundamentem i korzeniem wszystkich cnót, znajdzie się tylko owoce drugorzędne a postęp będzie wstrzymany, choćby się miało myśli i łaski anielskie.

Oddanie się Najśw. Sercu Jezusa na ofiarę całopalną

W czasach, gdy piekło, jak nigdy dotąd w historii ludzkości, zmobilizowało do walki cały swój potencjał dla zguby dusz, myśl o całopalnej ofierze dla sprawy Najświętszego

Serca Jezusowego, bardziej niż kiedykolwiek urzeka swym pięknem niejedną duszę. To szlachetne pragnienie, wyrastające z podłoża głęboko przeżywanej miłości do Chrystusa i Jego Kościoła, nie zawiera w sobie niebezpieczeństwa – mimo iż pozornie może się wydawać schodzeniem z drogi zwykłej na nadzwyczajną, zawsze podejrzaną – byleby tylko dusza pojmowała swoją ofiarę.

A oto, jak należy ją rozumieć:

Przede wszystkim nie trzeba, aby dusza oddająca się Najświętszemu Sercu Jezusowemu na ofiarę prosiła Boga o nadzwyczajne cierpienia, śmierć przedwczesną, może tragiczną itp. Byłoby to bowiem, jeżeli już nie zarozumiałością lub egzaltacją, to w każdym razie naiwnym przecenianiem własnych sił. Prawda, że w życiu niektórych świętych, np. św. Małgorzaty Marii, spotykamy tego rodzaju prośby. Nasza droga jest jednak nieco inna, więcej dostosowana do naszej słabości.

Żertwa – to istota ludzka, która całkowicie oddała się i zdała na wolę Bożą i na upodobanie Boże, czyli na to, co Bogu spodoba się z nią uczynić. Oddała całą siebie: swoje ciało i duszę, swoje władze, siły, zdrowie, życie, wszystko czym jest i wszystko co posiada, zarówno gdy

chodzi o główne linie jej życia, jak i o każdą jego chwilę. Nie mając już własnej woli – złożyła ją bowiem w ofierze – i nie należąc już więcej do siebie, dusza-żertwa nie może mieć swoich własnych pragnień i upodobań niezależnych od woli Bożej. Nie pragnie przeto ani życia, ani śmierci; ani zdrowia, ani choroby; ani powodzenia, ani niepowodzenia; ani tego stanowiska, ani innego; ani zimy, ani wiosny; ani modlitwy, ani pracy. Stara się natomiast pragnąć tylko tego, czego chce lub pragnie jej Boski Mistrz. Najwyższym bowiem i jedynym jej prawem i tym, co ją stanowi jest wola i upodobanie Tego, któremu oddała się w całopalnej ofierze.

Tak pojęta ofiara nie jest więc oddaniem się na samo tylko cierpienie, lecz równie dobrze także i na radość. Dokładniej mówiąc ani na jedno, ani na drugie, ale na to, co spodoba się Najświętszemu Sercu Jezusowemu. Dusza-żertwa nie prosi o cierpienie, lecz także nie wyklucza krzyży nawet najcięższych, jeśli by Boskiemu Mistrzowi spodobало się je na nią dopuścić. Zostawia przeto Jego Boskiemu Sercu zupełną swobodę rozporządzania jej życiem i każdą jego chwilą, jej wolą, siłami, zdrowiem, wszystkim.

Zaznaczyć jednak należy, że chociaż dusza-żertwa nie prosi pozytywnie Boga o krzyże

i o cierpienie, i że w tym także zdaje się zupełnie na Jego wolę i upodobanie, to jednak zdając sobie sprawę z tego, że miłość i posłuszeństwo woli Bożej – stanowiące najgłębszą treść wynagrodzenia – normalnie osiągają swe najwyższe natężenie dopiero w cierpieniu, a równocześnie będąc głęboko przekonana o potrzebie cierpienia ekspiacyjnego, gdyby miała swobodę wyboru między radością a cierpieniem, dusza-żertwa wybrałaby jednak to drugie.

Oddając się więc Najświętszemu Sercu Jezusowemu w całkowitej ofierze, dusza-żertwa niekoniecznie skazuje się przez to na samo tylko cierpienie. Pomimo to nie możemy obronić się przed myślą, że jej ofiara, jeżeli zostanie przyjęta, prawdopodobnie skończy się jednak krzyżem i cierpieniem, tak jak cierpieniem, męką i śmiercią skończyła się nieskończenie ofiarna gotowość Najświętszego Serca Jezusowego. Liczne przykłady spotykane w życiu dusz świętych, które podobną Bogu złożyły ofiarę, w tym mniemaniu tylko nas utwierdzają. Także i znawcy tego zagadnienia wyrażają przekonanie, że dosyć często Boskiemu Sercu Jezusowemu podoba się zesłać na duszę o tak ofiarnym usposobieniu jakieś dodatkowe cierpienie, które zwykłym porządkiem rzeczy byłoby ją ominęło. Toteż nie bez słuszności wyraz

„żertwa” na zawsze skojarzył się w naszym umyśle z pojęciem cierpienia.

Pomimo to wewnętrzną atmosferą żertwy nie może być obawa. Myśl o ogromie miłości indywidualnej, jaką jest umiłowana, nie powinna ani na chwilę jej opuszczać. Ta miłość najtroskliwsza i tak wielka, że nie można jej nawet w przybliżeniu oddać językiem ludzkim, nie dopuści na nią niczego, co byłoby ponad jej siły. Jeżeli w następstwie jej oddania się na ofiarę dopuściłaby na nią większą dawkę cierpień, da jej równocześnie siłę i wszystko, co jej będzie potrzebne do dźwigania krzyża, bowiem ręce, w które się oddała na śmierć i życie, są samą miłością.

Całą swą uwagę dusza-żertwa powinna skoncentrować nie na zakrytej i nieznanej przyszłości, na spodziewaniu się i oczekiwaniu cierpienia, które w następstwie jej ofiary mogą na nią przyjść, na ich pragnieniu czy też obawie przed nimi – lecz na chwili obecnej z jej aktualną wolą Bożą, objawioną przez obowiązek tejże chwili, na możliwie wiernym jej wypełnieniu, aż do najmniejszych pragnień, czyli upodobań Bożych. Jej ofiara bowiem wtedy dopiero nie będzie złudzeniem, lecz rzeczywistością, gdy realizowana będzie godzina za godziną, a przy

okazji każdorazowego spotkania się z wolą Bożą ukrytą w obowiązku chwili obecnej, niezależnie od tego, czy tym obowiązkiem będzie czyn, czy będzie nim cierpienie. Co do reszty zaś, jej usposobieniem podstawowym powinno być zdanie się zupełne na miłość i mądrość Tego, któremu oddała się w ofierze.

Wyżej opisany stan duszy jest najdoskonalszym odtworzeniem w sobie życia Boskiego Serca Jezusowego, wewnętrznym upodobnieniem się do Bożego Mistrza. Do takiego to bowiem bezgranicznego uzależnienia się od woli Bożej i upodobania Bożego oraz zdania się na nie – a więc do ofiarnej w najwyższym stopniu miłości – sprowadza się życie, męka i śmierć Chrystusa.

Jeżeli dusza-żertwa w ten sposób zdaje się we wszystkim na wolę i upodobanie Boskiego swego Mistrza, czyni to nie tylko dlatego, iż jest przekonana, że to, co Jego Boskie Serce, a więc miłość, nakaze, zakaze, da, zesle lub dopuści, jest dla niej najlepsze. Zbyt wierzy ona w Jego miłość, by mogła zapomnieć o tym, choćby tylko na chwilę. Mimo to jednak, to nie jej ufność jest główną przyczyną sprawczą tego jej zupełnego zdania się na Jego wolę. Jest nią przede wszystkim jej miłość dla Chrystusa, miłość bezinteresowna.

Co jednak dusza-żertwa pragnie osiągnąć przez to swoje oddanie się Chrystusowi na ofiarę całopalną? Otóż drogi, którymi łaska prowadzi dusze o tak ofiarnym usposobieniu, bywają różne. Należy pójść za jej tchnieniem i własnym upodobaniem.

I tak, niektóre dusze o życiu wewnętrznym, całkowicie zwróconym ku Boskiemu Sercu ich Mistrza, przez tę swoją ofiarę pragną pocieszyć Jego Najświętsze Serce, zasmucone niewdzięcznością ludzką, starając się dać Mu właśnie przez swoją całopalną ofiarę – gdyby to było możliwe – miłość podwójną: za siebie i za tych, którzy Go nie kochają; pocieszyć Jego Boskie Serce, zasmucone niebezpieczeństwem potępienia niezliczonej liczby dusz, ściągając na nie przez swoją ofiarę i swoje cierpienie ekspiacyjne łaskę nawrócenia. To właśnie spełnienie najgorętszych pragnień i pocieszenie w ten sposób Boskiego Serca Jezusowego jest głównym celem ich oddania się na ofiarę.

Inne dusze, oddane całkowicie idei apostołskiej, za bezpośredni cel swojej ofiary stawiają sobie przede wszystkim ratowanie dusz, szczególnie zaś – być może – pewnej ich kategorii, np. powierzonych sobie przez Kościół święty, i ten to cel konkretny najbardziej przekonywająco będzie na nie działał.

Prawdopodobnie w miarę pogłębiania się w duszy życia wewnętrznego i wzrostu miłości dla Boskiego Mistrza, motywy te zaczną układać się same, według ich hierarchii obiektywnej, tzn. na pierwszy plan, być może, zaczną wysuwać się raczej owe dwa inne, wspomniane wyżej.

W rzeczywistości życie wynagrodzenia, tak chrystocentryczne, jak i teocentryczne, ma dwa aspekty, związane z sobą nieodłącznie jak skutek i przyczyna: pierwszy – to naprawienie w łączności z Chrystusem „krzywdy” wyrządzonej Bogu przez grzechy, które polega na przywróceniu Mu tej chwały, jakiej Go one pozbawiają; drugi – to ściąganie przez to na dusze łaski pokuty i zbawienia.

Swą wielką skuteczność wynagradzającą ofiara ta czerpie tak z motywu, który ją determinował, jak i ze swej istotnej treści.

Motywym skłaniającym duszę do oddania siebie Najświętszemu Sercu Jezusowemu w całkowitej ofierze, jest, jak to powiedzieliśmy, jej miłość dla Boskiego Mistrza i Jego spraw.

Przed wszystkim jednak swą skuteczność wynagradzającą jej ofiara całopalna zawdzięcza swej własnej istotnej treści. Jest zaś nią heroiczna miłość, objawiająca się właśnie przez owo całko-

wite, heroiczne poddanie się woli Bożej i przez wierne jej pełnienie. To zaś heroiczne POSŁUSZEŃSTWO woli Bożej i MIŁOŚĆ heroiczna, kryjąca się za owym posłuszeństwem – istotne składniki jej ofiary całopalnej – są postawą najdoskonalszą, na jaką człowieka stać wobec Boga-Stwórcy, Boga-Miłości, Boga-Dobra Najwyższego. Równocześnie zaś są one postawą biegunowo przeciwną grzechowi, który z natury swojej jest odmówieniem Bogu należnego Mu posłuszeństwa i miłości.

Tak pojęta całopalna ofiara idzie jak najbardziej po linii życia chrześcijańskiego, szczególnie zaś kapłańskiego. Życie ofiary – mówi o. Dorresteyn – nie jest czymś ezoterycznym przeznaczonym dla niewielu i różnym całkowicie od życia ogółu wiernych. Nie różni się ono od zwykłego życia chrześcijańskiego w swojej istocie, lecz tylko co do stopnia: nie jest ono niczym innym, jak życiem chrześcijańskim, doprowadzonym do pełnego rozwoju.

Jeżeli zaś chodzi o nas, związanych z Chrystusem, w następstwie naszych święceń kapłańskich, ściślej jeszcze niż ogół chrześcijan, to ofiara taka dla zbawienia dusz i chwały Bożej nie tylko nie jest czymś nadzwyczajnym, lecz to dopiero ona czyni z nas prawdziwe żertwy, stosownie do owego wielkiego prawa obowiązującego

w Nowym Testamencie, że kapłan równocześnie musi być żertwą.

To swoje oddanie się Najświętszemu Sercu Jezusowemu na ofiarę całopalną niektóre dusze przypieczętują ślubem.

Z tego, co dotąd w tej materii zostało powiedziane wynika, że przedmiotem tego ślubu jest możliwie najdoskonalsze ustosunkowanie się do woli Bożej, polegające na pełnym miłości poddaniu się jej, nawet w rzeczach dla naszej natury tak trudnych, jak krzyże i utrapienia, które Opatrzność Boża w swej nieskończonej mądrości na nas zsyła lub dopuszcza – oraz na pełnieniu woli Bożej aż do najmniejszych jej upodobań i pragnień.

Przez złożenie tego ślubu dusza zobowiązuje się zatem do tego, że nie będzie narzekać na krzyże i cierpienia, i na nic, co z ręki Bożej lub dopuszczenia Bożego przyjść może, tak na skutek zwyczajnych dyspozycji Opatrzności, jak też, być może, w następstwie jej oddania się na ofiarę. Podejmuje się ona we wszystkim pełnić wolę Bożą chwila za chwilą, w szczegółach życia, tak jak jest jej ona objawiona przez obowiązek chwili obecnej – i to nie tylko w tym, co nakazane, lecz swoje umiłowanie tej woli posunie aż do pełnienia nawet tego, co nie będąc nakazane, jest jednak Bogu miłsze, a więc tego, co doskonalsze.

Praktycznie, w codziennej konkretnej

czywistości, ślub ten zobowiązuje więc do obejmowania i pełnienia chwila za chwilą woli Bożej – aż do upodobań Bożych – niezależnie od tego, czy tym obowiązkiem jest cierpienie, czy też czyn.

Nie można zaprzeczyć, że dla niektórych dusz, zobowiązanie czynienia tego, co doskonalsze, może stać się przyczyną trudności, gdy idzie o określenie w szczegółach codziennego życia tego, co jest doskonalsze i miłsze Bogu.

Równocześnie jednak nie można też zaprzeczyć, że jest sporo dusz zrównoważonych, oświeconych w drogach Bożych, pokornych i żarliwych, które zazwyczaj trudności tych nie odczuwają. Wiedzione instynktem nadprzyrodzonym (dar rady) odgadują one bez trudności, najmniejsze nawet, pragnienia Boże.

Istnieją zresztą wytyczne – można je znaleźć w każdym podręczniku teologii ascetycznej – przy pomocy których można bez większych trudności ustalić, czego w szczegółach życia Bóg pragnie od duszy w materii nadobowiązkowej.

Należy jednak pamiętać, że dla niektórych dusz ślub ten może stać się z czasem źródłem udręki i niekończących się niepokojów sumienia; dla innych mógłby on być przyczyną egzaltacji, niekiedy idącej w parze z zaniedby-

waniem istotnych obowiązków; dla innych jeszcze, skłonnych do oziębłości, ślub ten mógłby stać się jedną więcej w życiu okazją do zaniedbywania wziętych na siebie zobowiązań. Trzeba też pamiętać, że w okresach zmęczenia i depresji już sama myśl o ciąży – pod grzechem – na duszy zobowiązaniu, działa niekiedy na nią paraliżująco i odbiera tę resztę sił, która jej jeszcze pozostała. A ponieważ chodzi przy tym o ślub najtrudniejszy ze wszystkich, kierownik duszy będzie roztropny i nie pozwoli na jego złożenie, jak tylko wyjątkowo, dopiero po dłuższym okresie próby i to duszy już dojrzewającej.

A oto kilka wytycznych, których dusza powinna się trzymać, gdyby łaska Boża skłaniała ją do złożenia tego ślubu.

Przed wszystkim należy dokładnie ustalić, najlepiej na piśmie, zakres branych na siebie zobowiązań, tak by później nie było co do tego żadnych wątpliwości. By zaś nawał pracy i trosk życia codziennego, a może i nadszarpnięte zdrowie, nie przesłoniły sobą wziętych na siebie zobowiązań, dobrze będzie do notatki tej zaglądać często.

Przed związaniem się ślubem należy uprzednio przez dłuższy okres czasu bez ślubu prowadzić ten tryb życia, do którego ktoś chce zobowiązać się pod grzechem.

Nie należy też wiązać się inaczej, jak tylko pod grzechem lekkim, a jeżeli pod ciężkim, to tylko czasowo.

Wreszcie wskazanym będzie dodać do ślubu klauzulę, że kierownik duszy lub spowiednik będzie miał władzę uwolnić od niego w przypadku, gdyby ślub ten zaczynał stawać się dla duszy okazją do skrupułów i wewnętrznej udręki.

Wszystko czynić należy w porozumieniu z kierownikiem duszy.

W materii tak trudniej można, zdaje się, bez obawy zbłądzenia twierdzić, że ślub żertwy będzie zawsze tylko wyjątkiem i to wyjątkiem raczej rzadkim, nawet wśród dusz Bogu poświęconych. Nawet najofiarniejsze z nich prowadzić będą tryb życia żertwy, nie wiążąc się jednak ślubem.

Nasze wynagrodzenie swoją skuteczność czerpie tylko z wynagrodzenia Chrystusowego

Jedynym wynagrodzicielem za nasze grzechy jest Chrystus i nasze wynagrodzenie, tak skierowane do Jego Ojca, jak i odnoszące się do Jego Boskiego Serca, całą swoją wartość wynagradzającą czerpie wyłącznie z Jego wynagro-

dzenia. Uczynki nasze dopiero wtedy mogą stać się wynagradzającymi, gdy są spełniane w ścisłym z Nim zjednoczeniu: *per Ipsum, cum Ipso, et in Ipso* – przez Niego, z Nim i w Nim – to znaczy wtedy, gdy pod pewnym względem, w znaczeniu niżej podanym, Jemu, jednemu Wynagrodzicielowi, niejako mogą być przypisane.

To zaś możliwe jest tylko pod jednym warunkiem: gdy między Chrystusem a nami istnieje aktualnie wspólnota życia, zwana łaską uświęcającą. Tylko bowiem w następstwie tej wspólnoty życia nasze uczynki wynagradzające są przypisywane w pewnym znaczeniu Chrystusowi. Dzięki bowiem łasce uświęcającej jesteśmy niejako jedno z Chrystusem, gdyż wtedy żyjemy tym samym życiem, co On. Z Niego to spływa ono na nas i krąży w nas, Jego członkach. Dzięki temu, czyli dzięki tej wspólnotcie życia, to co On czyni jest niejako naszym – i odwrotnie, to co my czynimy, jest pod pewnym względem jakby przez Niego uczynione. Stąd Jego wynagrodzenia stają się „naszymi”, tak że możemy nimi dysponować i ofiarować je jako nasze, czy to Jego Ojcu, czy Jego Boskiemu Sercu. I odwrotnie, dzięki tej wspólnotcie życia nasze wynagrodzenia są w pewnym znaczeniu Jego własnym dziełem,

wynagrodzeniem dokonywanym przez Niego w nas, Jego członkach.

W praktyce życia wynagradzającego nie można przeto zapominać, że nasze codzienne wynagrodzenia całą swoją wartość otrzymują tylko stąd, że dzięki, właśnie owej wspólności życia między Chrystusem a nami, są one dziełem, w pewnym znaczeniu, samego Chrystusa, bo stanowią owoc Jego życia w nas. Podstawowym, elementarnym warunkiem wynagrodzenia jest przeto stan łaski uświęcającej. Bez niej nie ma wynagrodzenia.

Wprowadzić w życie

W jaki sposób dochodzimy do utworzenia syntezy naszego życia wewnętrznego w ramach nabożeństwa do Najśw. Serca Jezusowego?

Życie wewnętrzne skierowane ku Najświętszemu Sercu Jezusowemu, można sprowadzić do następujących zasadniczych linii:

Wiara w miłość indywidualną, bezgraniczną Chrystusa dla mnie, tak głęboka, by można było mówić o urzeczaniu własnej duszy tą prawdą.

Ufność, będąca w proporcji do owej wiary i z niej zrodzona, a polegająca w praktyce na dwu rzeczach:

- na głębokim przekonaniu, że osiągniemy cel naszego istnienia w sposób najpełniejszy, czyli że świętość pomimo wszystko będzie naszym udziałem,

- i na zdaniu się zupełnym na Najświętsze Serce Jezusa, jeśli chodzi o dobór środków potrzebnych, by świętość tę osiągnąć – zarówno gdy idzie o główne linie naszego życia, jak i o wyznaczanie nam obowiązku chwili obecnej.

Miłość dla Chrystusa totalna, wyczerpująca całą naszą zdolność miłowania.

Wypływające z tej miłości **oddanie się** Jego Boskiemu Sercu (ofiara), polegające na całkowitym oddaniu Mu własnej woli, tj. na pełnieniu we wszystkim Jego woli, aż do najmniejszych Jego pragnień.

Miłość dla Ojca ze względu na to, że Chrystus miłuje Go nieskończenie.

Miłość dla każdego człowieka z tego samego również powodu.

Współczucie w cierpieniach Jego męki, szczególnie jednak w cierpieniach Jego Boskiego Serca spowodowanych niewdzięcznością ludzi, zniewagą Ojca i zgubą wieczną dusz, ze szczególnym uwzględnieniem cierpień z powodu niewdzięczności ludzi oraz nie szanowania i znieważania Sakramentu miłości.

Wynagrodzenie zrodzone z owego współczucia w potrójnych cierpieniach Boskiego Serca Jezusa.

Ostatnie pięć rysów, tzn. oddanie się, miłość Ojca, miłość bliźniego, współczucie i wynagrodzenie – to *opera caritatis*, czyli przejawy naszej miłości dla Chrystusa, jej konieczne następstwa.

Dusza, która przeżywa głęboko te główne linie nabożeństwa do Najświętszego Serca Jezusowego winna w pewnym momencie

swego rozwoju, zadać sobie pytanie, czy nie mogłaby przypadkiem wyrazić ich wszystkich w każdym spełnianym uczynku.

Pod naporem więc intensywnego życia wewnętrznego, czyli owych idei i wartości, dusza nie może w pewnej chwili nie zapragnąć, by każdy jej uczynek stał się stwierdzeniem i objawieniem tego, co ona tak bardzo odczuwa. Równocześnie był on wyrazem: i jej wiary w miłość, i jej ufności, i jej miłości oraz wynagrodzeniem dla Boskiego Mistrza, wynagrodzeniem dla Jego Ojca i zbawieniem dla dusz. Nic więc dziwnego, że dusza zaczyna odczuwać potrzebę syntezy, czyli pragnie znaleźć akt, który wszystkie zawierałby w sobie i streszczał owe przez nią przeżywane wartości. Utworzenie tak pojętej syntezy jest możliwe. Uzależnione zaś jest przede wszystkim od tego, czy potrafimy sprowadzić do jakiegoś wspólnego mianownika owe pozornie najrozmaitsze zajęcia i czynności, które wypełniają nasz dzień i nasze życie.

Oto jak do tego dochodzimy:

Jedyną rzeczywistością naszego istnienia jest chwila obecna. Nie jest nią przeszłość, gdyż ta przeminęła już bezpowrotnie. Nie jest nią przyszłość, gdyż ta jeszcze nie nadeszła. To, czym zatem jedynie dysponujemy, jest chwila

obecna. Każda zaś chwila obecna niesie z sobą jakiś obowiązek do spełnienia (czyn, cierpienie), czyli wolę Bożą (lub „pragnienie” Boże) ukrytą pod postacią owego obowiązku.

Dzięki tym dwóm pojęciom, tj. chwili obecnej i obowiązkowi, który ona z sobą niesie, życie nasze, chociaż wypełnione pozornie najrozmaitszymi czynnościami może być uproszczone, a wszystko, co czynimy, może być sprowadzone do jednego wspólnego mianownika – do pełnienia, chwila za chwilą, woli Bożej, objawionej nam przez obowiązek chwili obecnej.

Skoro już mamy ów wspólny mianownik wszystkich naszych zajęć, uczynmy resztę – tchnijmy w niego, jakby w jakąś *materia prima* – element pierwotny, ową formę, na której tak nam zależy.

Forma ta jednak, jak wiemy, jest bardzo złożona, gdyż przez owo spełnienie woli Bożej pragniemy okazać i wyrazić Chrystusowi i naszą wiarę w Jego miłość, i naszą ufność, i naszą miłość, a równocześnie chcemy dać wynagrodzenie i Jemu i Jego Ojcu i przez to ratować dusze. Pragniemy zatem, aby ów akt spełnienia woli Bożej był zarazem i aktem wiary, i aktem ufności, i aktem miłości, i aktem wynagrodzenia.

W związku z tym nasuwa się nam jednak pewna wątpliwość, a mianowicie, czy owa *materia prima* jest naprawdę podatna na przyjęcie każdej z tych wymienionych „form”, na których tak nam zależy. Rodzi się pytanie, czy każdorazowe objęcie przez nas i spełnienie woli Bożej, może być naprawdę równoznaczne z aktem wiary, ufności, miłości i wynagrodzenia.

Każdorazowe wypełnienie woli Bożej, zjawiającej się pod postacią obowiązku chwili obecnej, rzeczywiście jest równoznaczne z aktem wiary i ufności, jeżeli tylko ową wolę wypełniam z tym przekonaniem i dlatego, że to, co mój Boski Mistrz w tej chwili mi każe, to najżyczliwsza miłość wymyśliła dla mojego dobra, tak, że nawet moja matka nic lepszego nie mogłaby dla mnie zapragnąć.

Przyjęcie woli Bożej może być także aktem miłości, jeżeli spełniam ją już nie ze względu na siebie samego, jak w pierwszym wypadku, lecz ze względu na Niego, dlatego, że stanowią Jego wolę i że wiem, iż miłość objawia się przez oddanie Mu swojej woli.

Każdorazowe wypełnienie woli Bożej może być także aktem wynagrodzenia – z jego po-

trójnym aspektem: Najświętsze Serca Jezusa, Ojciec, dusze – jeżeli ja tę Jego wolę spełniam dlatego właśnie, by dać Chrystusowi (Ojcu) moją ofiarną miłość za tych, którzy Go nie miłują.

Tak więc owa *materia prima*, czyli akt spełnienia woli Bożej, tj. obowiązku chwili obecnej, naprawdę jest zdolna do przyjęcia każdej z owych wymienionych form, na których nam zależy.

Nasuwa się jeszcze jedna wątpliwość, spowodowana tym, że te różne formy chcielibyśmy wszystkie tchnąć równocześnie w każdorazowe pełnienie przez nas woli Bożej, by okazać Boskiemu Mistrzowi i naszą wiarę w Jego miłość, i naszą ufność, i naszą miłość, i jednocześnie dać Mu wynagrodzenie. Rodzi się tylko pytanie, czy owa cała tak różnorodna treść, którą chcielibyśmy włożyć w akt spełnienia woli Bożej, pogodzi się między sobą, czy te „formy”, które chcielibyśmy tchnąć w naszą *materia prima*, wzajemnie się nie wykluczają.

Zagadnienie to sprowadza się właściwie tylko do jednego: czy pamięć i wzgląd na własne dobro nadprzyrodzone, a to właśnie zawiera w sobie akt ufności, da się pogodzić w jednym i tym samym akcie z miłością doskonałą i czystą, gdyż o takiej właśnie miłości

marzymy i chcielibyśmy, aby i ona weszła w nasz akt-syntezę.

Nie, nie obawiamy się. Miłość bowiem, taka jak ją pojmuje teologia katolicka, i nadzieja wzajemnie się nie wykluczają. Nie obawiamy się przeto w działaniu tej myśli, że spełnienie woli Bożej, nie jest dla nas najlepsze. Co więcej, pozytywne, stałe, i zupełne wykluczenie tego ostatniego motywu z naszego pełnienia woli Bożej, byłoby nie do pogodzenia ze zdrową nauką katolicką, tchnęłoby zarozumiałością kwietystyczną, byłoby niezrozumieniem natury ludzkiej i celu człowieka oraz niezrozumieniem woli Bożej, która przecież pragnie naszego szczęścia, a więc także chce, abyśmy i my również go pragnęli i do niego świadomie dążyli.

Zostawiwszy na chwilę na boku wszelkie „kategorie”, o zdanie w tej sprawie zapytajmy zdrowy rozsądek: czy mogę przypuszczać, że miłe dla Chrystusa byłoby to, gdybym nigdy nie pomyślał o tym, że to, co On mi nakazuje, co Jego miłość dla mnie wymyśliła: ten obowiązek chwili obecnej, jest dla mnie najlepszym i najbardziej celowym? Obowiązek ten, w tych warunkach, to przecież niejako akt miłości dla mnie, pocałunek Miłości. Czy zatem mógłbym o tym nie myśleć,

czy może nawet starałbym się o tym zapomnieć, by przypadkiem świadomość ta nie umniejszała czystej intencji mojego działania?

Skoro Boskie Serce Jezusa chce naszego dobra, o nim myśli i ku niemu każdy krok naszego życia kieruje, jakże moglibyśmy zapominać o tym, że każdy z tych kroków wymyśliła Jego najzyczliwsza miłość? Jak moglibyśmy wykluczać ten motyw, który jest przecież także motywem Najświętszego Serca Jezusowego? Czyż zjednoczenie mojej woli z Jego wolą nie wymaga, abym i ja świadomie do tego zdążał?

Pomimo więc wszystko owe „formy”, które chcielibyśmy tchnąć w każdy akt pełnienia woli Bożej, nie wykluczają się wzajemnie i dadzą się z sobą pogodzić. A tak akt-synteza, streszczający w sobie wszystko, co chcielibyśmy Chrystusowi powtarzać i co pragnęlibyśmy dla Jego sprawy czynić, jest jednak możliwy.

Dzięki temu, za pomocą tego jednego aktu, aktu spełnienia woli Bożej, czyli obowiązku chwili obecnej, możemy wyrazić Boskiemu Mistrzowi równocześnie i naraz wszystko, co nam duszę wypełnia: i to, jak bardzo wierzymy w Jego miłość dla nas, i to jak bardzo Mu ufamy, i to że Go miłujemy, a równocześnie tym samym aktem możemy uczynić dla Niego i dla Jego spraw

wszystko, co jesteśmy w stanie uczynić. A to za pomocą tego jednego aktu, zawierającego w sobie główne linie naszego życia wewnętrznego.

Synteza ta upraszcza bardzo nasze życie wewnętrzne. Od chwili bowiem jej utworzenia sprowadza się ono do pełnienia godzina za godziną obowiązku chwili obecnej i całe na tym się koncentruje. Owo zaś wypełnienie obowiązku chwili obecnej – czy tym obowiązkiem jest rekreacja przez Regułę przypisana, czy posługa w konfesjonale, na ambonie, czy praca w klasie, czy napisanie listu, czy podróż, czy jakieś cierpienie, czy cokolwiek innego – jest dzięki owej syntezie równocześnie aktem wiary, i aktem ufności, i aktem miłości, i pocieszeniem Boskiego Mistrza, i wynagrodzeniem dla Jego Ojca, i ratunkiem dla dusz.

Synteza w praktyce

Ów akt-synteza jest również łatwy w praktyce dla duszy o życiu wewnętrznym, choćby tylko nieco pogłębionym. Ostatecznie każdy bowiem dzień naszego życia, niezależnie od tego jakie stanowisko zajmujemy, to nic innego jak seria obowiązków chwili obecnej. Jedne z tych

obowiązków to wyraźna, nakazana wola Boża; inne, to „pragnienia” Boże. Każdy z tych obowiązków chwili obecnej to albo czyn, albo cierpienie. Chodzi więc tylko o to, by w każde takie wykonanie woli Bożej, czy „pragnienia” Bożego, tchnąć wszystkie owe formy, o których wyżej mówiliśmy.

Otóż z chwilą, gdy raz te rzeczy przeżyjemy, szczególnie zaś jeżeli urzeczeni jesteśmy tymi prawdami i żyjemy nimi już od wielu lat, jednym prostym „spojrzeniem” naszego serca bez wysiłku potrafimy wyrazić Najświętszemu Sercu Jezusowemu, z okazji wykonywania obowiązku za obowiązkiem, całą ową pozornie tak skomplikowaną treść. Akty takie w tych warunkach rodzą się w duszy zupełnie naturalnie, tak jak drzewo naturalnie rodzi owoce swojego gatunku.

Nikt od nas nie wymaga, abyśmy aktualnie, tzn. za każdym aktem pełnienia woli Bożej wkładali całą ową treść w nasze działanie. Byłoby to fizycznie lub moralnie niemożliwe. Wystarczy, byśmy czynili to z okazji najważniejszych naszych czynności, z tym że codziennie, np. z okazji wstawania, podczas rozmyślania, pod koniec południowego rachunku sumienia, będziemy odnawiać ogólną intencję pełnienia woli Bożej w duchu wiary, ufności, miłości i w duchu wynagrodzenia.

W ten sposób każdy akt naszej działalności stanie się oświadczeniem Najświętszemu Sercu Jezusowemu, i to oświadczeniem dokonany czynem, że wierzymy w Jego miłość, że Mu ufamy, że Go miłujemy, będzie ono dla Niego pocieszeniem, wynagrodzeniem dla Jego Ojca i ratunkiem dla dusz. Jedne z naszych czynów tę swoją treść wewnętrzną będą zawdzięczać intencji aktualnej, inne intencji wirtualnej – wszystkie jednak będą zawierać w sobie równocześnie to, co nasze biedne serce chciałoby wciąż powtarzać Boskiemu Mistrzowi i co chciałoby dla Niego czynić.

Ideałem, ku któremu będziemy się zbliżać w miarę rozwoju, a raczej uproszczeniem naszego życia wewnętrznego, będzie intencja aktualna, która na pewnym etapie rozwoju, jeżeli Boskie Serce Jezusa tego zechce, przemieni się w stan kontemplacyjnego, ustawicznego zjednoczenia z Najświętszym Sercem Jezusa, czyli w pełnię życia, wiary w miłość, ufność i zdanie się miłości i wynagrodzenia.

Eucharystia ośrodkiem naszego życia wewnętrznego

Życie wewnętrzne, tak pojęte, z natury swojej całe zdąża ku Eucharystii i dokoła niej grawituje.

I tak, jeżeli chodzi o pierwszy jego rys

zasadniczy, o wiarę w miłość, gdy chcę sformułować ów akt wiary, myśl moja natychmiast, mimo woli wznosi się ku Eucharystii. Sakrament ten bowiem, zwany Sakramentem miłości, jest jednym z dowodów najbardziej przekonywujących mnie o ogromie miłości Tego, który stał się okruszyną Chleba po to, by za mnie składać się w ofierze, by mi się oddać, by mieszkać w pobliżu mnie.

Eucharystia będąc zaś dowodem tak wielkiej miłości, jest pośrednio fundamentem i motywem mojej ufności. Czy jakaś inna myśl mogłaby bardziej skłonić mnie do zawierzenia Jego miłości niż ta, że Chrystus troszczy się o mnie, iż karmi mnie własnym Ciałem?

Jeżeli myśli się o trzecim zasadniczym rysie naszego życia wewnętrznego, o miłości dla Chrystusa, czyż trzeba przypominać, że każdą tkanką naszego serca prowadzi nas ona do Eucharystii, która utożsamia się z przedmiotem naszej miłości, Boskim Mistrzem i Jego Boskim Sercem? Tam bowiem w tabernakulum, i tylko tam, znajdujemy na ziemi Boga-Człowieka, naszego Mistrza, Jego Boskie Serce.

Także i czwarty rys życia wewnętrznego – wynagrodzenie, prowadzi nas do Eucharystii. Jest Ona bowiem równocześnie i przedmiotem naszego wynagrodzenia, a jako Msza św. jest

także i jego środkiem i punktem kulminacyjnym.

Eucharystia jest przede wszystkim przedmiotem naszego wynagrodzenia.

Jak to już było wyżej zaznaczone, grzechy skierowane przeciw Sakramentowi miłości należą do tych, które Boskie Serce Jezusa odczuwa najboleśniej, tym więcej, że najczęściej są one popełniane przez tych, spośród tysięcy wyróżnionych, wybranych, obsypanych bezmiarem łask, obdarzonych godnością i posłannictwem nadziemskim.

Przeliczne codzienne świętokradztwa, zapomnienie i opuszczenie w tabernakulum, zbywanie świętych obrzędów liturgicznych, nonszalanckie zachowanie się w obecności Najświętszego Sakramentu, brak dbałości o kościoły i ołtarze, jak i o szaty liturgiczne, i wiele innych tym podobnych przewinień, świadczących już nie tylko o braku miłości, lecz nawet o braku wiary – oto, co Chrystus otrzymuje od nas osobiście, i to w sakramencie, który jest jednym z największych dowodów Jego miłości dla nas, a otrzymuje od tych, których tak umiłował, iż uczynił ich Swoimi *alter ego* – drugim „ja”.

Dlatego to dusze, dla których Chrystus

jest w życiu wszystkim, swój wysiłek wynagradzający zwracają przede wszystkim ku Eucharystii. Ich odnoszenie się do Najświętszego Sakramentu jest nacechowane żywą wiarą w obecność Boskiego Mistrza, troską o piękno i bogactwo szat liturgicznych i ołtarzy, o piękno śpiewu i obrzędów liturgicznych, o schludność kościoła czy kaplicy. Codzienna adoracja wynagradzająca, choćby krótka, bywa jedną z najmilszych dla nich chwil.

Nade wszystko jednak Eucharystia jako Msza święta jest dla nas – w znaczeniu niżej podanym – środkiem i punktem kulminacyjnym naszego wynagrodzenia.

Całe życie Chrystusa było wynagrodzeniem, gdyż całe sprowadzało się do miłosnego pełnienia woli Jego Ojca. Toteż wynagrodzeniem były i Jego zabawy dziecięce w Nazarecie i wszystko, czym wypełnione było Jego życie ukryte i publiczne. Punktem jednak szczytowym wynagrodzenia Chrystusowego jest Jego Ofiara krzyżowa. Tu bowiem Jego miłość dla Ojca, umiłowanie Jego woli, oddanie się dla Jego sprawy, wzniosły się na najwyższy szczyt. Dlatego też, gdy tylko zaczynamy mówić o wynagrodzeniu Chrystusa, myśl nasza, nie zatrzymując się na innych tajemnicach Jego życia – chociaż i one wszystkie są wynagradzające – mimo woli wznosi się na

górze Kalwaryjską, do Jego Ofiary krzyżowej, gdyż przedstawia się nam ona jako punkt kulminacyjny Jego życia wynagradzającego, streszczenie i synteza wszystkiego, co w Swoim życiu uczynił.

Otóż każda Msza św. jest uobecnieniem tej Ofiary krzyżowej, będącej streszczeniem wszystkiego, co Chrystus uczynił dla wynagrodzenia za nasze grzechy. W niej Chrystus ofiarowuje Swojemu Ojcu wszystkie wynagrodzenia, tak Swojego życia, jak Swojej męki i śmierci.

Równocześnie wraz ze Swoimi wynagrodzeniami składa Mu w ofierze także i wynagrodzenia członków Swojego Ciała mistycznego, które, dzięki wspólności życia między Głową a członkami, są jakby wynagrodzeniami samego Chrystusa, ponieważ są owocem Jego życia w nas. W tym świetle Msza św. to ofiara całego Ciała mistycznego: i Głowy, i członków.

To nie tylko ofiara samego Chrystusa, lecz równocześnie i nasza – w znaczeniu biernym – gdyż wraz z Chrystusem i przez Niego jesteśmy w niej wynagradzającą żertwą ofiarną. Msza św. zatem to ofiara, w której wynagradzającą żertwą ofiarną jest „cały” Chrystus: Głowa i członki.

Jest ona również naszą ofiarą wynagradzającą w znaczeniu czynnym, tj. składaną Ojcu przez

nas. Na mocy bowiem tej samej wspólnoty życia zachodzącej między Chrystusem a nami, Jego wynagrodzenia – podjęte zresztą przez Niego w naszym imieniu i za nas – są w pewnym znaczeniu jakby naszą własnością, także możemy nimi dysponować jako czymś naszym i ofiarować je Ojcu jako nasze wynagrodzenie. Czynimy to właśnie we Mszy św., która w tym znaczeniu nie jest niczym innym, jak składaniem w ofierze Bogu przez nas Chrystusa i Jego wynagrodzeń.

Składając zaś Bogu ofiarę Mszy św., do tej zertwy wynagradzającej, jaką jest Chrystus, dołączamy samych siebie i nasze codzienne wynagrodzenia, jakby tę kroplę wody do wina, a tak dopiero wstępuje ona przed tron Boży i staje się miłą Bogu.

Tak więc ofiara Mszy św. jest punktem szczytowym naszego życia wynagradzającego. W niej bowiem Chrystus składa Ojcu nasze wynagrodzenia wraz ze Swoimi i jako Swoje, a równocześnie my, mając udział w Jego kapłaństwie, składamy Ojcu jako nasze Jego wynagrodzenia, dołączając do nich nasze osobiste.

Eucharystia jest więc nie tylko przedmiotem naszego wynagrodzenia. Jako Msza św. jest Ona także środkiem wynagrodzenia i Jego

punktem kulminacyjnym.

Msza święta

Msza św. jest to uobecnienie Ofiary krzyżowej; to nie coś dodanego do niej lub równoległego; nie jej powtórzenie. To ona sama – Ofiara krzyżowa.

To co się powtarza, to bezkrwawy obrzęd uobecniający, nie ofiara. Ona jest jedna pomimo wielości obrzędów, które ją czynią obecną; podobnie jak jeden jest Chrystus, chociaż postacie sakramentalne, które Go uobecniają są liczne i w wielu miejscach. Msza św. nie mnoży więc liczby ofiar, lecz czyni obecną w czasie i przestrzeni zawsze tę samą, jedyną Ofiarę kalwaryjską. Będąc doskonałą o wartości nieskończonej, nie potrzebuje ona powtórzenia czy uzupełnienia. Z naciskiem udowadnia to list do Hebrajczyków. Toteż Msza św. jej nie powtarza, lecz czyni ją obecną w sposób bezkrwawy, w miarę jak do istnienia przychodzą coraz to inne pokolenia i jednostki ludzkie, z ich grzechami i potrzebami.

Obecność ta jest tak rzeczywista, że gdyby Najświętsza Dziewica i św. Jan, stojąc u stóp krzyża, przymknęli oczy, jak my niekiedy

przymykamy w chwili przeistoczenia, obecność rzeczywista krwawej męki dla nich i dla nas byłaby ta sama. Z tym, że gdy Oni, podnosząc oczy widzieli w jej krwawej postaci zbawczą Ofiarę Chrystusa podówczas podlegającego cierpieniu, my podnosząc je, widzimy tę samą zbawczą Ofiarę pod bezkrwawymi postaciami sakramentalnymi, którą Chrystus, dzisiaj w chwale, nie przestaje stosować do nas.

Teologowie, z mniejszym lub większym powodzeniem, próbują wyjaśnić sposób tej obecności Ofiary krzyżowej pod postacią Mszy świętej. Ich wysiłki poszerzają horyzont naszej pobożności i sprawiają, że nasza wiara staje się *rationabile obsequium* – rozumnym działaniem. Ostatecznie jednak w swych dociekaniach rozum ludzki także i tutaj dochodzi w pewnym momencie do punktu, w którym zaczyna się tajemnica. Dalej pójść się nie da. Trzeba uklęknąć i w pokorze wielbić ogrom miłości Bożej dla nas, rozsadzający ramy otaczającej nas doczesnej rzeczywistości, zawieszający niejako prawa czasu i przestrzeni.

Ofiara krzyżowa jest ofiarą pochwalną, dziękczynną, przebłagalną, błagalną. Oglądana pod tym kątem widzenia streszcza ona w sobie tak całe życie Chrystusa, jak i wszystkie czasy.

Jest ona przede wszystkim streszczeniem życia Chrystusowego, które było całe skierowane ku niej. Chrystus nazywa ją „Swoją Godziną”. Mówi, że dla niej przyszedł, o niej myśli, jej pragnie i ku niej zdąża. Chociaż każdy z Jego czynów z osobna cały był wielbieniem Ojca w naszym imieniu, cały dziękczynieniem za nas, wynagrodzeniem za nasze grzechy, cały prośbą w imieniu ludzkości i każdy z nich miał godność i wartość nieskończoną – to jednak nie należy oddzielać ich od Jego Ofiary krzyżowej. Życie Chrystusa ukryte i publiczne, Jego męka i śmierć, stanowi jedną całość. Jest ono jakby jednym zdaniem, w którym każdy wyraz ma swoją wartość, ale swój sens otrzymuje dopiero od ostatniego. Msza św. przybliżając ku nam Ofiarę krzyżową, tym samym przybliża ku nam i oddaje nam w ręce nieskończoną, poczwórną wartość wszystkich Jego czynów, modlitw i cierpień Jego życia ukrytego, publicznego, Jego męki i śmierci.

Ofiara krzyżowa jest również streszczeniem wszystkich czasów w tym znaczeniu, że Chrystus – przedstawiciel ludzkości – składając ją włączył w nią wszystkie ofiary, które kiedykolwiek w ciągu wieków wznosić się będą ku Bogu ze wszystkich pokoleń ludzkich, w miarę jak jedne po drugich wyłaniać się będą z niebytu. Przez

to włączenie ich w Swoją Bosko-ludzką Ofiarę, Chrystus oczyścił je, uświęcił, nadał im wartość współodkupującą. Jeżeli dzisiaj, przezwyciężając przeszkodę wieków, pod postacią Mszy św. zbliża do nas swą Ofiarę krzyżową, czyni to przede wszystkim w tym celu, byśmy mogli teraz, przyszedłszy do bytu, sami świadomie i aktualnie włączyć w Jego krwawą Ofiarę siebie i nasze życie ze wszystkim, co na nie się składa. Nasze miejsce w niej zostało naznaczone już na Kalwarii.

Na czym dokładnie ten nasz wkład polega? Jeżeli sprowadzimy rzeczy do ich formy najprostszej powiemy, że na miłości mniej lub więcej doskonałej. Wszystkie bowiem nasze modlitwy, czyny i cierpienia znoszone lub podejmowane – a to właśnie włączamy w Mszę św. – są *actus caritatis imperati* – tj. są albo same w sobie aktami miłości, albo aktami nakazanymi i wykonanymi przez miłość, mniej lub więcej bezinteresowną.

Nasz wkład w Ofiarę krzyżową uobecnioną w Mszy św. może być mniejszy lub większy, zależnie od tego, co wnosimy, jak i od stopnia naszego włączenia się w nią.

Nasze włączenie się w Ofiarę Mszy św. dokonuje się przez istniejącą w nas łaskę uświęcającą

i związane z nią wiarę i miłość. Stan łaski sprawia bowiem, że habitualnie jesteśmy włączeni w Chrystusa, a zatem i w Jego Ofiarę krzyżową, nawet wtedy, gdy o tym nie myślimy. Nasz osobisty wkład w nią jest jednak tym większej wartości – i tym więcej łask z niej czerpiemy dla siebie i dla drugih – z im pełniejszą świadomością, większą żarliwością ducha i większym pragnieniem jest on dokonany.

Najdoskonalej i najgłębiej włącza nas w Ofiarę Chrystusa Komunia święta.

Gdy w imieniu Chrystusa i Kościoła kapłan składa Bogu Ofiarę Mszy św., wraz z nim włączają się w nią nie tylko obecni na niej, lecz i cały Kościół św. Przynosi on i łączy z Ofiarą Chrystusa całą tę miłość, jaka w tej chwili ożywia jego dzieci. Wkład ten jest nierówny, zależny od większej lub mniejszej liczby świętych, w danej chwili w Kościele żyjących, od stopnia ich heroizmu, od ogólnego poziomu życia chrześcijańskiego w danym okresie historii. Nigdy nie był on tak duży, jak wtedy, gdy na ziemi przebywała Matka Najświętsza.

Całą tę miłość, wznoszącą się ku Bogu z najodleglejszych zakątków świata przez Mszę świętą, włącza Chrystus w Swoją Ofiarę krzyżową, a więc w nieskończony ocean Swojej własnej

miłości dla Ojca, której wyrazem jest właśnie Jego Ofiara, i składa ją Ojcu w imieniu ludzkości i każdej duszy jako uwielbienie nieskończonej wartości, dziękczynienie, wynagrodzenie i błaganie.

To właśnie od stopnia mojej żarliwości apostoelskiej zależy, czy z tego zakątka świata, który Chrystus mej pieczy powierzył, w tym momencie historii wznosi się ku Jego Ofierze krzyżowej mniej lub więcej miłości serc ludzkich.

Chrystus czyni obecną na naszych ołtarzach Świętą Ofiarę krzyżową także i w tym celu, by przez tę obecność – w miarę jak pokolenia i jednostki przychodzą do istnienia – rozdawać ludzkości dobra, które dla niej tą Ofiarą wysłużył. Łaski te Msza św. zlewa na wszystkich, za których Chrystus umarł, przede wszystkim na Kościół, kapłana, tych, za których się odprawia, na obecnych, i wreszcie na całą ludzkość, by ją doprowadzić do Boga. Ponieważ wartość Mszy św. jest ta sama, co Ofiary krzyżowej, a więc nieskończona, zawiera ona w sobie łaski wystarczające do zrealizowania w najwyższym stopniu w ludzkości i w poszczególnych jednostkach wszystkich owych dóbr, o które Chrystus kazał nam prosić w modlitwie, jakiej nas nauczył. W rzeczywistości jednak, łaski spływające z poszcze-

gólnych Mszy św. na kapłana, Kościół święty i ludzkość są ograniczone. Teologowie naszych czasów zaprzeczają, jakoby przyczyną tego ograniczenia było postanowienie Chrystusa. Nie można bowiem tego postanowienia udowodnić. Co więcej, byłoby nam trudno pogodzić je z nieskończonym pragnieniem chwały Jego Ojca i Jego bezgraniczną życzliwością dla nas. Przyczyna tego ograniczenia jest inna. Jest nią ograniczoność naszych dyspozycji: wiary, ufności, miłości, pragnień. Jakże więc dużo od nas samych zależy!

Kościół święty nigdy nie czerpał tylu łask ze Mszy św. jak wtedy, gdy na ziemi przebywała Matka Najświętsza. Tym częściowo tłumaczy się szybki rozrost chrześcijaństwa w czasach apostołskich.

Tak więc miarą łask, jakie każdy z nas czerpie dla siebie i innych z nieskończonego oceanu zasług Ofiary krzyżowej, uobecnionej we Mszy św., jest poziom jego życia wewnętrznego, czyli stopień jego miłości habitualnej, jego aktualnej pobożności, wielkość i żarliwość jego pragnień. Pełnią miary jest najwyższa świętość.

Dla ścisłości należy dodać, że jeżeli w Ofiarę Chrystusa włączamy się także przez Komunię św., miarą łask, jakie z niej wtedy otrzymuje-

my dla siebie, nie jest już sam tylko stopień naszej wiary i miłości. W tym bowiem wypadku Eucharystia działa w nas nie tylko na sposób ofiary wypraszającej nam łaski, lecz także na sposób sakramentu. Otóż sakramenty święte udzielają nam łaski *ex opere operato*, tj. bez względu na nasze usposobienie, chociaż w proporcji do niego, tak że kto je przyjmuje z usposobieniem wyrażonym cyfrą dwa lub trzy – mówiąc obrazowo – otrzymuje cztery lub sześć.

Jeżeli więc cudem Swej wszechmocy Chrystus staje przed nami ze Swoją Ofiarą krzyżową, czyni to w tym celu, byśmy mogli dołączyć do niej nasze własne życie i wszystko, czym ono jest wypełnione, oraz by zlać na nas dobra, które nam przez nią wysłużył. Jest On jedynym pośrednikiem między Bogiem a ludzkością i pośrednictwo Jego dokonuje się przez Ofiarę krzyżową. Przez nią daje On ludzkość Bogu, włączając ją w Swoją Ofiarę. Przez nią równocześnie daje ludzkości Boga, sprowadzając na nią łaski, mające ją przebóstwić. Wszystko zatem przechodzi przez ramiona krzyża – zarówno to, co od nas idzie w górę do Boga, jak to, co od Boga przychodzi do nas. Innej drogi nie ma.

Jeżeli tylko od nas to zależy, tak ułożmy nasze zajęcia poranne, choćby kosztem nieco

wcześniejszego wstawania, by codzienne rozmyślanie móc odprawić zazwyczaj przed Mszą św. Od czasu do czasu poświęćmy je całe lub jego część na to, by z całą żarliwością ducha, na jaką nas stać, aktualnie włączyć w naszą Mszę św. siebie samych i nasze zajęcia bieżącego dnia. Wyliczmy je szczegółowo. Nie zapomnijmy o żadnym naszym kroku, słowie, uderzeniu serca. Włączmy w Ofiarę krzyżową Chrystusa, która przy naszym współudziale za chwilę na ołtarzu będzie uobecniona, także i resztę naszego życia; nawet istnienie atomów naszego ciała, gdziekolwiek one będą po naszym stąd odejściu. Wszystko to bowiem stanie się, wraz z Ofiarą Chrystusa, i uwielbieniem, jednym dziękczynieniem, jednym wynagrodzeniem, i ogromnym błaganiem – wszystkim, co chcielibyśmy powiedzieć Ojcu i co dla Niego chcielibyśmy uczynić. A gdy niekiedy nie wiemy, jak wyrazić Ojcu, co w tej chwili duszę nam wypełnia, bo słowa tego nie zmieszczą, zwróćmy się do Ducha Świętego, by Ten, który jest miłością Syna dla Ojca, sam za nas mówił. „Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można wyrazić słowami” (Rz 8, 26).

Nie bójmy się powiedzieć wtedy Panu Bogu,

że z tej Mszy św., którą za chwilę będziemy sprawować, chcielibyśmy zaczerpnąć miarą Matki Najświętszej dla zrealizowania w sobie, w tych, których kochamy, w duszach nam powierzonych, w Kościele i ludzkości tych dóbr, o które Chrystus kazał nam prosić w Swej modlitwie. Nie zapomnijmy o żadnym konającym w tym dniu człowieku, o żadnej duszy w czyśćcu, o żadnej istocie ludzkiej na świecie. Żarliwość i wielkość naszych pragnień podoba się Bogu, gdy stoi za nimi szczerłość życia. Nasze możliwości są ogromne, a ich nie doceniamy, bo zbyt mało wierzymy w nieskończoną życzliwość Bożą dla nas i w miłość, jaką Ojciec ma dla Swojego Syna i w Jego dzieła w duszach.

Skoro pragniemy, by dusza nasza w kontakcie z Ofiarą Chrystusa była czysta, spowiadajmy się często. Te kilka kropli Krwi Chrystusowej, które podczas rozgrzeszenia kapłańskiego spadają z krzyża na naszą duszę, odradzają ją całkowicie i czynią bardziej niewinną od kwiatów stojących na ołtarzu. Posługujmy się często także aktem żalu. Znamy jego moc oczyszczającą. Jeżeli płynie on z miłości bezinteresownej i połączony jest z awersją do najmniejszych niewierności łasce i z pragnieniem najwyższej czystości ze względu na święte tajemnice, które mamy sprawować, aktem tym rzeczywiście

czystość taką osiągamy. Niekiedy całe nasze rozmyślanie poprzedzające Mszę św. skierujemy ku temu, by wyznawać przed Bogiem naszą niegodność i winy, i błagać Go, by nie tylko odpuścił nam grzechy aktualne, lecz także, by głębiej naszej duszy oczyścił z krzywizn moralnych i pozostałości psychologicznych grzechów już odpuszczonych, a tak zmniejszył nasze skłonności do grzechu. Gdy czujemy, że i to nie wystarczy, ofiarujemy jako nasze, usposobienie i uczucia Matki Najświętszej podczas Jej życia, szczególnie na Kalwarii: Jej niewinność, wiarę, miłość, ofiarność. To nasze pragnienie-prośbę, zmieścimy w dwóch słowach: „Niepokalane Serce Maryi, bądź moją nadzieją”. Uczucie niewystarczalności niekiedy każe nam z wielką żarliwością ducha zwracać się o pomoc do Aniołów i Świętych.

Jak istnieje Komunia św. duchowa, tak istnieje również i Msza św. duchowa. Jednym spojrzeniem serca potrafimy włączyć siebie i to, co w danej chwili czynimy, w Ofiarę krzyżową Chrystusa uobecnioną w tym momencie na wielu ołtarzach i możemy dostępną nam miarą, zaczerpnąć z niej łask dla spraw Bożych w świecie.

Po Mszy świętej

Słowa świeckiego pisarza J. Greena zmuszają do zastanowienia: „Ludzie wracając ze Mszy świętej rozmawiają i śmieją się. Są przekonani, że nic nadzwyczajnego nie widzieli... Można by sądzić, że byli świadkami czegoś zupełnie zwyczajnego i naturalnego. Tymczasem rzecz ta choćby jeden raz tylko się rozegrała, starczyłaby, aby przyprawić o ekstazę zachwyty świat namiętny.

Wracają z Golgoty, a rozmawiają o pogodzie.

Tylko dzięki tej obojętności nie dostają pomieszania zmysłów.

Gdyby powiedziano im, że Maryja i św. Jan wracając z Kalwarii rozmawiali o rzeczach błahych, powiedzieliby, że to niemożliwe. A tymczasem właśnie oni tak postępują.

Dopiero co byli przy wykonaniu wyroku śmierci, a za chwilę już o tym nie myślą. Tylko brak wyobraźni jest przyczyną, że nie dostają zawrotu głowy i nie umierają.

Ubóstwo ich serca nie jest ani wielkie, ani małe; jest ono nieskończone. Moce, Trony, Władze są mniej potężne niż ten niedorozwój ich duszy”.

Po króciutkim dziękczynieniu lekka muzyka pierwszej lepszej rozgłośni. I dziwią się, że świat stygnie.

Jeżeli w wieczności będziemy czegoś żałować, to tych bezcennych chwil po Mszy św. nie dosyć wykorzystanych. I tych Mszy św. może licznie odprawianych w naszym kościele czy kaplicy, których przy odrobinie zapobiegliwości, moglibyśmy wysłuchać bez uszczerbku dla naszych obowiązków. Nie jestem do tego obowiązany? – To prawda. Prawdą jest jednak również to, że Msza święta, także i ta nieobowiązkowa, ogromem swej wewnętrznej treści przygważdża nas do miejsca, zmusza do pozostania, jak i to, że w tej właśnie chwili, gdy ona się odprawia, miliony dusz pod każdą szerokością i długością geograficzną potrzebują pomocy. Za całe jedno życie, ileż to łask tą drogą na nie sprowadzonych lub zmarnowanych.

Z natury swojej Msza św. musi zająć miejsce centralne w naszym życiu wewnętrznym. Niestety, każda nieczystość, niezależnie czy jej źródłem jest *concupiscentia oculorum* – pożądliwość oczu, czy *concupiscentia carnis* – pożądliwość ciała, czy *superbia vitae* – pycha żywota, zacieśnia jej miejsce w naszej duszy, zmniejsza jej wymiary, niekiedy pozostawia z niej tylko zewnętrzny obrzęd nacechowany rutyną i pośpiechem. Wzrasta zaś ona – by z czasem stać

się naczelną rzeczywistością naszego dnia, wchłaniającą wszystko inne – tylko w miarę i w takim stopniu, w jakim usiłujemy dostosować się do wielkiego prawa obowiązującego w polu magnetycznym krzyża, w którym z powołania naszego się znajdujemy. Prawem tym jest całkowite oddanie się w ofierze, styl życia Chrystusa ukrzyżowanego.

Każdy dzień życia – choćby cierpiącej starości – jest bezcenny, skoro niesie z sobą Mszę św. Cenniejsze jest tylko pełnienie woli Bożej.

Miejsce Maryi w naszym życiu wewnętrznym

Maryja nie jest tylko dodatkiem, mniej lub więcej fakultatywnym, życia chrześcijańskiego, a jej miejscem w świątyni naszej duszy nie może być kaplica boczna. Jej miejsce jest przy Chrystusie i nie wolno nam Jej od Niego oddzielać.

Niezależnie od naszej woli, rola i miejsce Maryi w naszym życiu wewnętrznym, są zdeterminowane przez ten fakt, że stawszy się przez chrzest św. członkami Chrystusa i żyjąc tym samym życiem co On, stanowimy **jedno** z Nim. Z samej więc natury rzeczy, jeżeli chcemy trzymać się drogi zbawienia wyznaczonej przez Opatrzność, Maryja musi zajmować w naszym życiu to samo miejsce, jakie zajmowała w ży-

Chrystusa, a więc miejsce Matki – Tej, która dała życie, w której cieniu Chrystus wzrastał, matki towarzyszącej Mu w Jego trudach życia publicznego, Tej, która była przy Nim na Jego drodze krzyżowej i w godzinie Jego śmierci.

Trzeba więc, abyśmy przez naszą współpracę, tj. przez wyjście naprzeciw, pozwolili Matce Najświętszej, by mogła także i w naszym życiu spełnić podobną rolę, jaką spełniała w życiu Swego Boskiego Syna – by mogła roztoczyć pełną miłości pieczę nad zachowaniem i wzrostem naszego życia nadprzyrodzonego, wspierać nas w naszych pracach apostołskich, być przy nas na naszej drodze kalwaryjskiej i w ostatnich chwilach ziemskiego życia.

Bez Maryi nasze życie i działalność byłyby skazane na niepowodzenie i bezowocność. Elementarnym bowiem warunkiem powodzenia, w jakiegokolwiek dziedzinie, jest liczenie się z rzeczywistością. Otóż, gdy idzie o Maryję, rzeczywistość jest taka, że bez Niej Jezus nie rodzi się i nie wzrasta w żadnej duszy. Nie liczyć się zatem z tym wielkim prawem świata nadprzyrodzonego, to skazać się nieuchronnie na niepowodzenie. Nie chodzi zaś tu tylko o pewną liczbę pobożnych i ofiarnych praktyk ku czci Matki Najświętszej

– byłoby to za mało – lecz o całą postawę wewnętrzną względem Maryi. Jak życie nasze jest chrystocentryczne, tak trzeba, by było ono także maryjne.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, jakie miejsce w hierarchii dzieł Bożych zajmuje Maryja – że jest Ona arcydziełem Bożym, kimś, kogo Bóg najbardziej zachwycającego uczynił – samo już nasze serce, niezależnie od dopiero co przytoczonych racji teologicznych, domaga się, by wprowadzić Ją do wszystkich stanów naszego życia wewnętrznego. Kim jest Ona dla umysłu i serca ludzkiego, świadczy o tym tak sztuka chrześcijańska, jak i katalog rzeczy o Niej napisanych.

Także i styl czasów, w których żyjemy, niejako zmusza nas, byśmy bardziej niż kiedykolwiek skupili się przy Maryi i trwali przy Niej.

Cechą naszych czasów jest to, że mają one charakter maryjny. Przekonuje nas o tym ogłoszenie za dogmat wiary Jej Niepokalanego Poczęcia i Jej Wniebowzięcia, i mnożące się, jak nigdy w przeszłości, objawienia Matki Najświętszej w różnych punktach świata, jak również ogromna literatura maryjna.

Czyżby to przypadkiem tylko czasy Maryjne tak zbiegły się i splotły z czasami ofensywy piekła? Jeżeli nad wodami tego potopu zła,

który zewsząd świat zalewa „ukazał się znak wielki na niebie: Niewiasta obleczona w słońce, a księżyc pod Jej stopami, a na głowie Jej korona z gwiazd dwunastu” (Ap 12,1) – to jest to dla nas znak, że z postanowienia Bożego właśnie tylko u Niej znajdziemy ocalenie. Poświęcenie przez Najwyższego Pasterza Kościoła św. Niepokalanemu Sercu Maryi także o tym nas przekonuje.

„Przystąpmy więc z ufnością do stolicy łaski, abyśmy otrzymali miłosierdzie” (Hbr 4,18). Będzie nim przede wszystkim życie wewnętrzne na miarę czasów i potrzeb Kościoła świętego.

Najśw. Serce Jezusa pod koniec naszego życia

Gdy w służbie Boskiego Mistrza lato naszego życia będzie się mieć ku końcowi i zacznie przechodzić już w jesień, wśród naszych prac i codziennych kłopotów nie zapomnijmy, że już czas, by w naszym życiu rozpoczął się okres, o który przez tyle lat prosiliśmy w przygotowaniu do Mszy świętej: *spatium verae poenitentiae* – okres prawdziwej pokuty.

Rozumiemy zaś przez to, naprawienie wszelkiego zła, którego w życiu staliśmy się przyczyną i dokończenie naszej pracy wewnętrznej. Trzeba, by ten okres rozpoczął się, zanim siły fizyczne i energia duszy zaczną maleć.

Nie bójmy się postawić sobie w tym okresie najwyższych zadań. Upoważnia nas do tego to, czego w naszym życiu dotychczasowym dowiedzieliśmy się – nie tylko przez wiarę, lecz i przez własne długie doświadczenie – o nieskończonej litości, miłosierdziu i życzliwości Boskiego Serca Jezusowego dla nas i o Jego wszechmocy. O to właśnie chodzi, by teraz z tych radosnych doświadczeń całego życia wyciągnąć wniosek końcowy: bardzo wprowadzić pokorną, lecz równocześnie niezachwianą, pełną pokoju ufność, że nasza wewnętrzna praca pomimo wszystko nie zostanie niedokończona, jak ten dom, którego budowę w połowie przerwała wojna, że wszystko da się jeszcze naprawić.

Przez długie lata w ciszy konfesjonału tyle razy zapewnialiśmy dusze, że Boskie Serce Jezusa to ocean miłości, wszechmocy; że wszystko w życiu może nas zawieść, lecz ufność Weń nie zawiedzie nas nigdy. Głosiliśmy to z ambo-ny, może piórem. Zbierzmy teraz wszystkie te

zapewnienia całego naszego życia – tym razem dla naszego własnego użytku.

Zbierzmy również razem wszystkie nasze *In Te, Cor Jesu, speravi...* – W Tobie, o Serce Jezusa, mą ufność złożyłem... tylu lat, jakby w jakiś jeden ogromny akt ufności, który byłby równy ogromowi tego, czego teraz trzeba nam jeszcze dokonać, by życie nasze oglądane w chwili śmierci nie było podobne do źle odmówionego i niedokończonego Brewiarza. Trzeba nam więc teraz ufności tak wielkiej, by dorównała naszej nędzy i ogromowi zaniedbań całego życia, które pod jego koniec pragniemy naprawić. *Felix culpa* – szczęśliwa wina, jeżeli stanie się ona okazją do tak wielkiego aktu ufności!

Zasadniczą naszą postawą wewnętrzną w tym okresie niech będzie postawa ogromnego, ufego błagania: o śmierć w stanie skruchy i łaski w akcie miłości heroicznej – w tym stanie świętości, do jakiej Bóg nas przeznaczył – po naprawieniu wszystkich strat łaski i zła wyrządzonego w życiu, zarówno gdy chodzi o krzywdy wyrządzone chwale Bożej i duszom, jak i sobie samym. Ta postawa pokornego błagania niech będzie tłem każdej naszej Mszy świętej, naszej modlitwy, umartwienia, pełnienia chwila za chwilą woli Bożej.

Pod wieczór naszego życia spodziewajmy się

więc od Boskiego Serca Jezusowego łaski całkowitego dokończenia budowy gmachu życia nadprzyrodzonego, czyli tej świętości, do jakiej Bóg przeznaczył nas w Swoich planach. Powołanie nasze do kapłaństwa, do zakonu jest dowodem, że chodziło tu o świętość heroiczną. Idzie więc o naprawienie wszystkich nadużytych i zmarnowanych łask, które przez długie dziesiątki lat były nam dawane dla osiągnięcia tej najwyższej świętości; o naprawienie szkód wyrządzonych chwale Bożej przez nasze grzechy, oziębłość, zaniedbania i opuszczenia; o naprawienie krzywd, jakie wyrządziliśmy duszom przez nasz zły przykład, brak żarliwości apostoelskiej, niedbalstwo lub nieumiejętność. Chodzi więc o naprawienie tego wszystkiego w naszej przeszłości, co dzisiaj nas upokarza i boli, i wreszcie o łaskę *perseverantiae finalis* – wytrwania do końca, o śmierć w stanie żalu doskonałego i miłości heroicznej, jak i o to, by w chwili śmierci dusza nasza była w stanie niewinności i świeżości kwiatu dopiero co rozwiniętego.

W ten bowiem sposób staniemy się całkowicie „sobą”, tym czym od wieczności jesteśmy w myśli Bożej. W pełni będzie mogło zrealizować się w nas najwyższe dobro – plany Boże i w ten sposób Krew Chrystusowa wydała

w nas stokrotny plon.

Tego właśnie oczekujemy od Boskiego Serca Jezusowego. Prawdziwą krzywdę wyrządzilibyśmy Boskiemu Mistrzowi, gdybyśmy po tym wszystkim, co On przez długie lata dla nas czynił, zbliżając się ku wieczorowi naszego życia spodziewali się od Niego mniej. Niech nas nie przeraża wielkość i liczba łask zmarnowanych – wszystkie one pochodziły z Boskiego Serca Jezusowego. Byle tylko nie zabrakło nam ufności, a Boski Mistrz nie pozwoli, by to, co Jego miłość zlała na nas, ostatecznie obróciło się na naszą szkodę.

Nie stawiajmy więc granic naszej nadziei. Z naszej znajomości Boskiego Mistrza, przy którego boku – powiedzmy lepiej: Sercu – spędziliśmy może długie dziesiątki lat, teraz wyciągnijmy dla siebie jak najdalej idące wnioski.

W tym okresie końcowym naszego życia współpraca z nieskończoną litością Boskiego Mistrza ma więc polegać na bezgranicznej ufności. To nasza największa siła, jaką dysponujemy wobec Najświętszego Serca Jezusowego, szczególnie jeżeli połączona jest z ofiarnością, na jaką nas stać. Gdy będzie ufność, znajdzie się wszystko inne, co będzie potrzebne do naprawienia naszej przeszłości i dokończenia naszego uświęcenia.

Ideą przewodnią naszego życia była idea wynagrodzenia. I niczego nie trzeba nam tu teraz zmieniać. To nasza droga i nasza łaska. Pod wieczór życia trzeba nam jednak jeszcze więcej niż dotąd, przesunąć ciężar wynagrodzenia w świat naszych własnych grzechów i zaniedbań całego życia.

I tak nasza Godzina święta w Ogródcu niech będzie spotkaniem z całą naszą upokarzającą przeszłością: ze złem, którego się dopuściliśmy, a o którym tak łatwo wkrótce zapominaliśmy; z ogromem dobra opuszczonego, które mogliśmy zdziałać przez większą ofiarność w pracy apostołskiej, w modlitwie i umartwieniu. Te spotkania nie zubożą naszego życia wewnętrznego, jeżeli widok bezmiaru nędzy stanie się odskocznią do pograżania się w bezmiarze miłosierdzia Bożego.

Nasza Droga krzyżowa niech będzie ofiarowaniem zadośćuczynień i cierpień Chrystusa za naszą grzeszną przeszłość i błaganiem o miłosierdzie dla dusz, których życie nadprzyrodzone ucierpiało z powodu naszych grzechów i nieumiejętności.

Podczas adoracji i dziękczynienia po Komunii św. błagajmy Boskie Serce Jezusa – ten ocean miłosierdzia i litości tu obecny, oddany do naszej dyspozycji – o zalanie Sobą, o wy-

pełnienie Sobą otchłani naszej nędzy. *Abyssus abyssum invocat* – bezmiar mojej nędzy przyzywa bezmiar Twojej miłości.

Trzeba, by w tym okresie także i nasze nabożeństwo do Matki Najświętszej przybrało ów rys pokutny błagania o miłosierdzie.

Podczas rozmyślania zwracamy się o pomoc do naszych przyjaciół w niebie: do dusz, w ciągu długich lat przez nas wybawianych z czyśćca; do tych, którym pomogliśmy w drodze do zbawienia, modląc się codziennie za konających; tych, którym z miłosierdzia Bożego pomogliśmy do wzrostu życia nadprzyrodzonego, a ich liczba prawdopodobnie jest bardzo wielka; do naszych współbraci w niebie i członków naszej rodziny. Tu na ziemi nigdy nie potrafimy uświadomić sobie, jak olbrzymi to potencjał serdecznej wdzięczności, potencjał do naszej dyspozycji, wielu może tysięcy dusz, mogących wyprosić u Boga liczne łaski.

W miarę naszych możliwości w tym okresie, wzmożemy naszą pomoc dla dusz w czyśćcu i dla konających, byśmy świadcząc im miłosierdzie sami go od Boga otrzymali.

Widok ogromu naszych grzechów, zaniebań i szkód wyrządzonych duszom oraz tego, co jeszcze pozostaje nam do zrobienia – jednym słowem wzmożone poczucie winy i własnej

niewystarczalności – w tę jesień naszego życia każe nam spojrzeć nowymi oczyma na naszą codzienną Mszę św. Jeżeli dotąd była nam ona wiosną, słońcem i radością, trzeba by teraz stała się przede wszystkim naszą nadzieją.

Mieć codziennie w swoich rękach Chrystusa, tak umiłowanego przez Ojca, z Jego nieskończonej wartości zadośćuczynieniami, z Jego prośbami, którym Ojciec nie potrafi niczego odmówić – móc wszystko to ofiarować Ojcu jako swoje! Codziennie! I powątpiewać? Zniechęcać się?

Boże! Móc w swoim życiu, pod jego koniec, odprawić dobrze chociaż jedną Mszę św., z całą dostępną nam świadomością tego, czym ona jest! W pełnym poczuciu winy. Ze zrozumieniem, kim dla Ojca jest Jego Syn. Z ufnością taką, że w niej zawarte byłyby akty ufności całego życia!

W tym nastawieniu duszy, w nowym świetle, zjawi nam się również i sakrament pokuty. Pomimo, iż zawsze mieliśmy o nim jak największe wyobrażenie, to jednak wzmożone poczucie winy sprawi, że teraz niejako odkryjemy go na nowo.

Wreszcie, jakkolwiek wyglądałoby pod tym względem nasze dotychczasowe życie, trzeba nam teraz położyć specjalny nacisk na skupienie wewnętrzne i umartwienie.

Uważajmy za czas stracony wszystkie te chwile kończącego się życia, które nie byłyby przyłgnięciem naszej duszy do Boga przez modlitwę i pracę dla Niego. To nastawienie duszy sprawi, że będziemy odczuwać jako zgrzyt wszystko to, co może zakłócić atmosferę modlitewną naszej duszy, jak np.: lektury świeckie nie będące obowiązkiem, próżne rozmowy itp.

Duży nacisk trzeba nam położyć też na wykorzystywanie wszystkich nadarzających się okazji do drobnych umartwień, tak wewnętrznych, jak zewnętrznych. Wszak chcemy, by ten końcowy okres życia był *spatium verae poenitentiae*, okresem prawdziwej pokuty.

Przed wszystkim jednak chwila za chwilą jednoczmy naszą wolę z wolą Boskiego Mistrza – aż do najmniejszych Jego pragnień we wszystkim. Wszak już dawno temu odkryliśmy, że wszystko w życiu wewnętrznym do tego się sprowadza. Na tym więc skoncentrujmy się. To nasza synteza. Obowiązek chwili obecnej, przynoszący nam wolę Bożą, jest jedynym punktem w czasie i przestrzeni, gdzie mogą spotkać się dwie miłości: miłość Boża ku nam i nasza do Niego. Od nas tylko zależy, czy spotkanie to nastąpi.

Obowiązek ten bowiem przynosi nam

w sobie to, co najżyczliwsza Miłość dla nas wymyśliła. Obejmując zaś go, my ze swej strony przynosimy i dajemy Bogu to, co w nas najbardziej zachwyca Jego Ojcowskie Serce: naszą wiarę w Jego miłość dla nas, naszą ufność i zdanie się na Niego oraz naszą miłość.

To właśnie teraz, na tym ostatnim etapie naszego życia, za radą św. Jana od Krzyża, trzeba nam starać się oczyszczać bezustannie podstawowe poruszenia naszej duszy: miłość, pragnienie, radość, obawę, smutek, czuwając zazdrośnie nad tym, by jedynym ich przedmiotem była wola Boża, Jej spełnienie, by w ten sposób obracały się one tylko koło niej. Trzeba nam zatem starać się unikać nawet najmniejszych naturalnych, egoistycznych zwrotów ku sobie. Taka postawa duszy to całkowite obumarcie sobie, to najwyższa czystość – warunek najwyższej miłości.

Co do reszty, zaufajmy tej Miłości, która wiodła nas – powiedzmy lepiej: niosła nas w swych ramionach przez życie. Znajdzie ona środki potrzebne do dokończenia naszej budowy.

Jednym z nich być może będzie ostatni, kalwaryjski odcinek naszej drogi: okres choroby i cierpień, który bezpośrednio poprzedzi nasze

przejdzie do wieczności.

Zostawmy to Jej. Zaufajmy.

Chrystus jest Drogą. Szliśmy Nią przez życie.
Na końcu tej Drogi jest Ojciec, oczekujący nas.
Pełen miłości.

Dokończenie naszej budowy powierzmy
Jego najśłodszej, Ojcowskiej, niezawodnej
Opatrzności.

Ojcze nasz!

Część II

Dialog duszy
z Najświętszym
Sercem Jezusa

Wiara

Wiara w miłość Najśw. Serca Jezusowego

Wierzę, Boskie Serce Jezusa, że jesteś miłością: do Ojca i do każdego z nas. Całe Twoje życie sprowadza się do tej podwójnej miłości. Z niej to wypłynęło wszystko, co uczyniłeś i co czynisz.

W szczególny sposób wierzę w ogrom Twojej miłości dla mnie nędznego. Pozwól, że z prostotą opowiem Ci, jak sobie tę miłość Twoją i jej bezmiar, tak po swojemu, wyobrażam.

Gdy myślę o Tobie i o Twojej miłości dla mnie, i szukam punktu wyjściowego dla wyobrażenia sobie jej bezmiaru, mimo woli przychodzi mi na myśl matka: mająca tylko jedno dziecko, żyjąca tylko dla niego, której najdroższym marzeniem jest marzenie o jego szczęściu. Myśli ona dniem i nocą, co by dla jego dobra mogła jeszcze uczynić. Czuwa nad każdym jego krokiem. Drży o nie w najmniejszym niebezpieczeństwie – tak ofiarna, że bez wahania rzuciłaby się za nim w wezbraną rzekę lub płonący dom, byleby je ratować – pełna niezawodnej wyrozumiałości i cierpliwości.

Wierzę, Boski Mistrzu, że Twoja miłość dla mnie przewyższa nieskończenie miłość tej matki dla swego dziecka. Ty bezgranicznie więcej pragniesz mojego dobra. Więcej Ci na nim zależy niż mnie samemu. Troszczysz się o mnie, jak żadna matka tego nie potrafi. Czuwasz nad każdym moim krokiem. Za rękę przez życie mnie prowadzisz.

Wierzę, że wszystko, co powiedziałem, to tylko słaby obraz, raczej cień tej przeogromnej rzeczywistości, jaką jest Twoja miłość dla mnie. Wiem, że tu zawodzą wszystkie porównania, jakie mógłbym uczynić, gdyż to, co z miłości dla mnie uczyniłeś, rozsadza je, miażdży i przewyższa wszystkie wyobrażenia.

Aby mnie uczynić szczęśliwym, stałeś się jednym z nas. Bóg – stworzeniem! A gdybym ja z miłości dla mrówki stał się mrówką? Samo przypuszczenie wydaje się szaleństwem. A jednak przypuściwszy nawet taką możliwość, miałbym do przebycia tylko niewielką przestrzeń: stworzenie stałoby się stworzeniem. Ty dla mnie pokonałeś nieskończenie większą odległość: będąc Bogiem, stałeś się stworzeniem.

Dla mojego szczęścia o sobie zapomniałeś i wzięłeś na siebie cierpienie, mękę i śmierć. Byleby tylko mnie było dobrze. A gdyby zaszła

taka potrzeba, nie zawahałbyś się raz jeszcze, osobno za mnie samego, cierpieć i umrzeć.

A cóż powiem, gdy pomyślę o Eucharystii? Bóg-Człowiek okruszyną Chleba! A przyczyną tego miłość dla mnie.

Wszelkie zatem porównania zawodzą. Każda miłość ziemską, nawet największa, najtroskliwsza, najobfitsza, niczym jest przy Twojej miłości dla mnie. Nawet miłość matki do swego jedyne go dziecka ze wszystkim, co pojęcie tej miłości zawiera w sobie, przy Twojej miłości dla mnie mniejsza jest niż iskra przy pożarze, który obejmowałby cały horyzont.

Aby jeszcze lepiej uzmysłowić sobie bezmiar Twojej miłości, wyobrażam sobie niekiedy, że to dla mnie jednego, Ty, Bóg, stałeś się stworzeniem, odrobiną Chleba i na krzyżu skonałeś. Zdaje mi się, że tak myśląc nie błędę, gdyż wiem, że nieskończoność jest niepodzielna, a dla każdego kwiatu na łące całe słońce świeci, mimo że kwiatów tych są tysiące.

Kiedy indziej znów wyobrażam sobie, że miłość Twoja dla mnie, zewsząd mnie otaczająca jakby morze światła, jest naczelną rzeczywisto-

ścią mojego istnienia, a wszystko zaś inne, co mnie otacza lub spotyka, jest tylko albo dziełem tej miłości, albo środkiem, którym ona posługuje się dla mojego dobra. Nawet cierpienie. Nawet moje upadki, na które pozwalasz.

Kazałeś nam żyć, Chryste, na wirażu dziejów, w niepewności jutra, wśród piętrzących się trudności i niebezpieczeństw. Jednak miłość Twoja, w którą uwierzyliśmy, jakby jakiś potop olśniewającego światła zewsząd nas zalewający, nie pozwala nam myśleć o zagrażających niebezpieczeństwach. Toteż droga życia nas, którzy uwierzyliśmy w Twoją miłość, pomimo wszystko podobna jest do jasnej, świetlanej smugi, ciągnącej się przed nami hen, ku granicom wieczności.

Nadzieja

Zdanie się na Najśw. Serce Jezusa

Skoro tak bardzo mnie miłujesz i tak bardzo pragniesz mojego dobra, cóż mi pozostaje, jak nie zaufać Twojej miłości i nie powierzyć się jej z zamkniętymi oczyma, tak jak dziecko powierza się i oddaje ojcu lub matce.

Nie wiem, co dla mnie lepsze: życie długie czy krótkie, zdrowie czy choroba, powodzenie w przedsięwzięciach czy niepowodzenie, pobyt w tym miejscu czy innym, przebywanie z tymi osobami czy innymi, to stanowisko czy inne, praca czy modlitwa, podróż czy pozostanie w domu. Lecz wiem jedno: że jesteś Miłością i Mądrością, że wiesz, co dla mnie najlepsze, że na moim szczęściu więcej Ci zależy niż mnie samemu.

Dlatego we wszystkim, co dotyczy mojej przyszłości, zdaję się zupełnie na Ciebie, na Twoją wolę. Podpisuję *in blanco* kartę mojego życia, a Tobie pozostawiam troskę o jej zapisanie. Nie wiem, i nie pragnę wiedzieć, co na niej napiszesz. Na wszystko z góry się zgadzam. Bez zastrzeżeń. W absolutnej ufności, gdyż wiem, że to Twoja najserdeczniejsza troskliwość o moje dobro będzie ją zapisywać. A wszystko, co postanowisz, co na mnie ześlesz lub dopuścisz, wszystko to będzie

pochodzić z tej najserdeczniejszej, większej niż matczyzna życzliwości. Toteż, co w życiu na mnie ześlesz lub dopuścisz, cokolwiek by to było, co mi nakazesz lub zakazesz, każdy akt Twojej woli, pragnę uważać za najlepszy dla mnie, za zdziałany lub dopuszczony przez miłość, będący objawem Twojej miłości.

Spraw, abym to przekonanie zachował nawet wtedy, gdy zupełnie nie będę rozumiał dróg, którymi może będziesz mnie prowadził – nawet, gdy spotka mnie to, co ludzie zwykli nazywać nieszczęściem. Abym i za to Ci dziękował i uważał to za najlepsze dla mnie.

Skoro zaś rzeczy tak się mają, nie pozostaje mi w życiu, Boski mój Mistrzu, nic, jak tylko dzień za dniem, chwila za chwilą, pełnić Twoją i Ojca Twego wolę tak w rzeczach ważnych, jak i najmniejszych.

Jedną z największych łask, jakie mi w życiu dałeś, jest właśnie ta, że w każdej niemal chwili objawiasz mi Swoją wolę i mówisz mi, co mam czynić – przez przykazania, głos Kościoła świętego, mój rozum, obowiązki mego stanu, przepisy konstytucji, reguł, przez moich przełożonych, regulamin dnia, rozgrywające się wypadki, przez natchnienia wewnętrzne. To każesz mi się modlić, to pracować, to wypoczywać, to wybrać się w podróż – każesz

192

mi iść z jednego stanowiska na drugie, raz tę pracę mi powierzasz, raz inną.

A ja powinienem zostawić Ci zupełną swobodę wyznaczania mi obowiązku za obowiązkiem. Trzeba mi tylko mieć ustawicznie oczy zwrócone na Ciebie, by widzieć, co mi każesz czynić, i z ślepym zaufaniem chwila za chwilą obejmować i pełnić Twoją wolę z tym przekonaniem, że to, co Ty w tej chwili mi każesz, wymyśliła miłość, że zatem to dla mnie najlepsze, tak że nawet najtroskliwsza matka nic lepszego dla mnie nie mogła by wymyślić.

Wszystko zaś, co nie jest Twoją wolą, powinno mi być obojętne: pobyt w tym miejscu, czy innym; praca, czy modlitwa; ten rodzaj pracy, czy inny; cisza klasztoru, czy gwar życia czynnego – i wszystko inne. Każdy z tych środków z chwilą, gdy Ty sam go dla mnie wybierzesz, będzie najskuteczniejszy i zbliży mnie do świętości. Nawet najlichszy z nich, lecz wybrany przez Ciebie, potrafi dokonać w mojej duszy cudownej zmiany. W Twoim ręku nawet błoto może przywrócić wzrok.

Tobie więc chcę zostawić troskę i zupełną swobodę rozporządzania tak głównymi liniami mojego życia, jak i jego szczegółami. Co mam czynić, to pełnić chwila za chwilą Twoją

wolę, pełną najżyczliwszej troskliwości.

Świętość jest dla mnie możliwa

Przed wszystkim wierzę, Boskie Serce Jezusa, że Twoja miłość sprawi, iż pomimo całej mojej nędzy, w moim życiu zrealizuje się rzecz najważniejsza: wzniosę się na wyżyny świętości heroicznej, do jakiej tylko według planów Bożych jestem zdolny. Tego spodziewam się po bezmiarze Twojej miłości dla mnie.

Gdyby tak pewnego dnia powiedziano mi, że moja matka ma tę moc, iż potrafi uczynić mnie świętym, w ów wieczór zasypiałbym z błogim uczuciem bezpieczeństwa i głębokim przeświadczeniem, że cel mojego istnienia osiągnę w stopniu najdoskonalszym, w pełni stając się tym, czym Bóg chce mnie mieć. Tymczasem rzeczywistość jest dla mnie jeszcze radośniejsza: moje uświęcenie zależy od Kogoś, kto tysiące razy jest mi życzliwszy niż moja matka – od Ciebie, Boskie Serce Jezusa.

Świętość to dobro jedynie prawdziwe. Jakże by zatem Twoja bezgraniczna życzliwość mogła nie pragnąć dla mnie tego dobra jedynie prawdziwego i nie chciała uczynić, co może, by

mnie nim obdarzyć? Czuję, iż bolesną krzywdę wyrządziłbym Ci, Boski Mistrzu, gdybym po stworzeniu, nawet tak dobrym jak matka, więcej spodziewał się, niż po Twojej bezgranicznej miłości.

Oto czego oczekuję od Twojej miłości. Wiem, że nie będę zawiedziony. To, co Twoja miłość dla mnie uczyni, przewyższy moje oczekiwania. Chociażbym nawet do końca życia żadnej zmiany na lepsze w sobie nie dostrzegł, za łaskę Twoją pragnę tę ufność zachować. Pragnę również mieć ustawicznie przed oczyma i powtarzać Ci często pobudkę tej mojej ufności: Twoją miłość dla mnie i Twoją wszechmoc. *In Te, Cor Jesu, speravi, non confundar in aeternum* – W Tobie, Boskie Serce Jezusa, swą ufność złożyłem, i nie będę zawiedziony na wieki.

Prośba o wiarę w miłość i ufność

Boski Mistrzu! Jedni odznaczają się w Twojej służbie heroicznym umartwieniem, drudzy heroicznym posłuszeństwem czy heroicznym ubóstwem, lub innymi cnotami. Co do mnie, ponad wszystko inne, błagam Cię o bezgraniczną wia-

rę w Twoją miłość i wypływającą z niej ufność. Po miłości one niech będą, ponad wszystkie inne cnoty, rysem charakterystycznym mego istnienia, jego tłem i słońcem – tą ogromną rzeczywistością, która by mi wszystko inne sobą przesłaniała, z której by wszystko inne wypływało, która by nadawała ton całemu memu życiu wewnętrznemu.

Spraw, niech je zachowam nawet wtedy, gdy może będzie mi się zdawać, że o mnie zapomniałeś, że wszystko przeciw mnie się obraca, że ziemia mi się spod stóp usuwa.

Nie dopuść, abym kiedy miał zranić Boskie Twoje Serce najboleśniejszym dla Ciebie – po nienawiści – grzechem: nieufnością, niedowierzaniem Twojej miłości. Tego najbardziej boję się w życiu i zdaje mi się, że byłbym niepokieszonym w dniu, w którym spostrzegłbym, iż zraniłem Twoje Boskie Serce przez przygnębienie, zniechęcenie, narzekanie, przez zbytnią troskę i niepokój o to, co będzie, i o swoją doczesną przyszłość. A byłbym niepokieszonym nie dlatego, że poniosłem szkodę na duszy, lecz że okazałem nieufność Tobie, który troszczysz się o mnie więcej niż najlepsza matka i uczyniłeś dla mnie tysiące razy więcej niż ona.

Miłość

Dlaczego Cię miłuję?

Bo Ty pierwszy mnie umiłowałeś. Za bezmiar Twojej miłości. I za wszystko, co ona dla mnie uczyniła.

Za to, że dla mojego szczęścia zapomniałeś o Sobie, wyniszczyłeś się, stając się stworzeniem, okruszyną Chleba, poniosłeś mękę i śmierć.

Za to, że z Twojej Krwi wypływającej z otwartego serca na krzyżu zrodziłeś mnie do życia.

Za to, że drżysz o moje szczęście i wszystko ku niemu skierowujesz – że w Swojej troskliwości o mnie, czuwasz nad każdym moim krokiem.

Że Swoją własną Matkę dałeś mi za matkę.

Za to, że mnie nie potępiłeś, gdy byłem od Ciebie daleko.

Że mnie wybrałeś spośród tysięcy, przywiodłeś do Swojego domu i umieściłeś przy Swoim Boskim Sercu.

Że najdroższe Ci sprawy i troski mi powierzyłeś: chwałę Twojego Ojca i zbawienie dusz.

Że wpływ mój rozszerzyłeś na miliony dusz, aż po krańce ziemi.

Za nieskończone skarby Twojego Serca, z któ-

rych pozwalasz mi czerpać dowolnie dla chwały
Twojego Ojca i dla zbawienia dusz.

Za ciszę i radość Twojego Domu i szczęście
Twoich ołtarzy.

Za to, że jak ojciec najlepszy i matka najtro-
skliwsza szczerze zaopatrujesz wszystkie moje
potrzeby doczesne, dając mi w Domu Twoim
stokroć tego, co opuściłem.

Za Twoją nieskończoną cierpliwość, z jaką
znosisz niezliczone moje upadki i nędze.

Za pokój i radość, które po naszych drogach
niosę w duszy, gdy wracam od spowiedzi
świętej.

Za serdeczne zaufanie, jakie mi okazujesz,
czyniąc mnie codziennie uczestnikiem Twojego
Krzyża.

Za wolę Twoją, której każdy akt jest samą
miłością i czymś najlepszym, co dla mnie można
by wymyślić.

Za pragnienie, które we mnie wzbudzasz
i pomimo moich niewierności podtrzymujesz,
by oddać Ci bez reszty, zupełnie, i zużyć się
dla Twojej sprawy.

Za nadzieję, że w chwili mojej śmierci
i o mnie także będzie można powiedzieć: *Beati,
qui in Corde Jesu moriuntur* – Błogosławieni,

którzy w Boskim Sercu Jezusa umierają.

Za promienną nadzieję życia bez końca.

Miłuję Cię, gdyż jesteś mi w życiu i ojcem, i matką, i bratem, i siostrą, i obrońcą, moim ołtarzem i moją żertwą – drogą i tej drogi przewodnikiem, światłem, siłą i radością, a będąc Bogiem, jesteś równocześnie i celem, do którego droga ta prowadzi – wszystkim. *Deus meus et omnia mea* – Bóg mój i wszystko moje.

Wiara święta przypomina mi, że ogrom Twojej miłości i wszystko, co dla mnie uczyniłeś, nie są czym innym jak promieniami, za którymi idąc, dochodzę do słońca, z którego one wyszły; do poznania, kim Ty jesteś sam w Sobie – Człowiekiem najdoskonalszym, a równocześnie Bogiem – oceanem bezbrzeżnej miłości, dobroci, miłosierdzia, sprawiedliwości, prawdy, piękna, mądrości, wszechmocy, świętości – pełnią doskonałości, Dobrem Najwyższym.

Jako Bóg, stwarzając świat, wziąłeś jedną kroplę z bezbrzeżnego oceanu Twoich doskonałości i jej cień rozrzuciłeś po ziemi. Stąd tyle tu piękna, dobroci, miłości. Jeżeli cień tej

kropki przykuwa moje serce i o zachwyt mnie przyprawia, jakże mógłbym nie miłować Ciebie, który jesteś oceanem nieskończonym wszelkich doskonałości. Toteż, jeżeli pragnę miłować Cię za Twoją miłość i za wszystko, co ona czyni dla mnie, jeszcze bardziej chcę miłować Cię dla Ciebie samego, że jesteś tym kim jesteś: i Człowiekiem, w którym skupiły się w stopniu najwyższym wszystkie doskonałości ludzkie, i Bogiem, Dobrem Najwyższym, którego nie można nie miłować.

Wiem, Chryste, że nigdy nie potrafię miłować Cię tak, jak tego jesteś godzien. Powinien bym miłować Cię nieskończenie, jak nieskończone są Twoje doskonałości. Sam tylko Ojciec tak Cię miłuje. Lecz proszę Cię, daj mi tę łaskę, jak mi dajesz jej pragnienie, abym umiłował Cię wszystką miłością, do jakiej tylko zdolnym mnie uczyniłeś.

Przejawy Miłości

Ofiara

Oddanie samego siebie

Boski mój Mistrzu, chociaż jestem grzeszny, poświęcam Twemu Najświętszemu Sercu i oddaję na wyłączną własność całego siebie: duszę z jej władzami, ciało z jego zmysłami, wszystko czym jestem i z czego się składam. Pragnę, aby wszystko to niepodzielnie należało do Ciebie, abyś mną i życiem moim dowolnie dysponował dla chwały Twojego Ojca, Twojego Boskiego Serca i zbawienia dusz.

Poświęcam Ci również i oddaję na wyłączną własność każdą chwilę mojego istnienia i wszystko, czym moje życie jest wypełnione: każdą myśl, pragnienie, słowo, poczynanie, uderzenie mojego serca, każdy krok, każdą radość, każde cierpienie – wszystko, co wypełnia moje biedne życie i na nie się składa. Niech to wszystko Ciebie ma za cel wyłączny. Spraw, by w motywach moich poczynañ nie było domieszki pobudek naturalnych. Ty bądź jedynym ich motywem i celem.

Oddanie moich zastug

Chociaż jestem niegodny, oddaję Ci, w szczególny sposób na własność i do dowolnej dys-

pozycji, zasługi zadośćuczynienia moich uczynków, ich wartość błagalną; wszystkie odpusty, które zyskuje; to, co inni dla mnie uczynią za życia i po mojej śmierci; wszystko, co według praw przez Ciebie ustanowionych potrafię Ci odstąpić.

Skłania mnie do tego miłość, przede wszystkim do Ciebie, lecz także i do moich bliźnich, których pragniesz bym miłował tak, jak Ty mnie – miłością bezgranicznie ofiarną. A także i żal, że tyle razy obraziłem Ciebie i Twojego Ojca. Boleję nad tym i nie jest mi przykrą myśl, iż po śmierci otrzymam należną karę za niezliczone moje grzechy. Wola moja, wtedy już utwierdzona w łasce, nie odrzuci cierpienia i pod nim się nie załamie.

Nie gardź tą moją biedną ofiarą i rozporządź nią według Swego upodobania dla dobra moich braci.

Oddanie mojej woli

Nade wszystko jednak, chociaż grzeszny jestem, oddaję Ci na własność i składam w ofierze moją wolę.

Nie pragnę ani wysokiego stanowiska w niebie, ani niskiego; ani takiej drogi do świętości, ani innej; ani długiego życia, ani krótkiego; ani zdrowia, ani choroby; ani takiej

śmierci, ani innej; ani pracy, ani modlitwy, ani niczego innego. Lecz za łaską Twoją chcę pragnąć tylko tego, co Ty postanowiłeś i czego Ty chcesz.

A to dlatego, że będąc tym, kim jesteś, wart jesteś, aby spełniano Twoją wolę i najmniejsze Twoje pragnienia. Bo Twoja wola to Ty, Dobro Najwyższe. Kto ją miłuje, ten Ciebie miłuje. Kto Twojej woli szuka, ten Ciebie szuka. Kto ją spotkał, ten Ciebie spotkał. Kto Twoją wolę obejmuje, ten Ciebie obejmuje. Kto Twoją wolę przenosi nad swoją, ten Ciebie przenosi nad siebie. Kto z nią się jednoczy, ten z Tobą się jednoczy.

Spraw, aby Twoja wola stała się ośrodkiem mojego życia wewnętrznego – abym tylko ją ponad wszystko miłował; jej spełnienia tylko prawdziwie pragnął; cieszył się tylko z jej wypełnienia; obawiał się tego tylko, co Jej się sprzeciwia; smucił się tylko Jej przekroczeniem.

Abym ją pełnił pomimo zamarcia uczucia, przygaszenia świeżości umysłu, stanu cierpienia. Nawet wtedy, gdy Jej nie rozumiem, gdy naturze mojej może wydawać się będzie trudna i dla spraw doczesnych szkodliwa.

I niezależnie od tego, pod jaką postacią ukryta się zjawia: aktu miłości bliźniego, posłuszeństwa, pokory, ubóstwa, umartwienia, czy też modlitwy, pracy, podróży, zmęczenia,

upału, zimna, choroby, życia lub śmierci, czy jakkolwiek inną.

Udziel mi łaski, abym wzroku swego nie zatrzymywał na tej postaci, lecz widział w niej tylko Twoją wolę, a więc Ciebie. Bo to Ty w ten sposób do mnie przychodzisz, ukryty pod coraz to inną postacią. Lecz tylko okiem wiary można Cię rozpoznać.

Każda z tych postaci sama przez się niech mi więc będzie obojętna z chwilą, gdy Twoja wola pod nią się ukrywa, a nawet odrażająca niech mi będzie najdroższa. Każda z nich niech dla mnie tylko o tyle ma wartość, o ile Ona jest w niej ukryta, i tak długo, jak długo Ona w niej się znajduje. Niech przeto żadnej rzeczy nie pragnę ani szukam dla niej samej.

Wola Twoja niech więc będzie dla mnie najwyższą wartością i jedyną troską każdej chwili, i całego życia – wszystkim.

Oto miłość prawdziwa, cenniejsza od wידzeń, zachwyty, daru cudów. Droga bezpieczna, wolna od złudzeń, droga królestwa.

Miłości Najśw. Serca – moimi miłościami

Życie Twoje, Boski Mistrzu, sprowadza się do miłości: wobec Ojca i każdego z nas. Twoim zaś największym pragnieniem jest Jego chwała i nasze szczęście. Wszystko, co uczyniłeś i co czynisz, ku temu jest skierowane. Dlatego tym, którzy do Ciebie należą, powierzasz te dwie najdroższe Ci sprawy: chwałę Twojego Ojca i zbawienie dusz. I pragniesz, by stały się one celem każdego z nich. By razem z Tobą zużywali się dla nich. Więcej nawet, bo to Ty sam w nich, członkach Twojego Ciała Mistycznego, pragniesz żyć pełnią Swojego własnego życia miłości dla Ojca i ludzi, w nich i przez nich niejako powtórnie miłować Ojca i ludzi.

Te dwie, droższe Ci nad życie, sprawy także i mnie powierzasz. A skoro jesteś mi w życiu wszystkim, nie mogę pozostać dla nich obojętny. Spraw przeto, bym razem z Tobą wyniszczył się dla nich zupełnie. Jak ta świeca na ołtarzu, abym cały spalił się dla chwały Twojego Ojca i dobra dusz. Razem z Tobą, gdyż jedynym Czciicielem Ojca i Zbawicielem dusz jesteś Ty.

Miłość Ojca

Uwielbienie

Ojcze, aby Ci oddać tę część najwyższą, która Ci się należy jako mojemu Stwórcy, Panu i nieskończonemu Majestatowi, ofiaruję Ci jako moje uwielbienie, wszystkie te uwielbienia nieskończonej wartości, które na naszych ołtarzach, w naszym imieniu, płynęły i płyną ku Tobie z Najświętszego Serca Twojego Syna. W łączności z nimi ofiaruję Ci wszystkie moje uwielbienia, siebie całego i wszystko, czym jestem, każdą chwilę mojego istnienia i wszystko, czym ono jest wypełnione.

Pragnę uwielbić Cię przez Serce Twojego Syna także za tych braci moich, którzy Cię nie znają lub od Ciebie się oddalili, albo o tym nie myślą.

Przez Boskie Serce Twojego Syna pragnę uwielbić Cię także w imieniu całego świata nierozumnego, wśród którego żyję: w imieniu każdej trawy, kwiatu, każdego liścia na drzewie, tego powiewu wiatru, każdego z tych nieprzeliczonych stworzeń Twoich, które mnie otaczają i na każdym kroku mówią mi o Twojej miłości dla mnie.

Święty, Święty, Święty, Pan Bóg zastępów,
pełne są niebiosa i ziemia chwały Twojej.

Dziękczynienie

Ojcze, pragnę podziękować Ci za Twoją
niezmierzoną miłość dla mnie i za wszystko,
co ona dla mnie uczyniła.

Za to, że powołałeś mnie do istnienia, i to
istnienia bez końca.

Że dałeś nam Syna Jednorodzonego.

Że powołałeś mnie do wiary świętej.

Że mnie, niegodnego, wybrałeś spośród
wielu i przywiodłeś do Swojego Domu. I za
wszystkie niezliczone, bezcenne łaski, zawarte
w moim powołaniu.

Za Twoją bezgraniczną wobec mnie cier-
pliwość.

Za słońce, które mi świeci. Za powietrze,
bez którego nie mógłbym żyć. Za ziemię, po
której stąпам. Za każdą okruszynę chleba. Za
wodę, tak mi do życia potrzebną.

I za inne niezliczone łaski i zmiłowania
Twoje, tak w porządku przyrodzonym, jak
i nadprzyrodzonym, których wielkości i liczby
nędza moja nawet ocenić nie potrafi.

Pragnę podziękować Ci za miliony moich braci, którzy korzystają z Twoich dobrodziejstw, a za nie może Ci nie dziękują.

Jako moje dziękczynienie ofiaruję Ci wszystkie te nieskończonej wartości dziękczynienia, które w naszym imieniu płynęły i płyną ku Tobie z Boskiego Serca Twojego Syna. Pragnę, by całe moje życie, wszystkie jego chwile i moje uczynki w łączności z Nim były nieustannym dziękczynieniem za Twoją miłość i za wszystko, co ona dla nas uczyniła.

Dzięki Ci składamy, wszechmogący Boże, za wszystkie dobrodziejstwa Twoje! Miłosierdzie Pańskie na wieki wysławiać będę!

Przebłaganie

Ojcze, aby Cię przeprosić i wynagrodzić Ci za niezliczone grzechy mojego życia, za grzechy tego domu, mojej rodziny, tej miejscowości, diecezji, naszego narodu, za grzechy konających w tej chwili, za ten potop zbrodni i grzechów, który ustawicznie ziemię zalewa – ofiaruję Ci jako moje, jako nasze zadośćuczynienia, wszystkie uczucia, jakie żywiło i żywi dla grzechu Boskie Serce Twojego Syna, Jego miłość dla Ciebie, i wszystko, co Jego Boskie Serce uczyniło dla wynagrodzenia Ci za nasze grzechy.

Pragnę, by całe moje życie, każda jego chwila, każdy mój uczynek, były w łączności z Nim

także zadośćuczynieniem i wynagrodzeniem dla Twojego Boskiego Majestatu.

Przebacz, Panie, przebacz ludowi Twemu, i nie bądź na nas zagniewany na wieki!

Prośba

Ojcze, ofiaruję Ci Boskie Serce Twojego Syna i Jego nieskończone zasługi na wszystkie intencje, które mi na sercu leżą, i za wszystkich, za których chcesz, abym się modlił.

Przez Boskie Serce Twojego Syna proszę Cię więc o to, aby we mnie i ze mną stała się w pełni Twoja wola. Abym osiągnął ten stopień miłości, który mi wyznaczyłeś. Abym dni moje zakończył w pokucie i miłości heroicznej.

Ofiaruję Ci, Boskie Serce Jezusa, Twojego Syna za Ojca Świętego i całą Hierarchię Kościoła świętego.

Za każdego z moich przełożonych i współbraci.

Za naszych misjonarzy.

Za członków mojej rodziny ziemskiej. Za

przyjaciół, dobroczyńców, znajomych.

Za tych, którzy z powodu Imienia Twego
mnie nienawidzą.

Za tych, których zgorszyłem i skrzywdziłem.

Za każdego konającego, szczególnie za tych
najbardziej zagrożonych potępieniem.

Za narażonych na utratę wiary.

Za nieszczęśliwych zakonników i kapłanów.

Za błędzących i pozbawionych wiary
i nadziei.

Za będących w tej chwili w zwątpieniu,
udręce, rozterce.

Za głodnych, chorych, tułaczy.

Za załamujących się pod ciężarem krzyża.

Za każdą duszę z osobna w czyśćcu
cierpiącą.

Za wszystkich, Ojcze, których miłujesz,
a więc za każdego człowieka.

To ofiarowanie, Ojcze, chciałbym Ci powta-
rzać, gdyby to było możliwe, w każdej chwili,
przez całe moje życie.

Miłość bliźniego

Pobudka miłości

„Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych moich braci najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25,40). Podobnym ogromem miłości, jakim mnie miłujesz, miłujesz każdego człowieka. I to tak bardzo, iż niejako utożsamiasz się z nim, i dla Siebie uważasz uczynionym to, co czynię dla niego. Dlatego, Boski mój Mistrzu, za łaską Twoją, nie dam się już więcej w błąd wprowadzić. Odtąd Ciebie chcę widzieć pod postacią nie tylko każdego z moich przełożonych i współbraci, lecz także pod postacią owego biedaka, może nie w porę przychodzącego, każdego potrzebującego mojej pomocy, każdego dziecka, każdej duszy w czyśćcu, każdego z konających w dniu dzisiejszym, pod postacią każdego człowieka.

W szczególny zaś sposób Ciebie chcę odtąd widzieć pod postacią owego bliźniego niesympatycznego, naiwnego, niezręcznego, dokuczliwego. Nie dam się więcej w błąd wprowadzić – to Ty do mnie wtedy przychodzisz, tylko że ukryty pod postacią tak niemiłą dla mojej natury. Toteż dla Ciebie, a nie dla postaci, pod którą się ukrywasz, pragnę być dobrem ofiarnym.

Znak rozpoznawczy

„Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali” (J 13,35). Nie po szacie więc poznajesz Boski Mistrzu, Swoich uczniów, ani po liczbie przeżytych Mszy św. i odmówionych Różańców. I nie po liczbie wygłoszonych kazań. Nawet nie po umartwieniu i skupieniu. Wszystko to bez miłości nie miałoby wielkiego znaczenia.

Dlatego miłość bliźniego muszę uczynić termometrem i głównym sprawdzianem mojego życia wewnętrznego. Jeżeli mogę sobie powiedzieć, iż w ostatnich miesiącach z wyrozumiałością i pogodną cierpliwością znośiłem wady i uchybienia moich bliźnich; jeżeli starałem się zapomnieć o sobie, byleby drugim było dobrze; jeżeli czyniłem, co mogłem, by przez pracę, modlitwę i umartwienie duszę ratować, a w czyścicu będącym pomagać – jeżeli wszystko to było, mogę być spokojnym i dziękować powinienem Ci za to.

Gdybym zaś odkrył w sobie twardość i brak wyrozumiałości, bezlitosne sądy, obmowy, niecierpliwości, gburowatość, nieuczynność i egoizm, trzeba abym się moim stanem zaniepokoił, chociażbym nawet w ostatnim okresie wiele

pobożnych ćwiczeń odprawił, umartwień podjął i wiele pobożnych myśli w sobie zauważył, gdyż pomimo to wszystko, życie moje wewnętrzne bez miłości niewiele jest warte. Jestem wszystkim, tylko nie Twoim uczniem.

Miara miłości

„Abyście się wzajemnie miłowali, jak Ja was umiłowałem” (J 15,12). Siebie samego zatem, Boski mój Mistrz, stawiasz mi za wzór. Mam przeto braci moich tak miłować, jak Ty mnie miłujesz. A więc miłością bezgranicznie wyrozumiałą, cierpliwą, życzliwą, czynną.

Tak, jak Ty żyjesz miłością dla mnie, tak ja mam żyć miłością dla bliźniego.

Tak, jak Ty okrywasz milczeniem niezliczone moje upadki i wady, tak i ja nie powinienem bez absolutnej konieczności mówić czegokolwiek złego o moim bliźnim, chociażby to były rzeczy znane i choćbym nawet mógł to uczynić bez grzechu.

Tak, jak Ty nieskończenie wyrozumiała jesteś dla mnie i moich ustawicznie powtarzają-

cych się upadków i znosisz je od tylu lat z bezgraniczną cierpliwością, tak ja po matczynemu mam być wyrozumiałym dla drugich, i znosić mam z niezawodną cierpliwością to, co w nich mi się nie podoba.

Tak, jak Ty pragniesz i szukasz, więcej niż ja sam, mojego szczęścia, tak i ja mam pragnąć i szukać szczęścia i dobra moich braci.

Pragniesz bowiem, aby miarą mojej miłości bliźniego była Twoja miłość dla mnie.

Współczucie

Współczucie w męce i śmierci

Boski mój Mistrzu, gdy w duchu towarzyszę Ci w Ogrodzie Oliwnym, gdy jestem przy Tobie na drodze krzyżowej, czy pod Twoim krzyżem, czy w innych tajemnicach Twojej męki i Twojego życia, wiem, że to nie jest tylko gra wyobraźni. Podczas Swego życia śmiertelnego, Swą Boską wszechwiedzą, ogarniałeś wszystkie czasy, a przyszłe nawet zdarzenia były dla Ciebie obecne. Toteż my, którzy żyjemy dwa tysiące lat później, byliśmy Ci w pewnym znaczeniu współcześni, i to, co dzisiaj czynimy dla Ciebie, by pocieszyć Twoje Serce w tych strasznych dla Ciebie chwilach, odczuwałeś, jak gdyby to było wtedy dla Ciebie uczynionym.

Dlatego, mój Boski Mistrzu, chcę być często przy Tobie w Ogrodzie Oliwnym, przy słupie biczowania, przy Twoim ukoronowaniu cierpieniem. Chcę towarzyszyć Ci na drodze krzyżowej i na Golgocie. Nie potrafię wprowadzić Cię w Twoje cierpienie, a może nawet nie chciałbyś mniej cierpieć niż cierpiałeś. Powodowany jednak serdeczną litością i współczuciem pragnę czynić, co będzie w mojej mocy, by Two-

je cierpienia i upokorzenia nie szły na marne, lecz stały się zbawieniem dla dusz. Dlatego, klęcząc obok Ciebie w Ogrodzie Oliwnym podczas Godziny świętej, będę ofiarowywał Ojcu Twemu krwawe konanie Twojego Boskiego Serca, Twoje umiłowanie Jego woli i wszystkie Twoje zasługi, to za konających, to za błądzących, to za dusze będące w największym niebezpieczeństwie. Będę błagał Twojego Ojca, by nie pozwolił na to, aby Twoje konanie miało iść na marne dla mnie i dla tych nieszczęśliwych. W podobny sposób chcę się zachować przy słupie biczowania, przy Twoim ukoronowaniu cierniem, na drodze krzyżowej i pod krzyżem.

Jakże mógłbym w moim życiu tracić czas lub nudzić się, skoro wiem, że Twoja krew dla wielkiej liczby dusz w tej chwili na próżno spływa z krzyża, a ja mogę ją zbierać i ginących moich braci ratować.

Dlatego pragnę wykorzystać moje podróże, by podczas nich modlić się za dusze będące w największym niebezpieczeństwie, szczególnie zaś za tych konających w tej chwili, którzy najbardziej Twej łaski nadużywali. Będę za nich ofiarowywał Ojcu Twojemu Boskie Serce w tajemnicach Ogrodu Oliwnego, biczowania, cierniem ukoronowania, Twojej drogi krzyżowej, Twojej śmierci.

Z tego samego powodu, gdy tylko siły i obowiązki mi pozwolą, chcę wykorzystać wszystkie okazje, które będę miał, do uczestniczenia we Mszy św., by w ten sposób dopomóc duszom będącym w niebezpieczeństwie.

Także i wszystkie odpusty pragnę zyskiwać codziennie, gdyż i one są owocem Twoich cierpień.

Współczucie z Najśw. Sercem Jezusa w Jego cierpieniach najboleśniejszych

Wiem jednak, Chryste, że pragniesz, bym przede wszystkim współczuł z cierpieniami Twojego Boskiego Serca, według Twoich własnych słów, boleśniejszymi od całej Twej męki.

A gdy o nich myślę, takie obrazy zjawiają się przed oczyma mojej duszy:

Widzę z jednej strony Twoją bezkresną miłość dla nas, miłość najofiarniejszą. Widzę Cię Dzieciątkiem, przybitego do krzyża, odrobiną Chleba. Z drugiej zaś strony zamiast wzajemnej miłości widzę ocean, nigdy nie kończący się potop coraz to nowych i nowych zbrodni i grzechów. A wśród nich najbardziej rozpowszechnionych, a po nienawiści naj-

boleśniejszych dla Twojego Boskiego Serca: niedowierzanie Twojej miłości, Twoje opuszczenie w tabernakulum, znieważanie i nadużywanie Sakramentu miłości.

To otrzymujesz od nas, i to w każdej chwili, za Twoją bezkresną miłość, niekiedy nawet od tych, których ponad innych umiłowales, uczyniłeś Swoimi przyjaciółmi i którym powierzyłeś Siebie i to, co masz najdroższego.

Widzę, po drugie, Twoją nieskończoną miłość do Ojca i Twoje nieskończone pragnienie Jego chwały. A równocześnie widzę, jak musisz patrzeć na miliony grzechów i zbrodni, dokonujących się każdej chwili dnia i nocy. A każdy z nich jest odrzuceniem najświętszych praw Twojego Ojca, podeptaniem Jego woli, przeniesieniem odrobiny błota nad Niego, Dobro Najwyższe, zniewagą Jego Majestatu.

Wreszcie widzę Cię, patrzącego na nie kończący się pochód milionów dusz, przez Ciebie tak umiłowanych, idących dniem i nocą, zimą czy wiosną, latem czy jesienią, bez przerwy, drogą wiecznej zguby, w niebezpieczeństwie potępienia.

Zapewne to ta potrójna wizja, przede wszystkim, przyprowadziła Cię o krwawe konanie w Ogrodzie Oliwnym.

Wynagrodzenie

Pragnienie **Najśw. Serca Jezusowego**

Odgaduję teraz, Boski mój Mistrzu, czego pragniesz ode mnie w moim życiu.

Chcesz, abym pomimo mojej niegodności i własnych grzechów, starał się w Twojej służbie miłować Cię, jeżeli to być może, miłością podwójną: i za siebie i za tych, którzy ranią Twoje Boskie Serce; miłością ofiarną, wierną aż do krzyża. Abym starał się wierzyć bezgranicznie w Twoją miłość i bezgranicznie jej ufać. By w ten sposób chociaż odrobinę pocieszyć Cię za krzywdy doznawane przez Ciebie po miliony razy w każdej chwili od tych, których tak bardzo miłujesz, szczególnie zaś te najboleśniejsze, pochodzące od tych, których miłujesz ponad innych.

Pragniesz, abym tutaj w Twoim Domu, chociaż sam grzeszny i wciąż potrzebujący Twojego miłosierdzia, chwila za chwilą razem z Tobą, starał się składać siebie w całopalnej ofierze dla wynagrodzenia i naprawienia niezliczonych krzywd i zniewag wyrządzanych, w każdej chwili przez miliony grzechów,

nieskończonemu Majestatowi Twojego Ojca, dla przywrócenia Mu chwały, której Go owe grzechy pozbawiają.

Pragniesz, bym przez swoją pracę i ofiarę całopalną, każdej chwili życia, razem z Tobą zagradzał drogę owym nieprzeliczonym tłumom dusz, zdążających ku zgubie wiecznej, szczególnie zaś tym, których Ty sam mi powierzyłeś; bym przez ofiarę wszystkiego, czym jestem, w łączności z Twoją Ofiarą, ścigał na nich łaskę zbawienia.

Oto zadanie mojego życia.

Szkoła wynagrodzenia

Staję przed jednym z najważniejszych pytań swojego życia: co mam czynić, by życie moje było wynagrodzeniem, jak tego pragniesz?

U kogo znajdę jego rozwiązanie, jak nie u Ciebie, Boski mój Mistrzu, który w życiu jesteś mi wszystkim, także i moją drogą. Umiejętności życia wynagradzającego tylko od Ciebie mogę się nauczyć także i z tego powodu, że Ty sam jesteś jedynie prawdziwym Wynagrodzicielem, wszelkie zatem nasze wynagrodzenie musi się wzorować na Twoim wynagrodzeniu, tak jak jedynie z niego czerpie całą swoją wartość.

Otóż gdy odczytuję dzieje Twojego życia ziemskiego, widzę, że pozornie składa się ono z najrozmaitszych czynności: żyjesz w ukryciu, nauczasz publicznie, pracujesz, modlisz się, pościsz, idziesz na ucztę, udajesz się na pustynię, to znów do stolicy, ratujesz się ucieczką, poddajesz się męce i śmierci.

Wczytując się jednak uważniej w księgi święte odkrywam, że owa różnorodność czynów wypełniających Twoje życie jest tylko pozorna, i że w rzeczywistości wszystkie do jednego się sprowadzają – do miłosnego pełnienia woli Twojego Ojca, posłuszeństwa we wszystkim, tak w rzeczach miłych dla natury ludzkiej, jak i tak trudnych, jak śmierć w sile wieku, pełni zdrowia i w okolicznościach najstraszniejszych.

I tak też Ty sam streściłeś nam Swoje życie:
„Oto idę, aby spełnić wolę Twoją” (Hbr 10,9).

„Moim pokarmem jest wypełnić wolę Tego, który mnie posłał” (J 4,34).

„Ja zawsze czynię to, co się Jemu podoba” (J 8,29).

„Z nieba zstąpiłem nie po to, aby pełnić swoją wolę, ale wolę Tego, który mnie posłał” (J 6,38).

„Jednak nie moja wola, ale Twoja niech się stanie” (Łk 22,42).

W ten sam sposób życie Twoje streścił nam wielki Twój Apostoł, gdy o Tobie pisał: „Stawszy się posłuszny aż do śmierci – i to śmierci krzyżowej” (Flp 2,8).

„Albowiem, jak przez nieposłuszeństwo jednego człowieka wszyscy stali się grzesznikami, tak przez posłuszeństwo Jednego wszyscy staną się sprawiedliwymi” (Rz 5, 19).

Całopalna ofiara Twojej woli, oto do czego sprowadza się zatem Twoje życie ziemskie i Twoje wynagrodzenie. Słowa św. Pawła *obediens usque ad mortem* – posłuszny aż do śmierci, to streszczenie wszystkiego, co w życiu czyniłeś.

I zdaje mi się, że za łaską Twoją rozumiem, dlaczego tak jest. Przyszedłeś bowiem na ziemię, aby wynagrodzić Ojcu Twemu za nasze grzechy, nigdy nie kończący się ich potop, zalewający świat. Najgłębszą zaś treścią każdego z tych grzechów, to owo *non serviam* – nie będę służył, odmówienie Bogu-Stwórcy i Panu należnej Mu od stworzenia uległości – to bunt. Każdy z tych grzechów równocześnie, to odmówienie Panu Bogu miłości, która z natury rzeczy Mu się należy, Jemu, Miłości bezgranicznie dobrotliwej i Dobru Najwyższemu.

Dlatego, pragnąc naprawić zło wyrządzone

przez nas, przemieniłeś Swoje życie w jeden akt miłosnego posłuszeństwa – stawszysię posłusznym Ojcu we wszystkim, nawet w rzeczy tak ciężkiej, jak śmierć krzyżowa w pełni młodości i sił. Temu programowi Twojego życia byłeś wierny, nawet w trwodze i konaniu w Ogrodzie Oliwnym.

Chociaż Twój Ojciec postanowił, że dzieło Twojego wynagrodzenia dokona się w męce i śmierci, to jednak nie w Twoim cierpieniu miał On upodobanie, lecz w Twoim heroicznym umiłowaniu Jego woli. I z tego to właśnie umiłowania Jego woli i poddania się jej, męka Twoja otrzymała całą swą wartość wynagradzającą.

Tak więc wynagrodzenie Twoje, Boski Mistrzu, sprowadza się do całopalnej ofiary Twojej woli, która to ofiara równocześnie jest i najdoskonalszym posłuszeństwem i najdoskonalszą miłością – tak, jak treścią najgłębszą każdego grzechu jest odmówienie Bogu posłuszeństwa i miłości. Cierpienia zaś Twoje były karą za nasze grzechy.

A zatem moją drogą, jedynym sposobem wynagrodzenia, które mi wskazałeś własnym życiem, męką i śmiercią ma być całopalna, płynąca z miłości ofiara, streszczająca się w od-

daniu Bogu własnej woli.

Moje oddanie się Najśw. Sercu Jezusowemu na ofiarę całopalną

Pragniesz ode mnie, Boski mój Mistrzu, abym pomimo własnej nędzy, starał się miłować Cię także i za tych, którzy Cię nie miłują, i w ten sposób wynagradzać Ci za nich. Chcesz, bym razem z Tobą starał się wynagradzać niezliczone zniewagi wyrządzone Twojemu Ojcu, abym czynił, co mogę, dla przyjscia z pomocą душom zagrożonym, z których każdą miłujesz nad życie.

Dla tych najdroższych Ci spraw, chociaż sam jestem grzeszny, w łączności z Twoją ofiarą krzyżową na naszych ołtarzach, oddaję Ci na ofiarę całopalną siebie i wszystko, czym jestem: duszę moją i jej władze, moje ciało i jego zmysły, zdrowie moje i siły, życie moje i każdą jego chwilę. Oddaję Ci wszystko, czym ono będzie odtąd wypełnione: każdą myśl, każde pragnienie, każde słowo, każde poczynanie, każdy mój krok, każde uderzenie mojego serca, i wszystko, co tylko mogę złożyć Ci w ofierze.

Idąc za Twoim własnym przykładem, ofia-

rę tę pragnę pojmować jako zupełne oddanie się najukochańszej Twojej i Ojca Twego woli, uzależnienie się od niej we wszystkim, zupełne zdanie się na nią i na jej upodobanie.

Dlatego odtąd nie chcę pragnąć ani życia, ani śmierci; ani zdrowia, ani choroby; ani smutku, ani radości; ani uznania, ani prześladowania; ani wiosny, ani zimy; ani pracy, ani modlitwy; ani tego miejsca i stanowiska, ani innego; ani podróży, ani pozostania w domu; ani niczego innego. Natomiast za łaską Twoją, na którą jedynie liczę, odtąd chcę pragnąć tylko tego, co Tobie się spodoba ze mną uczynić, nakazać mi lub zakazać, dać mi lub na mnie dopuścić.

Wielcy słudzy Twoi, pragnąc naprawić grzech i ratować duszę, oddawali Ci się na cierpienia i na śmierć, i prosili Cię o nie. Co do mnie, nie proszę Cię o cierpienie, gdyż wiem, jak jestem słaby. Lecz nie proszę Cię także, byś je ode mnie oddalił, gdyż pamiętam, że jesteś wszechmocą, i że tak jak matka, wtedy najbliższej jesteś duszy, gdy ona cierpi. I w tym przeto, zdaję się zupełnie na Twoją miłość i mądrość. O jedno Cię proszę: spraw, bym dla pocieszenia Cię i ratowania dusz wyczerpał wszystkie moje możliwości. Sposób jednak, w jaki ma się to dokonać, niech obierze Twoja bezgraniczna miłość dla mnie

i Twoja mądrość.

Pomny jednak na to, że Twoje wynagrodzenie dokonało się w cierpieniu – cierpienie będę sobie cenił. Lecz tylko to, które Ty sam na mnie ześlesz, dopuścisz lub którego ode mnie zapragniesz, gdyż nie cierpienie chcę miłować, lecz wolę Twoją w nim ukrytą.

Do tych cierpień, przez Ciebie zesłanych lub dopuszczonych w duchu wynagrodzenia, pragnę dodać wszystkie te umartwienia nadobowiązkowe wewnętrzne i zewnętrzne, których ode mnie pragniesz, to jest te, na które pozwolą mi moje siły fizyczne i moralne, zajęcia i obowiązki oraz kierownik mojej duszy. Pragnę jednak podjąć je tylko w takim stopniu, w jakim Ty tego pragniesz, i dlatego tylko, że Ty ich pragniesz. Całą ich bowiem wartością, jest Twoje pragnienie w nich ukryte.

Nade wszystko jednak, uwagę swoją pragnę skoncentrować na pełnieniu Twojej woli, godzina za godziną, tak jak jest ona objawiona przez obowiązek chwili obecnej i dociera do mnie przez przykazania, konstytucje, przełożonych, głos rozumu, obowiązki stanu, rozkład dnia,

czy wypadki dookoła mnie się rozgrywające.

Pomimo mojej ustawicznie stwierdzanej słabości, z pomocą łaski Twojej, tę Twoją wolę pragnę pełnić w duchu całopalnej ofiary, aż do najmniejszych Twoich pragnień. Pragnę pełnić ją we wszystkim, tak w materii modlitwy jak pracy, miłości bliźniego, ubóstwa, posłuszeństwa i innych cnót, pomimo zamarcia uczucia i stanu oschłości. Pragnę czynić to spokojnie, z prostotą, chwila za chwilą, nawet nie myśląc o tym, czego ode mnie możesz zażądać jutro.

Moimi niewiernościami nie chcę się zniechęcać, lecz z góry już teraz rzucam je wszystkie w bezmiar miłosierdzia Twojego Boskiego Serca.

Przyjmij, Boskie Serce Jezusa, przez ręce Niepokalanej Twej Matki, tę ofiarę biednego i grzesznego serca, które jednak za łaską Twoją nic w życiu nie ma, jak tylko Ciebie, i które dla pocieszenia Cię i dla Twoich spraw – chwały Twojego Ojca i zbawienia dusz – chciałoby uczynić, ile tylko może.

Synteza

Streszczenie mojego życia wewnętrznego

Zrozumiałem, Boski Mistrzu, że dysponuję w moim życiu tylko chwilą obecną. Przeszłość już przeminęła bezpowrotnie, przyszłość zaś jeszcze nie nadeszła. Jedyłą więc rzeczywistością mojego życia jest chwila obecna.

Gdy o tym myślę, powstaje we mnie pragnienie, abym tę jedyną rzeczywistość możliwe jak najlepiej wykorzystał. I wtedy oto, co się we mnie dzieje. Urzeczony ogromem Twojej miłości dla mnie nędznego, tę jedyną rzeczywistość należącą do mnie, chwilę obecną, chciałbym wykorzystać właśnie po to, aby Ci powiedzieć, jak bardzo wierzę w Twoją miłość.

Lecz równocześnie odczuwam wielkie pragnienie, by obrócić ją ku temu, aby Ci powiedzieć, jak bardzo Ci ufam, i że z zamkniętymi oczyma powierzam się Twojej miłości.

W tym samym jednak czasie, tę chwilę obecną chciałbym zużyć na to, aby Ci powiedzieć, że Cię miłuję.

Pamiętając jednak o Twoich skargach na niewdzięczność tych, których tak bardzo miłujesz, chciałbym tę chwilę zamienić w wyną-

grodzenie Ci za nich.

Równocześnie, widząc Twoją nieskończoną miłość dla Ojca i Twój smutek z powodu Jego obrazy, chciałbym tę jedyną rzeczywistość mojego życia wykorzystać na przywrócenie Mu chwały, której pozbawiają Go nasze grzechy.

Ponieważ wiem jednak, że w tej samej chwili miliony droższych Ci nad życie dusz kroczy drogą zatracenia, nie mogę nie chcieć wykorzystać tej chwili na to, aby uczynić, co tylko w mojej mocy dla ich zbawienia.

Toteż marzyłem o tym, aby w życiu wewnętrznym mógł być taki akt, który równocześnie byłby i aktem wiary w Twoją miłość, i aktem dziecięcej ufności, i aktem miłości, wynagrodzeniem dla Ciebie, i dla Twojego Ojca, i ratunkiem dla dusz, który by równocześnie zawierał w sobie wszystko, miłujące Cię, co biedne, ludzkie serce chciałoby Ci powiedzieć i co dla Ciebie, i dla Twoich spraw chciałoby uczynić. Akt ten zawierałby w sobie wszystkie wartości i gdyby rzecz była możliwa, nie byłby tylko słowem i uczuciem, lecz przede wszystkim czynem.

Był czas, w którym sądziłem, że taki akt na ziemi nie jest możliwy. Lecz nadeszła chwila, kiedy łaska Twoja dała mi poznać, że rzeczy-

wistość jest o wiele radośniejsza, niż mógłbym marzyć – że jednak akt taki istnieje. I nie tylko akt przejściowy, lecz co ważniejsze, że istnieje stałe nastawienie duszy, zawierające w sobie równocześnie i stałe wszystko, co chciałbym ustawicznie Ci powtarzać, i co chciałbym dla Ciebie i dla Twoich spraw czynić, a więc nastawienie nadające mojemu życiu najwyższą wartość i wyczerpujące wszystkie moje możliwości.

I zrozumiałem wtedy, co mam czynić, aby chwilę obecną w taki akt przemienić. Oto nic innego, jak wznieść swój wzrok do Ciebie, aby zobaczyć, czego ode mnie w tej chwili chcesz lub pragniesz: modlitwy czy pracy, podróży czy wytnienia, cierpienia, aktu miłości bliźniego, pokory, umartwienia, czy czegoś innego. A skoro tylko poznam Twoją wolę, trzeba mi ją objąć i wykonać w taki sposób, jak Ty tego chcesz. Tym jednym aktem, aktem wypełnienia Twojej woli, mogę Ci okazać i moją wiarę w Twoją miłość dla mnie, i moją ufność, i miłość. Równocześnie tym samym aktem mogę Cię pocieszyć, Ojcu Twojemu dać wynagrodzenie i przyczynić się do ratowania dusz. Tak więc, gdy chwilę obecną skierowałem ku temu, aby wypełnić wolę Twoją lub pragnienie, uczyniłem wszystko, co można było uczynić dla Ciebie

i dla Twoich spraw.

Równocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że życie tak pojęte, tj. sprowadzone do zupełnego oddania Bogu własnej woli, to odtworzenie w sobie Twojego własnego życia, wewnętrzne upodobnienie się do Ciebie. To Ty sam żyjesz wtedy w duszy pełnią Swojego życia.

Do Serca Jezusa przez Serce Maryi

Matko Najświętsza, Ty jedna Jezusa zro-

Czcigodny Sługa Boży o. Leon Jan Dehon

Urodził się 14 marca 1843 roku w La Capelle we Francji. Świecenia kapłańskie przyjął w Rzymie w 1868 roku. Po powrocie do swej ojczyzny rozpoczął pracę duszpasterską. W szczególny sposób zajmował się robotnikami i młodzieżą. Ojciec Dehon dostrzegł, że najgłębszą przyczyną ludzkich nieszczęść i nędzy jest odrzucenie miłości Chrystusa.

Zapatrzony w tę wzgardzoną Bożą miłość, zapragnął odpowiedzieć na nią głębokim zjednoczeniem z Sercem Jezusa i budowaniem Jego królestwa w sercach ludzi. 28 czerwca 1878 roku założył nowe zgromadzenie zakonne, które oddaje szczególną cześć Najświętszemu Sercu Pana Jezusa.

Ojciec Leon Jan Dehon zmarł 12 sierpnia 1925 roku. Wpatrzony w wizerunek Bożego Serca, powiedział: „Dla Niego żyłem, dla Niego umieram!”.

Obecnie trwa jego proces beatyfikacyjny. Stolica Apostolska w dniu 8 kwietnia 1997 r.

wydała Dekret o heroiczności cnót o. Leona Jana Dehon i nadała mu tytuł Czcigodnego Sługi Bożego.

opr. ks. Zbigniew Zagórski SCJ

Kim są Księża Sercanie?

Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego (popularna nazwa: Księża Sercanie) zostało założone we Francji w 1878 roku przez Czcigodnego Sługę Bożego o. Leona Jana Dehona.

Zasadniczym rysem duchowości Zgromadzenia – w której centrum znajduje się Eucharystia i adoracja wynagradzająca Najświętszego Sakramentu – jest przeżywanie miłości Boga do człowieka oraz próba dawania na nią odpowiedzi w zakonnym życiu i apostołstwie. Zakres prac podejmowanych przez Zgromadzenie jest bardzo szeroki i wynika z ducha uniwersalnej miłości, jakim natchnął swe dzieło Założyciel. „Idźcie, dajcie poznać światu miłość Najświętszego Serca Jezusowego” – to testament ojca Dehona oraz przestrzenie apostołskiej działalności Jego duchowych synów – Księży Sercanów.

Na świecie Sercanie pracują w kilkudziesięciu krajach na pięciu kontynentach.

W Polsce Księża Sercanie pracują od 1928 roku. Prócz życia modlitwy, podejmują wyrastające z ducha miłości i wynagrodzenia liczne

dzieła apostołskie. Do najważniejszych należą:

- praca misyjna za granicą, m.in.: Kongo, Kamerun, RPA, Indonezja, Filipiny, Finlandia, Indie, Białoruś, Mołdawia, Ukraina;

- misje i rekolekcje w Polsce (misje intro nizacyjne, rekolekcje w parafiach i dla różnych grup);

- duszpasterstwo parafialne na terenie Polski i innych krajów Europy;

- praca z dziećmi i młodzieżą;

- zaangażowanie w domach zakonnych i szpitalach w charakterze kapelanów;

- praca dydaktyczno-naukowa w szkołach i na uniwersytetach;

- działalność wydawnicza;

- formacja członków Sercańskiej Wspólnoty Świeckich.

W życiu zakonnym i apostołskim Sercanie starają się być szczególnie otwarci na potrzeby najuboższych, bezrobotnych i opuszczonych.

opr. ks. Zbigniew Zagórski SCJ

Ważniejsze adresy:

- Prowincjaat Księży Sercanów
ul. Łowicka 46
02-531 WARSZAWA
tel. (022) 849-43-51
www.sercanie.org.pl
- Wyższe Seminarium Misyjne
Stadniki 81
32-422 STADNIKI
tel. (012) 271-15-24
- Nowicjat Księży Sercanów
Kąty Stare 11
28-130 STOPNICA
tel. (041) 377-90-49
- Apostolstwo Powołań
Koszyce Małe
ul. Główna 45
33-111 Koszyce Wielkie
tel. (014) 634-01-20

Literatura

J. JACQUES, *Le Coeur de Jesus et la Trinite Sainte*, w: „La vie spirituelle”, 1952.

PIUS XII, *Encyklika Mystici Corporis*.

M. MILLER, *O radosnym miłowaniu Boga*, 1949.

H. DORRESTEIJN, *De spiritualitate P. Leonis Dehon*, 1947.

H. AGOSTINI, *Il Cuore di Gesu*, 1950.

PIUS XI, *Encyklika Miserentissimus Redemptor*.

GARRIGOU-LAGRANGE, *Les trois ages de la vie interieure*, t. II, [19-].

J. RIVIERE, *Le dogme de la Redemption*, 1914.

L. PYZALSKI, *Świętych nam trzeba*, [19-].

ŚW. JAN OD KRZYŻA, *Wejście na Górę Karmel*, ks. II, [19-].

J. JACQUES, *Pour une Croisade d'expiation et de reparation*, 1947.

CH. JOURNET, *La Messe*, 1957.

CH. JOURNET, *L'Eglise du Verbe Incarne*, [19-].

Spis treści

Słowo o. Generała	5
Przedmowa	7
Wstęp	15
Część I	
<i>Zamyślenia o Bogu-Miłości, Bożym Sercu i wynagrodzeniu</i>	
Wiara w Miłość	
„I uwierzyliśmy miłości” (1 J 4,16)	21
Znaczenie wiary w miłość dla naszego życia wewnętrznego	24
Nasz sposób patrzenia na życie i na świat...	27
Sposób odczuwania miłości Najśw. Serca Jezusowego i jego punkty wyjściowe.....	33
Apostolstwo Najśw. Serca Jezusowego	35
Najśw. Serce Jezusa w godzinę śmierci.....	42
Nadzieja	
Powołanie do świętości	45
Świętość i apostołstwo.....	47
Warunki świętości.....	50
Miłość i jej niektóre przejawy	
Bóg mój i wszystko moje!.....	59

Niektóre przejawy miłości	64
Ofiara koniecznym następstwem i sprawdzianem naszej miłości	67
Miłość bliźniego	71
Współczucie	77
Wynagrodzenie	
Dwa zagadnienia	83
Grzech	86
Wynagrodzenie Chrystusa	91
Dlaczego Chrystus cierpiał?	94
Skąd wzięło się cierpienie w życiu Chrystusa?	98
Nasze wynagrodzenie	101
„Upodobania” Boże	109
Cierpienie w życiu wynagrodzenia	111
Umartwienia nadobowiązkowe	117
Oddanie się Najśw. Sercu Jezusa na ofiarę całopalną	124
Nasze wynagrodzenie swoją skuteczność czerpie tylko z wynagrodzenia Chrystusowego	136
Wprowadzić w życie	139
Synteza w praktyce	147
Eucharystia ośrodkiem naszego życia wewnętrznego	149
Msza święta	155

Po Mszy świętej.....	165
Miejsce Maryi w naszym życiu wewnętrznym.....	168
Najśw. Serce Jezusa pod koniec naszego życia	171
Część II	
<i>Dialog duszy</i>	
<i>z Najświętszym Sercem Jezusa</i>	
Wiara	
Wiara w miłość Najśw. Serca Jezusowego..	185
Nadzieja	
Zdanie się na Najśw. Serce Jezusa	189
Świętość jest dla mnie możliwa	192
Prośba o wiarę w miłość i ufność.....	193
Miłość	
Dlaczego Cię miłuję?	195
Przejawy Miłości	
Ofiara	199
Miłości Najśw. Serca – moimi miłościami .	203
Miłość Ojca	
Uwielbienie.....	205
Dziękczynienie	206
Przebłaganie	207
Prośba.....	208
Miłość bliźniego	
Pobudka miłości.....	211

Znak rozpoznawczy	212
Miara miłości	213
Współczucie	
Współczucie w męce i śmierci.....	215
Współczucie z Najśw. Sercem Jezusa w Jego cierpieniach najboleśniejszych	217
Wynagrodzenie	
Pragnienie Najśw. Serca Jezusowego	221
Szkoła wynagrodzenia	222
Moje oddanie się Najśw. Sercu Jezusowemu na ofiarę całopalną	226
Synteza	
Streszczenie mojego życia wewnętrznego ..	231
Do Serca Jezusa przez Serce Maryi.....	234
Czcigodny Sługa Boży o. Leon J. Dedon .	237
Kim są Księża Sercanie.....	239
Ważniejsze adresy.....	241
Literatura.....	243